



549





~~MIECZYSLAW GODYCKI GWIRKO~~  
ny IBL ~~Oblaszy, p. Kazienice.~~

Z KADEN-BANDROWSKI

Egz. archiwalny IBL

# SPOTKANIE

**TEGOŻ AUTORA:**

**NIEZGUŁA (powieść).**

**ZAWODY (nowele).**

**PROCH (powieść).**

**ZBYTKI (nowele).**

**ISKRY (nowele).**

**PŁSUDCZYCY.**

**BITWA POD KONARAMI.**

**MOGIŁY.**

~~MIECZYSLAW GODYCKI GWIRKO~~

Egz. archiwalny IBL Oblasey, p. Kozenice.

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

25

# SPOTKANIE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
POZNAŃ — KSIĘGARNIA M. NIEMIERKIEWICZA  
NEW YORK THE POLISCH BOOK, IMP. CO. INC.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. ... 29  
<http://rcin.org.pl>

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 - 72

WARSZAWA WARSZYŃSKA



F96

---

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

96.

<http://rcin.org.pl>



~~MIECZYSLAW GODYCKI GWIRKO~~

~~Oblasov, p. Kazianiec.~~

*Doktorowi*

*Stanisławowi Roupertowi*

*Kapitanowi Legionów Polskich*



~~WIECZYŚLAW GODYCKI CWIRKO~~  
~~Oblacoy, p. Kozienice.~~

# CZĘŚĆ I.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
LIBRARY

1910

**MIECZYŚŁAW GODYCKI CWIRKO**  
**Oblassy, p. Kozienice.**

**GODZINA.**

---

Twarda godzina idzie przez świat, w chrześ-  
ście, w zgiełku oręża i serca nasze napada...

Więc chociażbyś czuł wszystkie radości  
życia, iż rzeką zachwytu płyną ci w piersi,  
zaś rzeki tej źródłem tve serce...

Więc chociażbyś czuł wszystkie kolory  
świata, iż tęczą ci proszą przez oczy, zaś  
tęczy tej natchnieniem — twa źrenica...

Więc chociażbyś czuł wszystkie tęsknoty  
szczęścia, iż słońcem jaśnieją ci w myśli, zaś  
słońca tego pożar wola twa nieci... Zbądź ra-  
dości, poniechaj tęcz, tęsknotę w śmiechu ro-  
zedrzyj...

Bo musi zostać jeno śmiech rycerski,  
iżeśmy się obrali ze wszystkiego — by zdo-  
być wszystko...

Twarda godzina idzie, Polaku, przez świat,  
chłoń żywo ostre jej tchnienie!

Jeśli próg domu zastąpi ci miłość, najdroższą nawet pędź, jak ladacnicę!

Jeśli ci skrupuł szlachetny łyśnie pozorem rozwagi, jak garnki stare tłucz te skrupuły mocno o ziem — ziemia odpowie nie rozważą lecz krwią...

Jeśli wianuszek rodzinnego szczęścia oplecie twe ręce i nogi na rozstaju pożegnań — rwij snadnie to babie lato i nie bacz na pajęczynę!

Jeśli, w tej twardej godzinie, najsroższy Judasz — pęd w pracy przez ciebie umiłowanej — cieniem omroczy twą wolę i drogę ci przetnie i wyrzeczenie się czynu w otchłaniach pracy utopić ci poradzi, przecherze temu nie daj wiary!...

Bo masz kielich niewoli spełnić kielichem krwi...

Musi tu rozbłysnąć pewność oczywista, żeśmy wszystko rzucili, by zdobyć wszystko.

Nie gorsz się własną mocą. Z chciwą radością słuchaj, jak w rozjuszonej twej piersi czka drapieźnik uparty i knuje miłą zemstę. Bo zemsta na progu z Północy niesie ci świetne Południe!

Więc wszystko, co jest myśli rarytasem,  
krzywizną, wyszukaniem, a nawet gwiazdą,  
rzuć! Rzuć wszystko, coby nie było szczerą  
prostotą Szeregu!... I niech w nim huczy  
twój śmiech rycerski, iżeśmy rzucili wszy-  
stko, by kośćmi wroga grać w kości...

---

## DEFILADA.

---

Z drogi!

Trąby już dmą... Na szczytach akordu drżą piszczałki, u podstaw fanfary bęben bije ceremonialnie...

Trąby już dmą, leci struga spiżowego głosu, jak złote światło... Powietrze pęka w rytmach marszu, szerokie zamachy kreślą się pod niebem uroczystym...

Z drogi!

Duma i radość wybucha z giętych trąb, niecierpliwy werbel pruje się twardo, gęstwa ech pędzi po błoni, flet tryska w niebo fontanną, puzony tchną basem prześwietnym...

Z drogi!

Aż wszystkim dech wspaniały zawisł na pałeczce dyrygenta. Jeszcze chwila... Już fale dźwięczną polotną skibą na młodość wiosennego błonia płyną...



W złotych kręgach, w chrzeście, rozgłosie, łomocie sunie — mgła daleka... błogi cień niebieski... żywoplot stałą przetykany... mur ruchomy...

Zamachy wspaniałe przez powietrze się kreślą na sławę, na cześć, na nieśmiertelne hurra!

Kto tu widz?

Tu jest widzem spłoszony tłum kielecki... Przyczajone na dachach chłopaki, gdy Belina na mieście oficera rosyjskiego przez łeb ciął... Tu jest widzem pierwsze drżenie drapieżne Polaków na widok śmiałości i walki...

Kto tu widz?

Tu są widze, — przerażone łyki i żydy z pod Nowego Korczyna, — stare mury krakowskie, gdy z pod Uliny wojsko tędy polskie przechodziło jak jawa z tamtego świata... Wydmuchy i mrozy Podhala i śmierć ogromna w Łowczowieckich parowach...

Już idą.

Wytacza się, rozwija ze zwoju dalekiego Tobie Ojczyzno, pod nogi posłanie niebieskie,

mocnego sukna postaw wyborny — Pierwsza Brygada!

Defiluj ze wszystkim w coś świetna i bogata z całą chudobą twych statków i pożytków, z całą husaryą twych poległych duchów skrzydlatych, których groby znaczy krzyż prosty, jak koncerz wbity w mogiłę...

My, — w podniebnych chmurach kurzu, sprężyną wichru ściśnięci, biczem mrozu chłostani... My — krety w ziemię wkopane, — ziemi polskiej gorący temperament — Pułk Pierwszy!

Cóżś to myślał pułkownik Śmigły, gdyś jechał do dworu po strasznej bitwie Konarskiej w pogodny szczęśliwy dzień z gałązką bzu w rękach, samotny i uśmiechnięty?... Mocna jest twa pogoda jak południe... Nie zmogą jej te różne wichry co się w różnych stronach Polski przędą wokoło mogił twego pułku...

Komendant główny!

Już podchodzą...

W złotych falach, w chrzeście, w łomocie, — gęste werble sypią się twardem

ziarnem, jak suchy pieprz... W kurzawie  
błoi, pod nieobjętym skrzydłem wiosny  
i śmierci...

Komendant główny — Piłsudski!

Na kroków sto — ziemia bić poczyna  
mocniej — niczem serce uradowane tętni  
stokrotnie...

Sprężył się każdy mięsień i nerw...  
Stopy — haha! Te twarde jak róg stopy  
biją o ziemię na płask... Szereg się równa  
pod sznur, pod nitkę, pod włos... Wydęta  
piersi, — oczy iskrami skrzą...

Trąba dmie, radość kipi w złotym roz-  
głosie — cześć się oddaje dowódcy... Oficer  
klingą szarą stalowej błyskawicy kreśli,  
głowę mu na prawo porwało w stronę Ko-  
mendanta Głównego.

Żołnierze, gdy przyjdą na kroków sto...  
Wicher im głowy w prawo przekręca, —  
każdy ruch — wierność... Na szarym mu-  
rze swego życia głowy ci swe szeregi niesie,  
dowódcu, — twoje spojrzenie tych wszyst-  
kich spojrzeń iskra. Tyś jest tych wszyst-  
kich twarzy oblicze i imion wszystkich na-  
zwisko.

Kto tu widz?

Tu widzem rozpacz chłopów, pędzonych z ziemi lubelskiej na koniec świata... »Pochwalony«, — ciśnięte z oswobodzonej gromady tym, co szli łańcuchem szarych cieni przez zboża... W starym dworze lży ocalenia a w starem mieście buhające ze wszystkich piersi hosanna!

My, — w zawierusze śmierci regulamin męstwa, orężne, krwawe z moskalem prawowanie — Pułk Drugi. Na toś właśnie majorze Berbecki z Japończykami się bił, byś teraz fronty łamał i ruskich piechurów, jak krupy zgarniał w objęcie twego pułku.

Ziemia, bije mocno, niczem serce uradowane, na rzemieniach karabinów pięście jak guzy mosiężne, furda nam — jeśli w plecaku śmierć cięży, — piersi naprzód!

My — w lesie Kozinkowskim wąż półciwartowany a żywy, na szarych kożuchach Wołynia czworobok nieugięty, w czarnem cieście torfowisk z pod Kukli szturm popędliwy — Pułk Trzeci.

Jedziesz majorze Żymirski na czele — już się drugi raz w życiu członkami wła-

dać uczył, gdy cię w noc pod Laskami szrapnel poszarpał, że się z Was, majorze, po dniu zasługi krwawa zrobiła miazga.

Warczą ciężkie armaty, za Beliną huczy grzmot kopyt, koniska robią chrapami.

Trąba dmie, kaski ułańskie jak gonty starej budowy zwarły się w mocny dach, ziemia tętni serdecznie...

Idziemy ku Tobie z oddali jak mgła, — jak cień, — żywopłot stałą wiązany, — żywy mur.

Pod stopy Twe droga Ojczyzno płynie ten postaw sukna niebieski, pod stopy Twoje się ściele...

Zstąp nań łaskawie...

---

## PIERWSZA ROCZNICA.

---

Front, twardym kątem ułańskich kasków zakończony w zarys muru. Przy nodze gięta błyskawica krzywych szabel. Przez piersi krasny rabat, jak purpurowa krew...

Jak serce, co mało nie wyskoczy z radości...

Front, niczem mur... Na kaskach świeci Orzeł Biały a twarze chwackie łuską srebrnej podpinki obwiedzione, jak sama wierność patrzą...

Dziś rok drugiego sierpnia 1915, jak wyszli w siedmiu przez granicę...

Co za jedni? Belina, Grzmot - Skotnicki, Stefan Kulesza (Hanka), Janusz Głuchowski, Antek Jabłoński, Ludwik Skrzyński, Zygmunt Bończa - Karwacki...

Siedmiu waryatów, szaleńców, włóczykijów, czy co?!

Akurat temu rok, kiedy pierwszą odprawę miał dla nich szef sztabu Sosnkowski.

Wspaniała odprawa pyszne wojsko, wspaniałe zadanie!

Zadanie: Przeszkodzić mobilizacji w Miechowskiem... I zaszczyt, że będą pierwszym oddziałem polskim, który przejdzie rosyjską granicę...

Chciwce, karyerowicze, którzy zaszczyt ten ponad życie przenieśli!...

Dziś rozmnożyli się w żywy mur... Przy nodze gięta błyskawica szabel, przez piersi rabat, jak purpurowa krew...

Tak stoi podczas swej rocznicy w kołysaniu strzałów armatnich i chwale zachodu słońca, na rżysku złotem ziemi lubelskiej I pułk jazdy I brygady Legionów...

Nadjeżdża komendant główny Piłsudski. Składa się raport...

I »rozejść się« na wspólne przyjęcie do ogrodu przy chałupie. Hurmą jeden za drugim i jeden przez drugiego, tam gdzie stoły z białych desek, wieńce z kielbasy,

olbrzymie pajdy chleba, po dwa kieliszki wódki na gardziel, piwo... Tam gdzie orkiestra nuty o butle na ziemi opiera i gra...

Noc zapadała, takie łaskawości, takie prześmiechy słodkie po niebiosach płynęły...

Chleb chrupie, kieliszki brzęczą, złote trąby buczą, policzki muzykantów wydeły się jak pyzy... Fantazyja kawaleryjskiego szeregu przerzuca się z boku na bok. Piją ci, co są niezawodnem czuciem piechoty a kierunek mają, — jak dobre wyżyły węż, — górny...

Belina podejmuje, gospodarzy... Znać na nim wielkie wzruszenie, — rozrzewnia rotmistrza ta chwila jedyna... Ta rocznica piękna i bujna...

Ten kwiat lauru durzy wdzięcznie...

Ktoś musi coś powiedzieć, bo już nie sposób... Wieczór zapada, hejnały i fanfary kawaleryjskie wstęgami się wiążą ponad latem pół...

Ktoś musi coś powiedzieć zasadniczo do gruntu.

Oto stoi na podwyższeniu porucznik Maryusz Zaruski, ułan, zawieszisty polonus, ja-



kiegoby w niebie na łańcutówce malowali,  
żeby tam taką pili...

Komendancie — powiada do Piłsudskiego...

I te słowa oficera do wodza, te proste słowa, w których jest tylko zwycięstwo, lub śmierć...

Potem mówił Piłsudski do żołnierzy. W ciżbie go widać nie było, tylko szedł z tłumu głos twardy i żywy i odpowiedzialny: O naszej kawaleryi, o tem jak ona wybornie pracuje... O wojnie, ciężkich i bohaterских jej sprawach... O tym olbrzymim wysiłku, jakiego wojna ta wymaga od żołnierza polskiego... Bo się ludzie w boju i trudzie wyszarpują, — niszczą... Bo mogą w zmaganiach tych zesłabnąć, zmęczyć się!

Porucznik Lewandowski nie wytrzymał i wrzasnął, że nie masz dla nas zmęczenia! W dwóch słowach, za nas wszystkich odpowiedział raz dwa!

Toasty szły za toastami, oficerów po kolei w górę podnoszono a Piłsudskiego wysoko, jakby go brać żołnierska na niebie posadzić chciała...

Wreszcie surmy wyrznęły »Jeszcze Polska«, szable błysnęły z pochew i staliśmy w tym sadzie w srogim blasku oręża, radością najwyższą zdjęci i starą pieśnią pielgrzymki polskiej ucieszeni...

Dumni z tych siedmiu, co rok temu wojnę polską rozpoczęli...

Potem pod gałęzią owocowej drzewiny siedli do stołu obywatele komendanci, majory, porucznicy i drobniejsza szarża wszelka.

Śmiech, wino, krzepkość wzruszeń! Śmiech, okrzyki, muzyka, kokieterya, weźcież takiego Grzmota, Wieniawę, Orlicza, Lewandowskiego!

I ta noc pełna strzałów i śmiechu, i zwiewne zataczające się nad stołem światło i te mowy, jak każdy łupił prosto z serca...

Zaś wreszcie podnieśliśmy komendanta na wiwat najgorętszy, wysoko. Na ławie postawiliśmy, niech nam z góry gada, z wysoka!

Piłsudski w siwym płaszczu na ramionach, blaskiem świec od stołu obrzucony, jak szary orzeł nad gromadą oficerów rozpostarty, zaczął gadać.

Wódz, świetny miłośnik wojny, do żołnierzy...

Że mu toasty na jego cześć ciężły... Ale się w tych toastach symbolem jeno czuje — symbolem szeregowców... Żeby chciał sławą, która go otacza, obdarzyć każdego swego żołnierza... Bo to wojsko ochotnicze zasługuje dziś już na sławę wiarusów... Że w tem wojsku ochotniczem udało mu się uniknąć stanów odrębnych... Oficera nie dzieli przepaść od żołnierza...

Tu słowa Piłsudskiego zaostrzyły się i ciał zdaniem wybornem, jak dyamentem...

Że szeregowiec u nas pieszczochem jest a dobrowolnie w posłuchu trwa, ram nie przekracza, świetnym instynktem wojny wiedziony, przeto

Niech żyje szeregowiec!

Później siedmiu bohaterów przed sobą ustawił brygadyer i pił ich zdrowie.

Nazwiska ich z dniem 2 sierpnia związane: Belina-Prażmowski, Skotnicki, Kulesza, Głuchowski, Jabłoński, Skrzyński, Bończa-Karwacki.

## PRZYWITANIE MIASTA.

---

Nie dojdzie murów kochanego Waszego miasta nasz hałas powitalny i nie zapłacze się w zaułkach starych ulic i nie wykrzyknie na bruku czcigodnego rynku, bo Was witamy nie słowem, nie pieśnią, lecz czynem.

Nastał w Polsce czas wielki, wspaniały i bezcenny, w którym rozstrzygają i pierwszeństwo mają czyny.

Idzie ku miastu i ku miastu się zbliża nasze wojsko — jak odsiecz!

Słowa te piszą się w niezapomnianem nigdy serca wzruszeniu, radość rozprasza wszystkie i nie sposób ich oblec w krasę należytej ozdoby.

Oto działo grzmi bezustannie, pocisk szybuje po niebieskim stropie tej ziemi, kłós

płonie, zaś żołnierz polski wszywa się w bujny łań rodzimych pól i walczy z wrogiem odwiecznym.

Tak Was witamy a nie inaczej i to jest największe, najszcześniejsze przywitanie.

Kto? My! Kość z kości i myśl z myśli Narodu. Nasz Wódz przewidujący, pracownik najstaranniejszy, który na całe lata przed wojną zrzeszał zastępy młodzieży, niszcząc spokój niewoli i tworząc zaczyn walki.

Wojsko przez lata całe w trudach i we krwi Ojczyznę miłujące... Prowadzone młodą a tak pewną ręką oficerów, których imiona wplotą się w łańcuch imion sławy oręża polskiego.

Tak Was witamy my, — wszyscy szeregowcy. Szeregowcy, czyli ów trud, którego nikt nie przemierzy i nie przeliczy, czyli owo bezimienne męstwo i fatyga olbrzymia... Szeregowcy, czyli niezłomny kościec wszystkich obrotów i chwytów, którymi bolejąca Ojczyzna wyrywa się z niedoli i pewną ręką sięga krawędzi lepszych losów.

Ze wszystkich szlaków, któreśmy szli, ze wszystkich tajnych dróg i białej drogi Sybirskiej, którą szli nasi poprzednicy, ze wszystkich pól, w które wsiąkała krew z pod Warszawy, Dęblina, Kielc, Łowczówka, z nad Nidy, Krzywopłotów, z pod Konar, niech zacne Wasze miasto przyjmie pozdrowienia.

Polski żołnierz przed bramami walczy, Ojczyzna wstaje i walkom jego się uśmiecha... Sława laur wije nieśmiertelny, księga dziejów na nowo otwarta — rozewrzyjcie wrota domów, — serca otwórzcie Polacy!!

---

## ROCZNICA CZWARTAKÓW.

---

Pierwszy raz spotkaliśmy się z czwartakami po bitwie pod Urzędowem 19 lipca 1915 roku. Po odpoczynku w Kętach była już wówczas brygada Piłsudskiego piąty miesiąc w boju. Byliśmy strudzeni, znużeni, wyczerpani, — zaś czwartacy!

Wszystko nowe, doskonałe, bogata wyprawa wojenna, broń, rzemienie, buty, tornistry, siodła, pasy, — cały rynsztunek, — kłamra w kłamrę i szczegól w szczegól! Wozy aż ziemia jęczała, trąby w orkiestrze, jak samo złoto...

Mieli nowe kuchnie, nowe mundury, aksamit na płaszczach oficerskich nowy, gładziutki... Bloki meldunkowe bez oślich uszu, — i rękawiczki białe!

Pułkownik Roja zaopatrzył swój pułk

znakomicie w cały wojenny dobytek. Powiadam — mieli wszystko... W swym pułkowniku doskonałego oficera i gospodarza. Korpus oficerski chciwy walki i czynu... Szereg składał się z Piłsudczyków, Karpatczyków i z tęgiego, ochotnego rekruta.

Jednego im tylko na razie brakowało, jako pułkowi — a mianowicie tradycyi... Jeszcze się wcale nie bili pod nazwą czwartaków. Mieli iść w związku ze starą I brygadą już sławną. A jako na czwartakach ciążyło na nich brzemie chwały dawnych czwartaków.

Brzemie świetne, lecz ciężkie!

To nie od parady wyszywa się na czapce ostry pazur, tej cyfry sławnej w piechocie polskiej! To nie jest przecie byle co i żaden -- na psa urok — nazywać się czwartakiem.

To przecie — generał Bogusławski, — pod Wielkim Dębem, Grochowem, Ostrołęką, — mili swoim, straszni obcym, — to wielka radość męstwa w ogromnym smutku przeszłości.

Razem z czwartakami pułkownika Roji



mieliśmy iść w ofenzywie. Zaraz przy pierwszym spotkaniu wydał brygadyer Piłsudski rozkaz powitania bratnich szeregów. Żeby się wzajem traktować z miłością, nie dogryzać sobie i nie wynosić się jeden nad drugiego.

Tymczasem, jak na złość ten marsz! Wojsko stłoczone, — jeden na drugim siedzi  
To nic...

Była wydana uczta na cześć czwartaków przez brygadę. Wybudowano specjalnie szopę, — wielkie przygotowania, — orkiestra.

Tymczasem tuż przed ucztą przyszedł rozkaz wymarszu i deszcz lunął jak z cebra.

Wszystko się zwarzyło, zmroziło i rozwodniło.

Pod Borzechowem mieliśmy czwartaków w rezerwie, pod Jastkowem mieliśmy walczyć w jednej linii.

Pogoda sprzyjała... Lasy aż kipią od zieleni, po zagajnikach niebieska buja mgła. Polami zboże faluje, rzekłbyś samo szczęście po ziemi się rozlewa.

Z boku Lublin wzięty, już nasz.

Komendant Piłsudski już skończył narady... Pułk IV idzie do bitwy. Na koniu pułkownik Roja wysoki, tęgi, spokojny wyłuszcza plan ataku swym oficerom.

Teraz bataliony wywalają z lasu. Z pośpiechem, z żarem szli do tej bitwy. Widać było, że się postawić chcą.

I postawili się! Bili się pięknie, po bohatersku, z rozmachem, z furją...

Potem nas losy rozdzieliły. A potem znów biliśmy się razem, na jesieni pod Koszyszczami.

Już się nikt nie spierał o kwatery. Możemy się mieli kłócić o ten mizerny kawałek rowu?

Wyszedłeś z okopu Berbeckiego, szedłeś okopami czwartaków, wiadomo, że to koledzy najmilsii...

I pułkownik Roja... Jak sobie chłodnym, listopadowym rankiem stał w świtce i przypijał do brygadyera Piłsudskiego. Było to jakoś z polska, serdecznie, z gospodarska, — piękna, twarda zgoda srogich sąsiadów wojennych.

Znów wojna, — oni tu, — my tam, — największe kochanie nic na to nie pomoże.

A dziś 28 maja 1916 roku jedziemy poczem zamaszystym na rocznicę czwartego pułku do Rojowego osiedla.

Jedziemy pod bramą z choiny — choraągiewki biało-czerwone lśnią w zieleni, dwóch oficerów czeka w bramie tryumfalnej, — chłopcy jak pioruny...

Jedziemy dalej przez las wiosną stokrotnie orzeźwiony, znów brama, — głos trąb po lesie ponosi.

Goście się meldują. Wyciąga się ku nim na powitanie mocna, szeroka ręka pułkownika, a miłe wejrzenie zaprasza.

Znów fanfary. Jedzie biskup Bandurski z generałem Puchalskim w eskorcie oficerskiej.

Beret biskupi w tłumie kasków i czapek kraśniejący jak poziomka, posuwa się do kaplicy, kaplicę wystrugano z pni sosnowych, zakopańską, że klękajcie narody!

Nabożeństwo... — Kapelani służą do mszy. Batalion czwartaków naprzeciw ołtarza w zwartym szyku, po bokach goście.



Więc delegacye wszystkich pułków, wszystkich brygad, delegacya Naczelnego Komitetu Narodowego z ks. Lubomirskim, departamentu wojskowego z podpułkownikiem Sikorskim na czele.

Po mszy kazanie ks. biskupa w najzaciewniejszych, najgodniejszych słowach, prawda głęboka, — »w przelanej twojej krwi żołnierzu żyje Naród«.

Wszyscy goście byli na konkursowym strzelaniu, gdy przyjechał komendant Piłsudski.

W jednej chwili półkrąg się sformował. Tak długie oczekiwanie tej króciutkiej zwłoki, nim wysiądzie lekko z powozu i podejdzie się witać... Zaś tak trudno się witać z całą żołnierską estymą i godności oddaniem posłusznem. Gdy oto serce nieposłuszne wita więcej, niż ojca...

Tu się nareszcie pierwszy raz spotkali i poznali znakomity Litwin z dzielnym, przeznacnym Mazurem, Piłsudski z pułkownikiem Zielińskim.

Po rozdaniu nagród za strzelanie prze-

szli zaproszeni na obiad do przestronnej altany, zbudowanej z ogromnych pni.

Gdy już honoratorom zupeł na talerze rozlano, wrzask się podniósł radosny, — bo nagle z boku, poprzedzona surmą fanfary wjechała kuchnia polowa, zaprzężona w siwe konie z porucznikiem Pełdjakiem na koźle.

To Gruby, Gruby! — krzyczano — ten sam, który nam zupeł dawał w Oleandrach!

Więc sznurem gęsiego do Grubego, do kuchni panowie oficerowie, każdy z talerzem w łapie.

Przy obiedzie, w cieniu i w szumie lasu, w dźwięku muzyki, po pieśniach z czasów generała Bema, które śpiewali zaproszeni Węgrzy, rozpoczęły się toasty. Pierwszy jest na cześć wolnej Polski, pułkownik Roja. Potem major Galica na cześć biskupa Bandurskiego. Potem głębokiej treści toast wypowiedział kap. IV pułku Bończa-Uzdowski, wznosząc go na ręce gen. Puchalskiego. Potem major Ryłski pił na cześć bryg. Piłsudskiego. Toastowano wielokrotnie na cześć IV pułku, a pod koniec kap. Kukiel przypomniał, jakto tamci czwartacy w 1831 roku...

...Właśnie zapada zmrok... General Skrzynecki niezdecydowany każe przerwać bitwę... Lecz czwartacy prowadzą ją dalej, porywając za sobą inne oddziały, zdobywają rosyjskie pozycye.

Czuło się, patrząc po zbrojnym zgromadzeniu, po tych twarzach błyszczących w słońcu jak spiż, obramowanych szorstkim łąkiem sosnowego wieńca... Czuło się patrząc na tych czwartaków spokojnych, silnych i śmiałych, że to godne prawnuki żołnierzy generała Bogusławskiego..., że wspaniały skarb tradycyi mnoży się ich męstwem, a potęga chwały w potęgę czynu się przemienia...

---

## NASI UŁANI.

---

Na jednym z naszych patroli wywiadowczych pluton ułanów III szwadronu I pułku jazdy pod dowództwem podporucznika Śmigielskiego natknął się na przeważające siły rosyjskie. Uderzył na nie, jednak zaskoczony z boku i z tyłu, wzięty w silne widły oskrzydlenia, przebił się przez nie i po zażartej walce, mając za sobą do przebycia pół kilometra przestrzeni lodowej, dotarł do swoich.

W walce tej, nierównemi prowadzonej siłami, zginęli w boju wręcz, ułani Tadeusz Oster-Ostrowski, wachmistrz, szeregowiec Kasprzykowski Konrad, szeregowiec Sałaciński Adam. Śmiertelnie ranny w brzuch szeregowiec Bejgrowicz Kazimierz (Bej)

i szeregowiec Woyna Janusz z roztrzaskaną nogą, — dostał się do niewoli.

Cała zamaszysta sława polska, tak pięknie w sztuce i w powieści uwielbiona przez lat dziesiątki od czasu, gdy sławie nad złamanymi godłami stróżować wypadło, wszystek ów czar, który wzburzał pokolenie młodzieży polskiej za pokoleniem, wszystko, co jest w ułanie polskim najrdzenniejsze z postawy, z ruchu, z rzutu, z honoru i z koleżeństwa, zawarło się w tym boju ręcznym, który polegli ułani podjęli i prowadzili do ostatniego tchu, do śmierci, — dla ocalenia wycofującego się oddziału.

Składa się tak, że polegli ułani to młodzież akademicka... Składa się tak, że wszyscy z największym trudem, rozmaite zwalczając przeciwności, dostali się do ułańskich szeregów.

Jak to w Polsce od dawna bywa...

Bejgrowicz (ur. w 1899 r.), absolwent szkoły handlowej w Radomiu, podczas wybuchu wojny znalazł się za kordonem. Do szeregów naszych dotrzeć było mu bardzo trudno. Musiał się był przedzierać przez



front rosyjski. Ukrywał się więc, tułał, nocował po kościołach.

Złapali go.

Przesłuchany przez władze rosyjskie, zdołał się wykręcić, zmylił za sobą ślad, przeczekał, aż front się cofnie i w jakiejś wiosce za Wieprzem, przyłączył się do następujących za nieprzyjacielem ułanów naszych, dnia 15 sierpnia 1915 r., otrzymując służbę w 1-y m plutonie III szwadronu I pułku ułanów.

Ten wesoły, dzielny chłopiec był doskonałym żołnierzem i miłym towarzyszem broni.

Została po Bejgrowiczu w szwadronie fotografia z jego cywilnych czasów. Młodzieńki »Bej« w mundurku sztubackim uśmiecha się na podobiznie w pośród zieleni i krzewów, obwiedziony jasną lamą słońca.

Sałaciński Adam urodził się w Piotrkowie 29 marca 1895 roku, wstąpił do Legionów 15 października 1914 r. Do kawalerii przydzielony został 30 stycznia 1915 r. Cały czas służył w III szwadronie, jako szeregowiec.

Kasprzykowski Konrad urodził się w Lubelskiem w 1892 r. Jako słuchacz lwowskiej politechniki należał przez trzy lata do Drużyn Strzeleckich. Od początku wojny do sierpnia 1915 r. spełniał ciężkie obowiązki w służbie wywiadowczej. Do kawaleryi wstąpił 3 września 1915 r., jako szeregowiec III szwadronu I plutonu.

Tadeusz Oster-Ostrowski urodził się w Warszawie w 1895 r. 8 sierpnia. Po ukończeniu szkół średnich w kraju, kształcił się w Saint-Gallen. Należał przez rok do tamtejszego Strzelca. Wyszedł na wojnę z krakowskiej szkoły Strzeleckiej w kadrowej kompanii. Wstąpił do kawaleryi dnia 20 października 1914 r. Ranny pod Stobychwą we wrześniu 1915 r. wrócił ze szpitala jeszcze niezupełnie wyleczony do szeregu. W listopadzie został mianowany wachmistrzem.

Tyle mówią daty. Ale jakimi byli żołnierzami ci ułani?... Spytajcie rotmistrza, spytajcie komendanta III szwadronu porucznika Głuchowskiego, co to byli za ludzie,

ci, których musi wymazać z listy swego szwadronu...

To byli — odpowie por. Głuchowski — dobrzy żołnierze, jak wszyscy. Każdy ułan zrobiłby to samo na ich miejscu.

Rannego na szpicy ciężko w brzuch Bejgrowicza wzięli na nosze i odstrzeliwując się gęsto, cofali się z nim.

Wstrzymują jedno uderzenie. Pada ranny w nogę Woyna. Ostrowski nakazuje dalszy odwrót a sam z Sałacińskim i Kasprzykowskim postanawia skupić na sobie napór setki Rosyan.

Rosyanie atakują. Ostrowski powala kolbą pierwszego napastnika i ostatnim ładunkiem rewolweru strzela sobie w skroń.

Tadek, co robisz!! — krzyczy jeden z ułanów...

Pada raniony w nogę Sałaciński i broni się rewolwerem. Przebity bagnetem w brzuch, ginie od własnej kuli w usta.

Do Kasprzykowskiego, zwałonego postrzałem w brzuch, strzelają żołnierze rosyjscy i myśląc, że go dobili, pędzą dalej.

Nadciąga odsiecz, którą prowadzi po-

rucznik Skotnicki. Rosyanie z ciężkimi stratami wycofują się za swoje okopy. Por. Skotnicki, chociaż zachodził od tyłu, nie zastał ich już na pobojowisku. Zaczęto szukać rannych i zabitych. Po gęstych śladach krwi od strony rosyjskiej doszli wreszcie ułani do miejsca, w którym broniła się maulutka a prześwietna aryergarda plutonu. Ostrowski leżał twarzą do lodu bez butów i kożucha, bez pierścionka i złotej bransoletki, którą zawsze nosił był na ręku. Ograbili go Rosyanie.

Opodal odnaleziono Sałacińskiego. Kasprzykowski doczołgał się do stogu siana.

Pierwsze słowa, jakie wymówił przez uśmiech radości, utrudzenia i walki do odnajdującego go kolegi, były: Wiesz, Oster to bohater.

Ciężko rannego ponieśli żołnierze z powrotem. Jego właśnie opowiadaniu zawdzięcza się szczegóły o wspaniałej walce Ostrowskiego i Sałacińskiego z Rosyanami.

Kasprzykowski zmarł dnia następnego. W dzień śmierci 14 marca zaczął był

list do rodziców, którego mu rana śmiertelna skończyć nie pozwoliła.

»Moi kochani«, — napisane jest jeszcze równym charakterem. Następných słów kilka chyli się coraz bardziej, a litery ostatnich wyrazów zaplątują się raczej w szare węzły i supełki pajęczne, niż w znaki.

»Moi kochani! Bodaj, czy to nie jest mój ostatni list. Jestem ciężko ranny i może już nie przeżyję tej rany«.

Tu litery się plączą, chwieją, drżą i w drzeniu się gmatwają. Słabnące je rozwiązuje życie? Czy żal je mąci i wielka litość żołnierza?...

»Nie smućcie się« — czepia się szara niteczka pisma po papierze, — »przecież to wojna«.

Tak zginęli ułani: Ostrowski, Sałaciński, Kasprzykowski życiem bujnem, krwią obfitą i bólem ogromnym świadcząc, jakie jest prawe koleżeństwo żołnierskie, jaka powaga broni, jaki blask honoru i jaki hart męstwa w młodym żołnierzu polskim.

## WIELKANOC W POLU.

---

W Wielką Sobotę dzień był piękny — że się zasłuchać można było, zapatrzyć, zasnąć z tego łaskawego spokoju i dobrego wywczasu.

Już wiosna. Drzewa rozprężają lekko różowe gałęzie na czystym lazurze — drzewa młodziuchną krwią świeżej wiosny napęczniałe. Wszystkie pędy krzewów, wszystkie guzy starej gruszy, wątle kolanka ciemnej olchy i słabe zgiby smukłych wierzb obsiadł rój maleńkich, zielonych motyli ze stulonemi skrzydełkami.

Kiedyż się rozwinie ten rój i ze skrawków liście wyrosną cieniste?...

Niebo wilgotne, bezmierne, połyskliwe, jak jakieś czułe, bezgraniczne zadziwienie... W świetlistych jego oddalach kluczy głos

ptaków i perli się niewidzialny, kochany, dźwięczny.

Głos ptaków całuje powietrze...

Zaś między ziemią obmarzniętą, już zieloną, a obłokami przemierza się i polata, śmiga i tchnie oddech rzeźwej, wiosennej ciepłoty, jak struga, zdroj, jak wstęga szarfą się wiążąca w szczęśliwej nieskończoności.

We wsi ruch wielki. Coraz trzasną wrota, żołnierz spieszy z piramidą paczek, puszek, zawiniątek, które mu się na stulonych rękach piętrzą od piersi aż pod nos. Brodą przytrzymuje, żeby się to nie zwaliło, salutować nie może, tylko oczyma błyszczącemi wskazuje na tę darowiznę z domu, albo od Ligi, albo z któregoś miasta, gdzie rok temu walczył. Miasto mu to pamięta, przysłało święta — albo jeszcze...

To od was, piękne ręce, kochane oczy i słodkie usta?...

Nikt się dziś nie buja na huśtawce, kręcącej się na połamanem kole od wozu, nikt nie gra w kręgle. Żołnierz się snuje po wsi, drzemie w słońcu, wyłazi z ziemianki i słucha, jak po szmaragdowych moczarach stroi

się i zestrąja dudka wiosny i przedzie się srebro starego lata babiego.

O godzinie 6 wieczorem resurekcyja.

Batalion służbowy ustawił się przed cerkwią zwartym, głębokim szykiem.

Już niebo się przemienia — wielkie światło słońca przetęża się i w fioletach przekwita. Między gałęzie wysokich drzew dokoła cerkwi mrok się wplata, po ciżbie wojennej półgłosem słowa latają, piaszczy-sta droga wsi ledwie widocznie srebrzyć się zaczyna.

Już nad chałupami rozwiewał się złotawy kurz i proch dziennego znoju, gdy w szarych, aksamitnych głębiach cerkwi zadrżały światła nad ołtarzem.

Cisza wionęła po szeregach.

Słyszał było, jak daleko na strzechach klekocą bociany, jak w miękkim tle pół huka świeża wiosna. Aż w szeroki oddech tej pory dobroczynnej, tej pogody szczęśliwej i mroku wpadły szybkie, srebrne trele dzwonek od ołtarza.

W pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy ta sama pogoda, co wczoraj. Rano była



wielka parada i defilada. Batalion za batalionem, pułk za pułkiem, a na skrętach w szyku rozwiniętym zachodzenie, jak na wzór... Zresztą — niechże przejdzie obronny mur, niechże się ruszy i idzie szaniec tylekroć skrwawiony a niezdojbyte — to nasza piechota... Niechże się zjawi i przewinie zbrojne marzenie dziadów, ojców i synów — to nasza kawalerya...

Po defiladzie — święcone. Nie takie, że przyszedł, zadzwonił, usiadł na krzeselku z talerzykiem w rękę, z rożkiem chustki jedwabnej w kieszeni.

Święcone w ciągłym śpiewie, wśród nieustającego okrzyku radości, co się jak rozgłośnia chmura kłębił i przewalał nad wsią. Święcone w chałupie — ze stołem, niby grzęda kwitnąca nawskos, z muzykantami w złotych trąbach na szyi i przez plecy.

Z muzykantami, co rzną fanfarę — pyzate i rubaszne anioły strzeleckie.

Po południu na wielkiem boisku match footballowy i bieganina zajadła do upadłego. Jednej piłce rozbili bebechy. Dawać drugą.

Już lecą, tylko się błyszczą w słońcu

związłe mocne kolana. Aż znów nad splątana gęstwą walczących z obłoków pyłu wzbija się elastyczna, skórzana pała — niby żywa, krzepka i potoczna istota tej całej gonitwy i zabawy.

Zaś potem znów święcone i muzyka, ktoś dusi boki harmonii, przez którą omalżycia nie postradał w boju, bo ją wszędzie ze sobą taszczy. Ktoś oczy w gwiazdy wlepił, harmonijką po wargach wystrzępionych wodzi, a pięściami pociska, jakby z owocu te tony słodziutkie ssał, a nie z instrumentu. Tamci się objęli ramię pod ramię i opowiadają sobie, chrupiąc czekoladę — a ona mi pisze...

To od was, piękne ręce, kochane oczy i słodkie usta?...

W drugi dzień Świąt Wielkanocnych — jeszcze święcone. Więc ciągle jeszcze nad wsią unosi się złoty kurz i zawierucha głosów i tumult młodego okrzyku.

Ujrzysz ich, mijając chałupy, jak brązowymi rękami krają jedzenie, jak w ciemnych garściach niosą do ust białe kawały ciasta... Jak śmieją się potężnym rechotem

gardzieli, że aż żyły niebieskie wystąpiły na czoło. Ujrzysz ich, jak ubrani kwiatami i pstrym papierkiem darów leżą w słońcu, na murawie, lub śpią w dosycie na przyzbach ziemianek — barwna radość wiosny, święta i boju.

Wieczorem drugiego dnia przyjmowała Brygada. Ciemno już było, gdy konie ostatnich gości odprowadzali ordynansi. Przed domem rozłożyła się orkiestra 1-go pułku.

Wiatr świece gasi, to znów promienie między ciżbę ciekawych ciska, co oparli się o płot i patrzą w okna.

W izbie już się zebrali oficerowie, podoficerowie i żołnierze zaproszeni.

Aż szaro, aż ciemno od mundurów. Szef sztabu Sosnkowski pod nieobecność komentanta Piłsudskiego zaczyna ceremonię.

Z daleka, z gwiazdzistej nocy przypływa wciąż fala wesołych okrzyków.

Wysoka postać szefa posuwa się wolno naprzód od żołnierza do żołnierza, dzióbią w talerzyk i podają sobie ręce.

Już teraz uczta.

Żołnierska orkiestra rżnie we drzwiach.

Jeden na skrzypcach, dwaj na harmonijkach ustnych, oczy spuścili, brzuchy naprzód podali, aż skrzepli w sobie od tej muzyki — a czwarty dmucha na pustej butelce. Butlę owiazaną czerwoną wstążeczką przyparł do piersi i dyszy w nią. Butla dudni, jak kontrbasy — drobi się jakiś obertas z piekła rodem. Gdy nagle wstaje szef: »Zdrowie komendanta Piłsudskiego!«

Poderwało się wszystko z ław, ogromny okrzyk runął z izby, wzbiera na dworze i trwa potężny wśród ciszy i rozkoszy wiosennego wieczoru, jakby się nigdy nie miał skończyć.

---

## POD KOŁODZIEJAMI.

---

Mnożyły się już przy końcu czerwca coraz wyraźniejsze znaki, że na odcinek Legionów nastąpi uderzenie rosyjskie. Trudno jednak było przewidzieć jego siłę i charakter wobec niezmiernie wytężonej akcji nieprzyjaciela na południu. Dochodził stamtąd przez całe dni i noce trwający głuchy ryk dział o silnie przyśpieszonym tempie. Chwilami stawał się tak szybki, jakby to były nie armaty lecz jakieś gigantyczne karabiny. Wobec natężenia tych walk na południu można było przypuszczać, że przed frontem Legionów przedsiębrane będą energiczne demonstracye, z którymi wypróbowany żołnierz polski łatwo da sobie radę. Kroki zaczepne, jakie podejmował nieprzy-

jaciel w końcu czerwca, potwierdzać mogły te przypuszczenia.

Były to manewry piechoty, starającej się opanować przedpole i zmusić piechotę polską do utraty inicjatywy przed własnym odcinkiem. Robota ta, z natury rzeczy drobniawa i wielkiej wymagająca zręczności, przerwana została Rosyanom kilka razy stanowczo przez 5 pułk Berbeckiego. Pozwolono tu mianowicie rosyjskiej piechocie uzyskać pewne korzyści po to jedynie, by ją ich w nocy nagłym wypadem pozbawić, zadać nieprzyjacielowi dotkliwe straty i zdemoralizować jego szeregi.

Praca wywiadowcza rosyjskich lotników również nie przekraczała normalnych ram. Ponad okopami uwijali się lotnicy rosyjscy, spędzani z nad linii karabinami maszynowymi. Nie mogli oni byli zresztą wielkich lub nieznanych zupełnie zebrać nowości. Wszak pozycje obu armii a tem samem i pozycje Legionów od dawna już były ustalone i o kształcie ich, dzięki trwaniu frontu na tem samym miejscu przez zimę i wiosnę, można było nabrać dokładnego

wyobrażenia. Linia frontu Legionów, obsadzona przez 3 i 1 brygadę (2 brygada stała wówczas na odpoczynku, później zaś użyta była jako rezerwa tej części frontu), przebiegała przez lasy i polany z północy na południe około wsi Kostiuchnowki, jak gdyby palcowatym wygięciem okopów dotykając w jednym miejscu nieomal okopów rosyjskich. Owo wygięcie, utworzone i umocnione jak reduta, zwano redutą Piłsudskiego. Poza nią pozycje szły, rwąc się na bagnach, na południe wzniesieniami terenu aż ku wynioślejszemu wzgórzu, t. zw. Polskiej Górze.

Umocnienie okopów, mimo stosowanych zawsze przy pracy środkach ostrożności, musiało też do pewnego stopnia być znane nieprzyjacielowi. Linia cała była solidnie szalowana drzewem, w wielu miejscach pobudowano głębokie granatniki (schrony przed ciężkimi pociskami), umocniono placówki, połączono te telefonicznie. Tam, gdzie wyniosłość terenu na to pozwalała, urządzono jak gdyby dwie kondygnacje, za pierwszą zaś linią utworzono całą sieć rowów, które

stanowiły wzajem związaną drugą i trzecią rezerwową pozycję.

Wojsko rozłożone było jak następuje: od lewego skrzydła ku prawemu szły pułki piechoty 4, 6, 1, 7, 5. Komendant 1 pułku pułkownik Śmigły prowadził centrum legionowego odcinka, komendant 4 pułku pułkownik Roja skrzydło lewe, komendant 5 pułku podpułkownik Berbecki skrzydło prawe.

Po kilku bardzo niezręcznie przez Rosyan prowadzonych atakach na front 4 i 5 pułku nastął względny spokój, który przerwał ranek 4 lipca.

Główna siła uderzenia rosyjskiego w tej części frontu wymierzona została na odcinek, zajmowany przez I brygadę, specjalnie zaś na prawe jej skrzydło, obsadzone przez 2 pułk strzelców (5 Legionów) i przez VI batalion.

Bitwa rozpoczęła się nagle, wybuchając odrazu z niesłychaną gwałtownością i rzecz oczywista, rozlewając się również po całym froncie 4 i 6 pułku piechoty Legionów.



Atak obejmował także sąsiadujące na prawo i lewo dywizye armii.

Gwałtowny ogień artyleryi nieprzyjacielskiej dnia 4 b. m. wzrastał z niesłychaną siłą, przechodząc do potęgi straszliwego ognia huraganowego. Rosyanie walili w okopy pułku Berbeckiego, na redutę zajmowaną przez V batalion kapitana Olszyny, oraz na pozycye VI batalionu pod komendą kapitana Kukiela ogniem pięciu bateryi ciężkich haubic 15 i 18-centymetrowych oraz przynajmniej pięciu bateryi polowych. Jak się później dowiedziano od rosyjskich jeńców, do samego noszenia amunicyi, by nastarczyć pośpiechowi, użyli Rosyanie znacznej części jednej z atakujących dywizyi. Dwa stałe balony rosyjskie, utwierdzone po tamtej stronie frontu, kierowały celnością ognia.

Rzecz oczywista, że w ataku i przygotowywaniu go na tak wielką skalę skupił nieprzyjaciel odrazu największą energię na cały szereg placówek polskich oraz na redutę Piłsudskiego i placówkę, rozłożoną przed redutą w odległości 60 kroków od

Rosyan. W ogniu artyleryjskim poczęły detonować wszystkie przygotowane tu zawczasu na wypadek szturmu piechoty miny. Okopy usuwały się żołnierzom z pod nóg po prostu. Placówka umocniona przed redutą zamieniła się w kupę piachu i rumowiska. Około godz. 10 rano obsada placówki, nie chcąc ponosić bezowocnych strat, wycofała się na redutę, łącząc się z gros obsady, którą na tym odpowiedzialnym posterunku stanowił V batalion pod komendą kapitana Olszyny.

W tym samym czasie i napięciu równoczesnych walk całej linii placówek z następującym nieprzyjacielem pozycje pułku Berbeckiego przedstawiały już niezwykle widok. Unosiła się nad tą częścią frontu ruda chmura, wstrząsana nieustannie ognistem mrowiem wybuchów. Smuga piachu, kurzu i pyłu z rozburzonych okopów, niby olbrzymia piętrowa ściana słaśniała się ponad nimi. Niebo zaciemniło się od tumanów czarnego dymu granatów. Gorący i pogodny dzień letni zmienił się w piekło. Do tej duszności upału pożogi i dymu dodać

należy niesłychany trzask eksplozji i przeraźliwy pisk latających w powietrzu odłamków żelaza.

Cichy lasek pod K. zaczął się wywracać, strzaskane gałęzie i konary spadały na okopy. Z łąk i wzgórz raz wraz wytryskiwały wysokie fontanny ziemi. Pod tą rudą płachtą kurzu i ognia, pod rzeczywistym gradem żelaza, pod tem mrowiem ogni, w spiekocie i duszącym fetorze prochu stali żołnierze 5 pułku tak zuchowato, tak dzielnie i pewnie, jak ich tego uczył podpułkownik Berbecki.

Zresztą on sam świecił przykładem. Dookoła budynków i ziemianek komendy pułku powyrywały granaty olbrzymie leje. Uderzenie ciężkiego pocisku wysadziło wszystkie szyby z okien, raniąc telefonistów i wywracając wszystkie sprzęty. To znów granat rozwalił ziemiankę i zabił na miejscu czterech żołnierzy. Podpułkownik Berbecki z bezwzględną pogardą śmierci, z niezmaconem poczuciem olbrzymiej swej odpowiedzialności stał na stanowisku, jak gdyby ignorując tę wichurę śmierci, która szalała

nad nim i jego oddziałem. W tym gradzie pocisków z ciężkich haubic towarzyszyli podpułk. Berbeckiemu mężnie adjutanci podporucznicy Borek i Trapszo. W tym gradzie śmierci wśród rozrywanych na strzępy żołnierzy prowadzili znakomicie swe bataliony, kompanie i plutony oficerowie z pułku strzelców I brygady, nie oszczędzając własnego życia.

Zaś żołnierze? W rozchełstanych mundurach, złani potem, czarni od kurzu, z ustami popękanymi od pragnienia, z wypiekami na twarzy... Wśród nieustannej śmierci i zgrozy jakaś zawziętość ich ogarniała, jakieś nieustępliwe waryactwo wytrwania.

Około południa sztab I Brygady z dawnej kwatery przesunął się naprzód ku frontowi. Założono centralę telefoniczną w Lasku Saperskim; część oficerów wraz z kometandem Piłsudskim poszła do okopów, przy centrali zaś pozostał kapitan Tadeusz Piskor, który wycofał się ze swego stanowiska dopiero następnego dnia wieczorem z kasetami telefonicznymi w rękę, otaczany już przez piechotę rosyjską.

Okolo godziny 1 popołudniu przyszedł komendant Piłsudski do okopów V batalionu, pułkownik Sosnkowski zaś na stanowiska VI batalionu łączące się poprzez bagno z pozycją tak eksponowanego 5 pułku piechoty.

Była to długa i nieopowiedzianie piękna godzina, gdy Piłsudski usiadł wśród żołnierzy na reducie swego imienia, wstrząsanej piekielnym ogniem rosyjskich dział. Było mu gorąco. Żołnierze dali mu pić. Zdjął bluzę i rozmawiał wesoło z żołnierzami i z kapitanem Olszyną, komendantem reduty. Pochylony, zgrzany, siedzący na jakimś pniaku, wśród tej burzy pocisków łagodny i łaskawy, sprawiał raczej wrażenie gospodarza utrudzonego, serdecznie gwoli dobra swych najbliższych, niż srogiego wodza.

Kierowanie obrony stawało się nad wszelki wyraz uciążliwe. Wszystkie połączenia telefoniczne rwały się raz po raz. Łącznicy ordynansi z niezmiernem ryzykiem jedynie mogli byli dochodzić do oznaczonego punktu, zważywszy morderczy i celny ogień artylerji rosyjskiej.

Okolo godz. 3 popołudniu wzmógł się nacisk na prawe skrzydło centrum i na krańcowe lewe skrzydło t. j. na 4 pułk pod komendą pułkownika Roji. Artylerya nieprzyjacielska nie przygotowała tu ataku tak stanowczo, jak przed 5 pułkiem, tem niemniej kolumny rosyjskie podstępowały w masach coraz widoczniej. Powoli, ostrzeliwując się, zaczęto zwijać linię placówek.

O godzinie szóstej popołudniu doszedł ogień huraganowy do najwyższego napięcia. Pod osłoną tego ognia rozpoczął nieprzyjaciel szturm na redutę, na batalion kapitana Kukiela i lewe skrzydło pułku Berbeckiego. Szturm odparto, rażąc przeciwnika morderczym ogniem.

Tu parę słów należy powiedzieć o charakterze i duchu wojsk rosyjskich atakujących. Piechota rosyjska szła do szturmów bez rozjątrzenia bitewnego, bez zapału, na pozór mogłoby się zdawać, że i bez strachu. Były to raczej olbrzymie bierne fale ludzkie z tępą, leniwą apatyą, jak szary, wezbrany bałwan, podpływający ku okopom.

W boju wręcz nie wykazała piechota

rosyjska żadnej energii. Dość powiedzieć, że żołnierze rosyjscy cofali się przed naszymi oficerami, bici przez nich szpicrutą, lub na wyciągnięcie rewolweru. Ten sam jednak żołnierz podsuwał się w morderczym ogniu ku okopom, nie rzędami tyralier nawet, lecz poprostu w zbitych kupach i gromadach. Podsunąwszy się zaś pod druty zarzucał je płaszczami, padał na nie, zaś następnie szli po moście ze swych towarzyszków naprzód. W przeciwieństwie do piechoty, ogromną energię i odwagę wykazała rosyjska kawalerya.

Próby ataku na redutę zostały z łatwością odparte. Równocześnie masy piechoty rosyjskiej pchały się przez zarośla i las na lewo, atakując front I-go, VI i IV pułku Legionów. Pułki te stopniowo wycofały z przedpoła placówki, czekając na nieprzyjaciela w okopach nie wziętych przez Rosyan pod działanie ognia huraganowego. Atak rosyjski, wzięty flankowym ogniem przez VI i IV pułk załamał się kompletnie. Dzielni czwartacy przypuścili nieprzyjaciela na 50 kroków i z tej dopiero odległości

zaczęli literalnie rozstrzeliwać zbite jego masy.

Tymczasem złamana została pozycja na prawo od pułku Berbeckiego. Pierwszy batalion tego pułku pod komendą kapitana Sława-Zwierzyńskiego miał już na skrzydle i na tyłach Moskali. Zarządzony przez podpułkownika Berbeckiego kontratak poprowadził porucznik Myszkowski dwiema kompaniami 2-go batalionu II pułku strzelców. Kontratak ten zdobywając opustoszałe na prawem skrzydle pozycje nie mógł być wspomódz kapitana Sława. Widząc się otoczonym kapitan Sław postanowił się przebić bagnetem przez Moskali. Wspaniałym tym i bohaterskim manewrem ocalił batalion. Padł w czasie tej walki.

Z drugiej linii obronnej, na którą wycofano się w ciągu wieczora wyszedł jeszcze jeden kontratak pod komendą majora Wyrwy-Furgalskiego, w którym wzięły udział drugi batalion II pułku strzelców (V Legionów) i drugi batalion VI pułku Legionów.

Kontratak majora Wyrwy, prowadzony energicznie, musiał się cofnąć z powodu



niezmiernej przewagi liczebnej Rosyan oraz możliwości oskrzydlenia.

Pierwszy dzień bitwy pod K. dał możliwość zająć nieprzyjacielowi pierwszą linię naszych okopów tylko w kilku miejscach. Zasadniczo pozycja się utrzymała, wiążąc się wzajem na pomocniczych stanowiskach. Straty Rosyan na odcinku bronionym piędz po piędzi były olbrzymie. Ogniem karabinowym rozbijano całe kupy piechoty rosyjskiej. W dniu tym okrył się nieśmiertelną sławą drugi pułk strzelców (V Legionów), na który szło największe uderzenie. Podpułkownik Berbecki, jego oficerowie, jego żołnierze złożyli dowody męstwa, równego najwznioślejszym i najofiarniejszym przykładom w historii oręża polskiego. Linia tej przedziwnej piechoty, stojącej w huraganowym ogniu ciężkiej artylerii przez godzin piętnaście, wieczorem ruszyła do boju wręcz, walcząc skutecznie z nieprzyjacielem, wielokrotnie przewyższającym liczbę obrońców. Odznaczył się wybitnie batalion V i VI, prowadzony w związku pułkowym

przez majora Fleszara. Walczył spokojnie i wytrwale pułk VI i IV.

Animusz był tak wielki, że po pomyślnym odparciu ataku w IV pułku na odzyskanej i jeszcze płonącej placówce zagrała orkiestra. Ten dzień bitwy po raz pierwszy sprzęgnął we wspólnym boju większość pułków Legionów, siłą rzeczy i sprawności oręża i trudu wysuwając na pierwszy plan komendanta Piłsudskiego.

## II.

Po wycofaniu się z kontrataku major Wyrwa przeszedł na nową pozycję pod Polski Lasek. Koło godz. 6 rano trzy kompanie 6 pułku Legionów obsadziły powstałą poprzednio przerwę i nawiązały łączność z sąsiadami.

Prawie równocześnie rozpoczął się ogień artylerii rosyjskiej jeszcze potężniejszy niż dnia poprzedniego. Ogień ten trwał z przerwą godzinną w południe, przez cały dzień i osiągnął intensywność tak znaczną, jakiej wczoraj nie było ani przez chwilę. Teraz waliły

salwami olbrzymie działa 24 cm kalibru. Druga linia okopów była pociskami już koło południa zupełnie rozbita. Złota chmura piachu i kurzu ścieląca się nad pozycjami, falowała gwałtownie, kłębiąc się w ciągłym przelocie pocisków. Olbrzymie granaty rozwały cmentarz żołnierski, leżący opodal komendy 5-go pułku. Smród z rozbitych grobów i rozerwanych wczoraj, jeszcze niepochowanych żołnierzy napełniał powietrze wraz z czarnym duszącym dymem, wonią zgnilizny. Potrzaskane krzyże wpadały do ogromnych lejów, lub pędziły wraz z ziemią i szczątkami ludzkimi pod niebo i na las. Rozbita już wczoraj kwatera komendy 5-go pułku, w której wciąż urzędował podpułkownik Berbecki grążyła się ustawicznie w deszczu odłamków ze spadających dokoła pocisków.

W straszliwej nawale nie było słyhać nawet lotu wielkich obusów. Ustawiczny wstrząs powietrza i fale ciągłych eksplozyi przejmowały żołnierzy bólem, skręcającym mięśnie. Działalność olbrzymich armat, tak wyczerpujących nerwy załogi okopów, po-

częła również czynić wielkie szczyrby w szereгах. Rannych daje stosunkowo taki ogień niewiele. Strzał celny zmiata i rwie w kawały całe grupy ludzi, a jeżeli już rani, to raną ogromną, rwaną, prawie beznadziejną. Zdarzały się wypadki, że w jednej sekundzie ginęły posterunki z kilku, kilkunastu ludzi. Że żołnierze zmiażdżeni pociskiem, wtłaczani bywali w pnie, tak, iż ciała ich, a raczej szczątki pomieszane z krwią i żywicą z tych pni kawałami odrywać trzeba było. Że z wysuniętych posterunków przyczolgiwali się, wlokąc zmiażdżone nogi, trzymające się korpusu na kilku pasmach skóry.

Cała służba wojenna w okopach, wszystkie pogotowia rezerw, stanęły wobec grozy śmierci. Nie można inaczej powiedzieć jak tylko, że każdy krok, każde przyniesienie wody w manierkach dla plutonu czy sekcji, trawionych upałem słonecznym dnia i suszącym zaduchem prochu, każde podwieszenie żywności, dostarczenie jej w ciężkich kotłach aż na najdalej wysunięte posterunki, każda interwencja sanitaryuszy wymagała tego dnia rzeczywistego bohaterstwa.

Wszystkie te funkcje bojowej i pomocniczej służby, sprawiane były dokładnie, ściśle i spokojnie, jak w normalnym czasie. Żołnierze, trudniący się dostarczaniem jadła i kawy, wlekli spokojnie ciężkie kotły rowami łącznikowymi aż na placówki. Żołnierze sanitarni wyciągali rannych, często odrywając rozgorączkowanych bojem od strzelnic i z narażeniem życia przenosili w bezpieczniejsze miejsce. Wszyscy doktorzy batalionowi i pułkowi znaleźli się w pierwszej linii bojowej, opatrując rannych bezpośrednio po odniesionem obrażeniu.

Strzelanie własnej artylerii nie stanowiło dla nieprzyjaciela żadnej przeszkody. Małe kalibry i zerwanie pociskami całej sieci telefonicznej, uniemożliwiało przeciwstawienie nieprzyjacielskiemu atakowi ogniowemu — własnego.

Mówiąc o sieci telefonicznej, trudno nie wspomnieć o dzielnej i ofiarnej pracy telefonistów. Na zagrożonych odcinkach w największym ogniu i rwetesie bitwy łatali oni wciąż zrywane linie. Należy pamiętać, że praca ta podczas wielkiego ognia artylerii

jest niebezpieczna bardzo i bardzo odpowiedzialna. Patrol telefoniczny musi stale krążyć na zupełnie odkrytych przestrzeniach, musi tu zatrzymywać się, a chociaż bardzo jest eksponowany, musi dla wykonania swej pracy zachować zupełny spokój i zimną krew. Ponosząc straty w rannych i zabitych nawiązywali telefoniści łączność i utrzymywali połączenia czysto i wyraźnie funkcjonujące aż do ostatniej chwili.

Dnia tego już od samego rana rozpoczął nieprzyjaciel podsuwanie się całymi masami pod cały front i brygady. Wysłany około godziny 10 rano silny patrol przed odcinek i pułku stwierdził już obecność znacznych sił i wziął na jednej z placówek kilkudziesięciu jeńców. Burza ognia artyleryjskiego tak wczoraj, jak i dzisiaj szła na odcinek pułku Berbeckiego, niszcząc umocnienia ludzi i broń.

Stan broni u obsady, zajmującej lasek, był już rozpaczliwy: karabiny maszynowe częścią zdemontowane, karabiny żołnierzy zasypywane często piaskiem i niszczone pociskami artyleryji, w znacznej części nie-

zdatne do użytku. Oddziały, trwające już około 48 godzin w ogniu huraganowym postanowił komendant Piłsudski zluzować częściowo oddziałami, na które napór nieprzyjaciela był dotąd mniejszy, częściowo zaś siłami, które dotąd nie brały udziału w boju.

Ogień huraganowy nie ustawał ani na chwilę, wobec czego manewru tego nie można było uskuteczyć. Pierwszy pułk ułanów ruszył kłusem z Nowej Rarańczy t. zn. z miejsca postoju I brygady. Tylko się mignęły po polanach i leśnych drogach szare szwadrony. Równocześnie koncentrowano 2 pułk ułanów, który wraz z pierwszym miał luzować piechotę pułkownika Śmigłego, ten zaś ostatni miał być zająć stanowiska 5 pułku piechoty. Oddziały kawaleryi w zręcznym manewrze podeszły do głównych pozycji piechoty, luzować jej jednak już nie mogły...

Koło godziny 7:30 po południu runęły naprzód wielkie masy nieprzyjacielskiej piechoty, zachodząc na tyły II batalionu 6 pułku i 5 pułku piechoty. Oddziały te trzymały się w krytycznem położeniu do ostatniej

chwili, wówczas jednak, gdy grupy nieprzyjacielskie dochodziły już na środek odcinka majora Fleszara, a więc sięgając obejściem daleko w głąb poza oskrzydłany oddział, II batalion 6 pułku i pułk 5 musiały się cofnąć.

W związku z batalionem 6-go pułku, dalej z 5 pułkiem piechoty musiał zejść na dalsze stanowiska batalion V i VI, prowadzony przez kapitanów Olszynę i Fleszara, pod łączną komendą majora Fleszara. W czasie przekładania linii na dalsze stanowiska odznaczył się znakomicie porucznik Lis, który na szybko rozwinięty front swej kompanii przyjmował nieustanne fale piechoty rosyjskiej, uderzającej ogromną przewagą liczebną. Por. Lis cofał się ze swą kompanią i zakrywał odwrót całego oddziału, co kilka kroków zwracając front, naciskany zewsząd przez gromady piechurów rosyjskich z odległości kilku kroków.

Późnym wieczorem i w części nocy zając wypadło ostatnią linię obronną, opartą o lasy i wzgórza. Była to już linia nie umocniona ziemnymi robotami, słabo odru-



towana, nie mogąca wytrzymać wielkiego naporu artylerii. Rowy tu już były nie głębokie, tak, że załoga nie mogła w nich być mieć dostatecznej swobody poruszeń. Sytuacja była tem groźniejsza, że kiedy lewe skrzydło frontu nieprzyjaciel próbował już teroryzować wyrzucanemi pośpiesznie w las aż do przejścia przez most grupami kawaleryi, prawe skrzydło po zwinięciu batalionu 6 i całego 5 pułku wisiało w powietrzu, utykając w pustkę...

Wytworzyła się tu luka tem groźniejsza, że łączyć ją trzeba było w nocy. Trudne to zadanie powierzył szef sztabu, pułkownik Sosnkowski, kapitanowi Karasiewiczowi. Opuszczoną przez artylerję wieś i wzgórza przed wsią objął kapitan Karasiewicz patrolami, gromadząc równocześnie ostatnie rezerwy. Była tu część świeżych oddziałów kawaleryi i części piechoty z 6 i 5 pułku. Piechurzy byli już niezmiernie zmęczeni i widać było, że trawi ich gorączka. Można było podziwiać hart, siłę i wytrwałość, z jakimi ci ludzie już pewni odpoczynku zawracali z powrotem na stanowiska.

Ostatecznie o godz. 1 w nocy wypełniono lukę i grupa kapitana Karasiewicza, złożona z szwadronów obu pułków kawalerii, z kompanii saperów kapitana Dąbkowskiego, oraz z kompanii technicznej komendy Legionów, nawiązała łączność z sąsiadami.

Pożar, płonący na opuszczonych pozycjach, przyświecał nowemu rozmieszczeniu oddziałów. O świtaniu leżała już naprzeciw nieprzyjaciela o kilkaset kroków od dawnej wyciągnięta, nowa do boju gotowa linia.

Już wracały patrole z jeńcami, którzy zeznawali zgodnie o przygotowaniach nowego masowego ataku.

### III.

Trzeci dzień bitwy zapowiadał się równie krwawo jak pierwszy i drugi. Rosyanie przystępowali po swych ogromnych stratach z nowymi siłami do szturmów. 1 i 3 brygada, walcząc ramię w ramię, czekały nieprzyjaciela na pozycjach obronnych, z wciągniętymi już w linię wszystkimi rezerwami.

Nieprzyjaciel, widocznie osłabiony wielkimi stratami, poniesionemi w ubiegłych walkach, nie następował odrazu na pozycje obu brygad szturmem, lecz wiązał się z niemi silną strzelaniną piechoty, prowadzoną z blizka. Fala rosyjskiego uderzenia, nie mogąc wgnieść i złamać frontu piechoty polskiej, szła na lewo stojącą dywizję, oraz na prawo od polskiego frontu biegnącą kotliną, której bronić miały z różnych stron zebrane i w grupę złączone oddziały armii. Jeszcze dalej na prawo od nich walczył 3 pułk piechoty Legionów.

Dla zupełnego odczucia sytuacji trzeba wiedzieć, że pułki piechoty polskiej, już trzecią dobę pozostające w najgorętszym boju, miały naprzeciw siebie świeże siły nieprzyjacielskie kilkakroć przeważające liczebnie, poparte masą nieużytej jeszcze w walce kawaleryi, oraz skoncentrowaną tu bardzo silną artyleryą.

Żołnierz nasz, przebywający już trzeci dzień w huku i rwetesie bitwy, głodny i senny, znalazł się w tej chwili zupełnie bez rezerw w płytkiej linii leśnej lub tylko

o las opartej. Jedno choćby chwilowe przerwanie tego frontu mogło być spowodować kataklizm, bowiem z tak znużonym żołnierzem trudnoby było nawiązać łączność przerwanych części.

Położenie komplikowało się również przez połączenie różnych jednostek taktycznych, co w chwili decydującej mogłoby również wpłynąć ujemnie na sprawność i obrotność poruszeń. W rzutkiem jednak i zdecydowanym ręku komendanta Piłsudskiego wszystkie nowo przydzielane do odcinka oddziały nabrały odrazu znakomitej pewności siebie i elastyczności ruchu.

Bój wzrastał z każdą chwilą, piechota nieprzyjacielska stawała się coraz bardziej natarczywą. Jeszcze koło godziny 11 przed południem przybył koleją na stację Wołczek batalion piechoty niemieckiej, który prosto z wagonów krytymi drogami podążył do rozporządzenia komendy I brygady.

Podczas gdy na froncie brygad trwało bezowocne dla Rosyan podsuvanie się i odo-sobnione ataki na pozycye, obok frontu polskiego na prawo wywiązała się gwałtowna

walka, w której front został przerwany. Prawe skrzydło Legionów, złożone ze spieszzonego 2 pułku ułanów oraz z 7 pułku piechoty (t. zn. V i VI batalionów) zawisło znów w powietrzu. Zbliżała się właśnie godzina, na którą rozkazany był odwrót.

Komendant trzymał jednak oddziały sobie powierzone dalej i bez zmiany dyspozycji, oczekując jeszcze ataku kawaleryi. Istotnie nie pomylił się. W pewnym momencie wychyliły się z gąszczów saperckiego lasu szwadrony kawaleryi rosyjskiej, poszły na wskos za cmentarz wsi z kierunkiem na stację kolei.

Gdyby masa tej konnicy mogła była spełnić swe zadanie, gdyby oskrzydlając i tak już odkrytą prawą flankę sił Piłsudskiego wpadła w las i tu starła się z zaskoczoną obejściem piechotą, cała ta część frontu, nie mówiąc już o losie walczących tu oddziałów, musiałaby uleść rozbiciu. Unie możliwiłby się też odwrót cofających się już oddziałów piechoty z sąsiedniego odcinka, którą kawalerya owa napotkałaby w marszu na leśnych drożynach. Rozbiwszy,

5\*

a choćby tylko zmieszawszy te wojska, mogłaby opanować daleko w głąb wnętrze lasu, przez co kierunek ściąganych z odcinka oddziałów nie mógłby być koncentrycznym, a przeciwnie musiałby pozostać automatycznie odśrodkowym.

Na szczęście, dzięki intuicji prowadzącego, stało się inaczej.

Już pokazanie się kawaleryi na wzgórzach podchwycił major Brzoza, skierowując na nią bardzo celny ogień swych polówek. Konnica nieprzyjacielska zachwiała się przez chwilę. Na jej czoło wyskoczyli oficerowie i wydobywszy szable poprowadzili szarżę.

Widać było doskonale, jak masa tej kawaleryi bierze impet, widać było doskonale, jak pędząc bokiem do frontu naszego prawego skrzydła, w ogniu karabinów maszynowych i salw piechoty miesza się, kruszy, rozbija, wreszcie objęta kurzawą ziemi, w chmurze piachu rozpada się na poszczególne jeźdźców.

Nie minęło pół godziny, gdy nowych sześć szwadronów powtórzyło z wielką brawurą ten sam atak.

Obsada okopów, niszcząc tę szarżę, krzyczała z rozgorączkowania, nie zdarzyło się bowiem dotąd żołnierzom tak bezpośrednio widzieć skutki okrutnej zręczności wojennej.

Tem niemniej sytuacja stawała się już bardzo groźną jak dla oddziałów, tak dla samej komendy i brygady. Przestrzeń leśną poza prawem jej skrzydłem widocznie obsadzał już piechotą swą nieprzyjaciel, mając do rozporządzenia całą sieć wyjeżdżonych w lesie dróg, któremi bardzo szybko mógł dotrzeć do stanowiska Piłsudskiego.

Wysłany na drogę odwrotową 5 pułk piechoty, idąc w kierunku dawnego postoju I brygady, został silnie ostrzelany. Komentant Piłsudski trzymał się jednak na niebezpiecznym posterunku, dopóki nie dał walczącym szczegółowej instrukcyi cofania się, a także dopóki batalion piechoty niemieckiej nie zluzował i polskiego pułku i nie stanął rozwinięty bojowo, jako aryergarda wycofujących się oddziałów.

Na boczną osłonę wyjechały szwadrony obu pułków ułanów. Wkrótce pełen zgiełku i tumultu las począł cichnąć; za masą pie-

choty i długimi korowodami trenów zamknęły się tumany kurzu, a tylko u cieni-  
stych wylotów leśnych drożyn pozostały  
konne patrole, dudniące cicho wśród mchów.

Teren, w jaki wchodziła teraz piechota,  
wozy i treny, przedstawiał wiele trudności  
dla obrony, zwłaszcza na wypadek walki  
nocnej. Były to rozległe połacie lasu, po-  
przecinane polankami, lub przerżnięte wiel-  
kim obszarem błot. W warunkach tych nie  
mogło być mowy o zaimprovizowaniu ja-  
kiejś linii obronnej, jak również ogromnie  
było trudno nawiązać łączność z sąsiednimi  
grupami.

Żołnierz, strudzony tak ciężką i wyczer-  
pującą walką pozycyjną, po ogniu huraga-  
nowym, tylu szturmach i kontrszturmach,  
musiał być podjąć zadanie walki ruchomej  
na bardzo szerokim froncie.

Tymczasem, jakby zupełnie nie zważał  
na odbyte trudy i na te, które go znów  
czekają... Szara drobna piechota sypała się  
przez las wąską drożyną, strudzona, lecz  
rozmowna, karna i najlepszego ducha.



Na punkcie zbiórki spotkały się ze sobą walczące w sąsiedztwie obok siebie pułki.

Miano zaraz po boju, cofnąwszy się za ledwie o dwa kilometry, prowadzić nową linię obrony przez lasy. Zależało bowiem na tem, by jak najdłużej zatrzymać nieprzyjaciela po odstąpieniu od linii Styru w przestrzeni między Styrem a Stochodem a to w tym celu, aby tymczasem przeprowadzić przez tę rzekę ogromne parki trenów, pożytków i zapasów wojennych.

Okolo osady Kunskoje zaczęli więc żołnierze mimo trzydniową fatywę i znużenie sypać nową linię, zaciągać nową sieć telefoniczną i to z wielkim pośpiechem, gdyż z lasu słychać już było poszczególne strzały utarczek kawaleryjskich.

Tymczasem nowe wiadomości z sąsiednich komend wpłynęły na zmianę dyspozycji. Żołnierz rzucił rozpoczęte roboty. Pułki ściągnięto jeszcze głębiej w las, rozwijając je łamanym frontem w kierunku dróg, z których spodziewano się natarcia. Było to połączone z niezmiernymi trudnościami. W ciemnej nocy, znaczonej daleko

na horyzoncie pożarami, przerywanej w najrozmaitszych punktach strzałami walki kawaleryjskiej, trzeba było zachować bardzo wiele ostrożności i rozwagi. Jeden nieopatrzny rozkaz mógł być narazić na duże straty, poplątać układ sił i zmylić kierunek oddziałów.

Wszystkie manewry odbywać się musiały w bliskości nieprzyjaciela, w najtrudniejszych warunkach łączności, bez telefonu, z tą ustawiczną niepewnością, że każdy ordynans zetrzeć się może z kawaleryą rosyjską, która obsadzała coraz gęściej lasy. Starać się należało, by utrzymać całą sieć dróg i dróżyn, któremi nieprzyjaciel mógłby obejść gros sił i przeciąć drogę odwrotu.

Zadanie to zostało przeprowadzone znakomicie. Żołnierz tak już strudzony i wyczerpany, koło północy znów leżał na pozycji, tworząc drugi już w ciągu tego wieczora zupełnie ściśle utworzony front.

Przyszły nowe rozkazy, przenoszące linię obronną nad sam Stochód i nakazujące nocny marsz na nowe stanowiska. Cała ta, tak skomplikowana maszyna, jaką są pułki i bry-

gady wraz z całą masą taborów i zapasów ruszyła w ciemnej wyjątkowo i chłodnej nocy, osłaniana pierścieniem kawaleryjskich patroli.

To stąd to zowąd wybuchały salwy wystrzałów. Piechota znużona śmiertelnie sunęła długim wężem, mając przed sobą znów kilka godzin marszu i znów bez jadła. Pragnienie (bo głodu zda się już nikt nie czuł) pannało tak ogromne, że ludzie pili z bagna lub z kałuży. Senność tak możyła żołnierzy, że zatrzymawszy się na kilkuminutowy odpoczynek zasypiali głęboko, oparci na karabinie. Od czasu do czasu wpadały między maszerujące oddziały konie rosyjskie bez jeźdźców.

Odwrót ten i marsz forsowny w nocy z 6 na 7-go lipca odbył się szczęśliwie, prócz tragicznego wypadku ze szpicą 5-go pułku. Z powodu przerwania się łączności, pułk ten stracił kierunek głównej kolumny. Wobec tego podpułkownik Berbecki wraz z wyższymi oficerami swego pułku, maszerujący w szpicy, postanowił iść, — jak się to mówi — »na kierunek«, wedle kompasu. Obrał dosko-

nale drogę, w trakcie marszu jednak natknął się na zasadzkę konnicy rosyjskiej. W krótkim boju, który się nagle wywiązał, został ciężko ranny podpułkownik Berbecki, padł major Wyrwa i poległo kilku żołnierzy.

Następnego dnia sytuacja przedstawiała się w ten sposób, że odwrót zasłaniały obie, zwolna do oparcia o rzekę Stochód dochodzące brygady, mianowicie 1 i 3, wspomagane pułkami ułanów Beliny i Ostoji, podczas gdy piechota z brygady, walcząca nie w związku z całością Legionów, nadchodziła im z pomocą jako rezerwa.

Walka miała się toczyć na bardzo szerokim terenie. Za podstawy jej przyjęto trzy miejscowości, leżące przed Stochodem, a mianowicie: Na południu bronić miała dojścia do rzeki I brygada, rozwijając pozycję z wsi Trojanówka, wsparta 1 pułkiem ułanów. Na północy, opierając się o wieś Nową Rudę, miał walczyć 4 pułk piechoty, poparty później 6 pułkiem. Miejscowość, leżącą niejako w pośrodku na węźle dróg prowadzących do Trojanówki i Nowej Rudy, mieli byli trzymać ułani z pułku.

Ułani ci w myśl otrzymanych rozkazów przeszli jednak Stochód już zrana, tak, że między obiema częściami wojsk, walczących na południu i na północy, otworzyła się pusta przestrzeń.

Przestrzeń tę wkrótce opanowali kozacy. Obserwacyjny pluton ułanów i pułku widział, jak wpadli do wsi Gradyski (t. zn. do owej miejscowości na skrzyżowaniu dróg) kozacy, jak podpalili ją i zaczęli rabować.

Tem niemniej po walkach awangardy, złożonej z ułanów i pułku, I brygada rozwinęła front przed Trojanówką, wstrzymując tu nieprzyjaciela przez cały dzień aż do późnej nocy. Tak samo wytrwał w bardzo trudnej sytuacji ze swym pułkiem 4 pułkownik Roja. Groziło mu przez cały dzień odcięcie przeprawy. Między rzekę, do której bronił dojścia, a jego pozycje mógł się być wedrzeć nieprzyjaciel, a wówczas cały pułk nie miałby innego wyjścia, jak po czterech już dobach walki i znoju przebijanie się z bagnetem w rękę.

W tym dniu złożył czwarty pułk i jego komendant jeszcze raz dowód świetnego

męstwa i doskonałej dyscypliny. Już w czasie bitwy zmieniano kilka razy front. Już od dwóch godzin flankowane bateriami kozackimi bataliony rozwijały się znakomicie i to w dwóch kierunkach równocześnie: ku nieprzyjacielowi i również ku nieprzyjacielowi w tył w skos na wypadek przerwania drogi do rzeki. Piękna pogoda utrudniała ewoluowanie pułku, który przesuwał bataliony przez Nową Rudę musiał być tumanami kurzu zdradzać swe poruszenia, a tem samem narażał się na silny ogień nieprzyjacielskiej artylerii.

Nareszcie około godziny 8 wieczór z płonącej wsi wycofał się szczęśliwie pułkownik Roja za Stochod, umożliwiając w związku z akcją I brygady przygotowanie ostatecznej linii tej rzeki, wyprowadzenie wszystkich taborów i obozów walczących tu wojsk, wreszcie obsadzenie tej linii świeżo sprowadzonymi, wypoczętymi siłami nowych oddziałów.

Ten ostatni dzień bitwy, aczkolwiek nie pociągający strat za sobą, wymagał tak od dowódców, jak i żołnierzy, ogromnego wy-

siłku. Znużone ciągłym bojem wojsko niemal, że zasypiało na pozycjach. Wszędzie też świecili przykładem oficerowie, wycofujący się w ostatnich strażach tylnych.

Wielka bitwa Legionów pod K... kosztowała wiele ofiar. Najbardziej ucierpiał pułk 5 (2-gi strzelców I brygady), na który szedł największy ogień i najsilniejszy atak. Pułk zuchowatych Berbeckiego wytrzymał znakomicie ogień, odbił kilka przeważających ataków rosyjskich, zadając nieprzyjacielowi ogromne straty. Pułk 5 stracił w tym boju wielu znakomitych oficerów, podoficerów i żołnierzy. I batalion tego pułku przebijął się bagnietem przez Rosyan z bohaterstwem, które może być porównane z najświetniejszymi walkami piechoty polskiej. Równie świetnie walczył II batalion tego pułku, prowadząc wspaniałe kontrataki i rozbijając masy piechoty rosyjskiej.

Pułk 7 (V i VI batalion I brygady) odznaczył się również w bitwie znakomicie straszliwą walką na reducie Piłsudskiego (batalion V), osłoną odwrotu z pierwszej

pozycyi (kompania por. Lisa) i rozbiciem kawaleryi rosyjskiej.

Spokój, upór w obronie, stanowczość w odbijaniu ataków gęstych mas piechoty rosyjskiej cechowała na równi pułki 4, 1 i 6 piechoty Legionów. Dzięki tej stanowczości i zimnej krwi, ataki piechoty moskiewskiej, prowadzone całymi tłumami, załamywały się ustawicznie w ogniu tych pułków. Karabiny maszynowe dokonywały dzieła straszliwego zniszczenia. Po pierwszym dniu szturm przedpola atakowanych pułków przedstawiały straszliwy widok, tak dużo tam było trupów i pozostawionych rannych rosyjskich.

Zadziwić może niewielka stosunkowo oczywiście ilość wziętych jeńców w porównaniu z rozmiarem i ogromem walki. Tłómaczy się to tem, że Rosyanie atakowali całymi tłumami. Że podnoszących do góry ręce nie miało się czasu brać do niewoli, bo parła na nich z tyłu cała masa.

Masa ta i atak jej stanowił zupełne przeciwieństwo do liczby obrońców i charakteru jej walki. Po jednej stronie prze-



waga cyfry, inercya, ślepa bierność, jakaś beznadziejna ociężałość, zupełny brak inicjatywy w poruszeniach.

Po drugiej energia, spryt, żarliwa gorliwość, świadome celu ryzyko i ofiarność. Po jednej stronie manewr, polegający na zajęciu mnogoliczną trzodą pola walki i ataku, po drugiej spokojna i śmiała kalkulacya wojenna w operowaniu ogniem, zaś w czasie kontrataku zręczna obrotność i steroryzowanie przeciwnika śmiałością uderzenia.

W walce tej, prowadzonej przez trzy doby pierś o pierś, można bez nadużywania uogólnień powiedzieć, że starły się dwa odrębne charaktery, — polski i rosyjski. W zmaganiu się tych dwóch piechot, — karnej obrotnej linii i ciężkiej masy bezkształtnej, — można było z nieskończoną radością i dumą obserwować, o ile wyższym typem żołnierza jest polski od rosyjskiego.

Bitwa pod Kołodziejami okrywa dumą i żałobą wiele domów polskich, wiele rodzin, wiele miast, miasteczek i wsi. Polegli tam w bezwzględnej równości żołnierskiego

stanu najlepsi ludzie różnych stron Polski i różnych warstw. Tam złożył buńczuczną głowę kwiat oficerów całego 5 pułku a przecie i inne oddziały złożyć musiały krwawą daninę zwycięstwu. Tam wyszczerbił się i srodze przerzedził wyborny stan młodego podoficerstwa. Na wydmach reduty Piłsudskiego, na łąkach i grząskich mchach głębokich lasów Kostiuchnowki zginęło tyle gorącej nadziei, tyle niespełnionego marzenia, tyle aż nadto dojrzałej i aż nadto hartowanej cierpliwości, tych wszystkich sierżantów, kaprali, starszych żołnierzy, którym i zasługa i wiedza i męstwo dawnoby przydzieliły stopnie oficerskie, zaś jedynie brak miejsca w szczupłych szrankach wojska przydziału tego wzbraniał. Na tych pozycjach, bronionych piędź za piędzią i krok za krokiem, poległo tylu najlepszych, szarych żołnierzy!

Lecz obraz tej ciężkiej żałoby, którą Pamięć i Sława osłodzić muszą, nie może zaciemnić obrazu walki. Chociaż trudna i bolesna jest ta radość ze straty mająca

wykwitnąć najdroższej, chociaż tylu serdecznym ludziom przez łzy ją święcić wypadnie, — to przecie... Z tych najcięższych przeżyć wiąże się twardy i doniosły los narodów silnych i walczących.

---

## OFICERSKA TYRALIERA.

---

Piękna i groźna sława, jaka otacza szturm japońskiej piechoty, zachwyty rycerski i rodowa duma, z jaką szli pod Portem Artura Samuraje, wielki i nieśmiertelny szum płonących w zatoce branderów, sławne walki piechoty bułgarskiej w wojnie bałkańskiej, znakomite czyny niemieckiego piechura, — te wszystkie najwyższe chwile męstwa i pogardy śmierci, w których ofiarowuje się Przyszłości duch ras i narodów, — już nie mogą nas upokarzać.

W niesłychanej kronice znakomitych walk mamy swe miejsce. Na olbrzymich polach, wpośród potężnej organizacyi boju dwóch światów dorabia się żołnierz polski zapomnianego tak długo imienia swego,

a tradycya jego męstwa powraca pomiędzy walczących.

W tradycyi tej ożywa Naród i jego prawo.

Bowiem myli się, kto sądzi, iż w chwilach straszliwej walki nowożytnej wystarczy przeciętne męstwo, poczucie honoru i obowiązku. Walka ta stwarza sytuacje tak groźne i straszliwe, że wymagają od żołnierza stokroć więcej, niż przewidzieć może ścisły regulamin, o wiele więcej, niż żąda kodeks honoru oficerskiego. By sprostać im musi apelować żołnierz do najgłębszych podstaw swej duszy i pobudzić energię, na którą składają się całe pokolenia pracy i kultury Narodu.

Chwila walki jest chwilą objawienia się duszy narodowej w żołnierzu.

Z przemożną siłą wykazał swój charakter żołnierz polski po tylu razach, raz jeszcze w bitwie pod Kołodyą, 4 i 5 lipca 1916 r. Pierwszego dnia tych bojów, po całodniowym ogniu huraganowym, mimo odparcia kilku masowych ataków został otoczony przez nieprzyjaciela I batalion 5-go pułku Legionów

polskich. Trzeba było albo się poddać, albo przebijać z bagnetem w rękę.

Komendant batalionu kapitan Sław postanowił się przebić i zarządził kontratak. Rozpoczęli szturm sami oficerowie. Oficerska tyraliera ruszyła, pociągając za sobą żołnierzy. Znaleźli się w niej wszyscy oficerowie batalionu I, 5 pułku.

Niewiadomo, jakie będą i jak się rozwiną losy tego pokolenia, z którego najlepsi są dziś w wojsku polskim, lub polegli w jego szeregach. Niewiadomo, jakie talenty i siły rozwiną się w tym zastępie młodzieży, który za lat kilka i kilkanaście dojdzie do dojrzałości. Niewiadomo, jaka rączność pracy, jaki dorobek zasługi i pożytku będzie udziałem tego pokolenia.

W jego trudach i zasługach nie przyjmą już udziału ci najlepsi, których nazwiska i czyny nie mogą być dość znane.

Ta oficerska tyraliera — to summum glorii, do jakiej dziś doszła walcząca młodzież polska. Ta oficerska tyraliera, idąca na tłum moskiewski wspaniałą linią męstwa i hartu — to szczyt polskiego wychowania

i polskiego obyczaju najcudowniejszy kwiat. Czy widzi ich młodzież gimnazjalna, czy widzi młodzież polska, ucząca się na uniwersytecie warszawskim, czy rozumie ich polski mąż stanu?... Czy widzi ich polski polityk, jak wyskakują z rowu w obręb śmierci... Jak młody kapitan Sław-Zwierzynski rozkrzyżowaniem rąk daje kierunek ataku... Jak z karabinem, lub szpicrutą w ręku, bez strzału, oficer w oficera — młodzież gołowasa, szara i wspaniała, skromna i nieśmiertelna porywa żołnierzy, rozbija falę piechoty rosyjskiej, idzie naprzód.

W kontrataku tym, potem w walce koło przejścia przez mostek w kontrataku ppor. Myszkowskiego, w szturmie, prowadzonym o świcie dnia następnego i w walce podczas odwrotu stracił pułk dwudziestu jeden oficerów.

Został ciężko ranny podpułkownik Leon Berbecki komendant pułku. Zginęli obaj komendanci batalionów, major Wyrwa i kapitan Sław.

Zginęli podporucznicy: Karwacki Zygmunt, Nehring Aleksy, Guzowski Stani-

sław, porucznik Hajec Jan, podporucznicy Charzewski Stanisław, Janicki Józef.

Zostali ranni podporucznicy: Myszkowski Aleksander, Szwarzenberg Jerzy, Stefański Paweł, Mikulski Józef, Trapszo Tadeusz, Rowecki Stefan, Starzyński Roman. Sześciu rannych oficerów tego pułku dostało się do niewoli.

O zasługach poległych oficerów 5. pułku da się powiedzieć właśnie tak nie dużo, jak wiele mają oni wpisane w swe arkusze ewidencyjne. Brali udział we wszystkich bitwach I Brygady, we wszystkich wojennych jej wyprawach: Kieleckiej, Warszawskiej, Podhalańskiej, Lubelskiej, Poleskiej, Wołyńskiej. Każdy z nich miał za sobą kilkadziesiąt bitew i cały szereg świetnych zasług wojskowych.

Porucznik Hajec Jan, urodził się 1 grudnia 1891 w Książnicach, w pow. mieleckim (Galicya). Od roku 1911—1913 należał do »Sokoła«, od r. 1913 pracował w »Drużynach Strzeleckich«, w których przeszedł szkołę rekrucką i podoficerską. Później mianowano go zastępcą komendanta okręgu



w Nowym Targu. Podporucznikiem mianowany 9/X 1914 w Jakubowicach, 16/XII 1915 porucznikiem. Dowodził 23 kompanią I batalionu 5 pułku, na której czele stojąc na okopach i bijąc w Rosyan ręcznymi granatami wspaniale odparł atak 4 lipca pod Kostiuchnowką. Zginął 5 lipca rozerwany granatem, w chwili gdy po zlurowaniu kompanii szedł do okopów sprawdzić, czy wszyscy jego żołnierze wykonali rozkaz. W czasie dwuletniej kampanii był na urlopie raz jeden tylko. Brał udział we wszystkich bitwach I brygady.

Charzewski Stanisław, urodził się 24-go kwietnia 1883 r. w Brzozowie (Galicya). Do gimnazyum uczęszczał w Sanoku, na uniwersytet we Lwowie. Należał do organizacji Związków Strzeleckich. Podporucznikiem mianowany został po bitwie konarskiej 13 czerwca 1915. Brał udział w wyprawie kieleckiej, bitwach nad Wartą, w wyprawie Podhalańskiej, w pozycji nad Nidą, pod Konarami, Urzędowem, Babinem, Jastkowem, Ożarowem, Kamionką, Ciemnem, Stasinem i w wyprawie wołyńskiej. Zginął 5 lipca,

podczas kontrataku majora Wyrwy-Furgalskiego. Cały czas służył w 5 pułku, II batalionie, 2 kompanii.

Guzowski Stanisław, ur. 5 lutego 1891 r. we Włocławku. Jako słuchacz politechniki należał do Drużyn Strzeleckich (1912—1914); w r. 1914 wstąpił do Związku Strzeleckiego. Ukończył szkoły wojskowe, rekrucką, podoficerską i oficerską niższą. Dnia 27-go maja 1916 r. mianowany został podporucznikiem w I batalionie 5 pułku. Na początku wojny pracował organizacyjnie we Włocławku, następnie zaś od bitwy pod Łowczówkiem (grudzień 1914 r.) brał udział we wszystkich bitwach i wyprawach I brygady. Zginął 4 lipca w walce o przejście przez mostek, niosąc zwłoki kapitana Sława.

Janicki Józef, ur. 23 stycznia 1896 r. we Lwowie. Do gimnazjum uczęszczał w Rzeszowie, z zawodu był górnikiem. W r. 1912, wstąpił do Związku Strzeleckiego, ukończył szkoły, rekrucką, żołnierską i podoficerską. Był ranny pod Łowczówkiem i pod Konarami. Podporucznikiem mianowany został 3 czerwca 1915 r. Brał udział we wszyst-

kich bitwach, zginął z 4 na 5 lipca w nocy, w czasie kontrataku podporucznika Myszkowskiego.

Karwacki Zygmunt, urodził się 20 listopada 1893 w Pośmiechach (Kieleckie). Jako słuchacz rolnictwa w Krakowie należał od r. 1912 do Drużyn Strzeleckich, gdzie ukończył wszystkie szkoły z oficerską włącznie. Spełniał funkcję adjutanta ekspozytury Komendy Naczelnej Drużyn Strzeleckich, następnie był komendantem rezerwy. Wyruszył z Krakowa w pierwszym patrolu Beliny 2 sierpnia 1914 r. W kawaleryi dosłużył się stopnia wachmistrza. Następnie walczył w piechocie w I batalionie 5 pułku. Był ranny pod Łowczówkiem. Od 1 marca 1915 roku pracował jako organizator siły zbrojnej w Radomiu, w czasie pobytu Rosyan. Wrócił w pole z batalionem warszawskim 1915 r. we wrześniu i brał udział w wyprawie wołyńskiej. Zginął w czasie kontrataku I batalionu 5 pułku w tyralierze oficerskiej.

Nehring Aleksy, urodził się 8 grudnia 1891 r. w Petersburgu. Na politechnikę uczęszczał we Lwowie. Był oficerem Zwią-

zku Strzeleckiego i instruktorem obwodowym w Tarnowskim. Podporucznikiem mianowany został 9 listopada 1914 r. w Jakubowicach. Brał udział we wszystkich bitwach I brygady, zginął 4 lipca b. r. w tyralierze oficerskiej.

---

## † MAJOR WYRWA-FURGALSKI.

---

Tadeusz Wyrwa-Furgalski urodził się w Rzeszowie 3 grudnia 1890 roku, z tego twardego pokolenia mazurów, które od dawna sławi się na polach bitew tak dobrze znaną w Polsce powszednią cnotą żołnierską.

Cnotą powszednią, bo jest ona z świętego pęku tych mazurskich zalet, które się znajdują w chwili potrzeby szczerze, łatwo i obficie, a nad którymi nikt się nie rozwodzi, tak są chętne i częste. Owe mazury, — to naród wesoły, nieustępliwy, w rękach się im wszystko składa i wiąże w związek obrotny i mocny. Sztuka roboty, pracy i kierownictwa jest im wrodzona.

Major Wyrwa przygotowywał się do wojny sumiennie i z zapalem, zaś połącze-

nie tych dwóch wartości jest w Polsce rzeczą rzadką.

Należał do Związku Walki Czynnej od 1912 roku; pracował w krakowskim Strzelcu. Ukończył tu szkołę oficerską wyższą, która, jak to później okazał przebieg wojny i rozwój formacji wojskowych polskich, była doskonałą akademią młodego oficerstwa polskiego.

Wyrwa doszedł wówczas do wysokiej szarży podporucznika i służył kolejno jako komendant szkoły żołnierskiej i podoficerskiej, jako przewodniczący komisji egzaminacyjnej.

Wyruszył z Krakowa dnia 8/VIII na czele IV batalionu, zdobywając sobie od razu sympatyę i miłość żołnierzy. Dzięki czemu? Może dzięki swej niespożytej wesołości? Lub może dzięki opiece, jaką otaczał żołnierzy?

Trudno określić elementy tej najtwardszej i najtrudniejszej miłości, mianowicie żołnierzy do dowódcy. Można być pracowitym, sumiennym, wesołym, można umieć oszczędzać życie żołnierza i nie być przez

niego kochanym. Będzie zawsze trwać między szeregiem a komendantem jakiś przedział nieokreślony i tego nie zmieni ani śmierć, ani zwycięstwo.

Zaś można, tak jak Wyrwa, wyjechać przed front, machnąć cholewami wedle boków konia, popatrzyć na batalion, ogarnąć go wzrokiem tak, że `odrazu każdy żołnierz czuje się przenikniętym i zrozumianym.

Ten dar miał major Wyrwa. Miał wielki talent wzbudzania miłości żołnierzy. To stwarzało, że między rozkaz a posłuszeństwo wplatała się ta rzecz najpierwsza i najżywsza, — miłość.

Wyrwa był wcieleniem młodego komendanta batalionu, młodego wojska. Trzeba go było widzieć, jak na czele batalionu inteligentów, powstańców, patryotów, mówców, studentów, ochotników, — którzy w rękę jego przemieniali się w wojsko, — maszerował na Kielce, Jak na małych rynkach biednych i nieszczęsnych miasteczek Królestwa prowadził to wojsko w sznurowanych półbucikach, głodne, wyniosłe i męzne... Jak przecinał wybuchy śpiewu i uroczy-

stości machnięciem szabli lub krzykiem komendy. Jak drżącymi z radości i z trudu rękoma na wycieczkowych mapach kreślił drogę.

Zdaje mi się, że nie przesadzę, gdy powiem, że w tych kwitnących i rozkosznych wzgórzach kieleckiej ziemi, w tej godzinie słońca i entuzjazmu, jakie świeciło początkom straszliwej wojny, w tej chwili drogiej i uroczystej, gdy szła z Galicyi do Królestwa młodzież orężna, młody Wyrwa był uosobieniem siły, rzeźwości i piękna.

Podczas kampanii kieleckiej i pierwszego odwrotu brał udział major Wyrwa, dowodząc IV batalionem we wszystkich bitwach. Więc 14/VIII 1914 r. pod Brzegami, 19/IX i 23/IX pod Opatowcem i Brzegami, 23/X i 27/X pod Budami Michałowskimi, Niedabyłem i Brzechowem. Wreszcie podczas odwrotu w pierwszej wielkiej bitwie pozycyjnej, jaką stoczyła I brygada, t. j. pod Krzywopłotami.

Kapitanem mianowany został 25/X 1914 r. w Jakubowicach.

Historia działań wojennych I brygady



szczegółowo oceni te zasługi, któremi się odznaczył, — współcześni ocenili go zawczasu.

Na wiosnę 1915 roku, w czasie marszu z nad Nidy na Konary, z szeregu żołnierskiego wróciło do Wyrwy jakoby echo tej pracy i zasługi, jakiej był dokonał zeszłego roku. Oto dawny IV batalion, gdy przechodził koło kwatery głównej, upominając się o swego dawnego komendanta (Wyrwa był wówczas przy 3-im pułku I brygady), skandował chóralnie: »My chcemy Wyrwę!«

My chcemy Wyrwę, — niosło się szeroko i daleko przez białą wieś, złoty kurz i drżącą zielen wiosny świeżej... Ten krzyk mieszał się z tempem marszu, z chrzęstem broni, tętniąc niby świetny wyraz żywej i burzliwej sławy oficera.

Po bitwie pod Konarami odwołany został major Wyrwa do prac organizacyjnych, zaś po powrocie do brygady objął II batalion 5 pułku.

Dużo się od tego czasu zmieniło, pozmieniali się ludzie, wykruszyła się »wiara« w batalionie, który tyle walczył, tak krwa-

wił się i tyle zwyciężał. Wielu z tych żołnierzy, co stali z odkrytymi głowami na jędrzejowskim rynku i śpiewali »Z dymem pożarów«, legło w ziemi, z wielu krzyżów jeno pozostały rozsypane po wsiach, polach i lasach.

Tem niemniej przetrwała głęboko w szeregu zakorzeniona miłość do majora Wyrwy.

Objąwszy komendę odznaczył się od razu pod Słowogorodem, potem zaś pod Koszyszczami, gdzie brawurowym atakiem rozbił nieprzyjaciela, zabierając dwie kompanie do niewoli.

Pod Koszyszczami też 25/X 1915 r. został mianowany majorem.

Żołnierze przewali go po tym ataku Rinaldem dlatego, że z fajeczką w zębach, z rozwianą peleryną, leciał do szturm.

Trzeba zrozumieć, ile uznania, ile podziwu i serdeczności jest w tym przydomku. Wszak nadawał go majorowi młody żołnierz, dla którego Rinaldo dużo znaczy i wyraża.

Major Wyrwa miał też wszystkie zewnętrzne dane, by się podobać żołnierzowi.

Był wysokiego wzrostu, zgrabny, żywy. Jasne włosy, piękne, niebieskie oczy, twarz ściągła, biała, złoty wąs, ruchy lekkie składały się raczej na wygląd młodzieńca, niż znacznego oficera.

Wysoka szarża, jaką piastował, nie narzuciła mu żadnej pozy. Miłe, nieomal dziecinne przyzwyczajenie, tęgie żołnierskie libacje, obcesowość we wszystkim, do czego się brał, nie opuściły Wyrwy, gdy został majorem.

Stworzył on osobliwego gatunku dowcip wojskowy, pełen zabawnej przekory.

Wyrwa kochał wojsko w bitwie, w życiu i w ceremonii. Któż tak, jak on, potrafił maszerować na paradzie, na czele batalionu krokiem sprężystym i tanecznym, pierwszy przed murem swych kompanii wesoły i bujny...

Tak szedł jeszcze na tę Wielkanoc.

29/V dowodził znakomitym atakiem na pozycjach pod K...

Potem przyszły ciężkie, straszliwe ognie huraganowe.

O świcie 5-go lipca po całej dobie wy-

czerpującego boju prowadził Wyrwa kontratak w piekielnym ogniu flankowym.

Tu w walce bohaterskiej przeżyć musiał stratę najlepszych swych kolegów, najoddańszych żołnierzy.

Dopiero, gdy siedzieli z Berbeckim w ziemiance, na pozycji, zrytej doszczętnie granatami, a przyszła wiadomość, że znów granat rozerwał por. Hajeca...

— Gdzież są teraz, majorze — spytał wówczas podpułk. Berbecki — nasze kadry, — gdzie nasze dywizye, korpusy?...

I wówczas ci dwaj ludzie, którzy przetrwali spokojnie całe doby huraganowego ognia, którzy tak śmiało i mężnie szturmowali przemoc — zapłakali.

Zdawało się, że już niżej wszelkiej miary przechyla się ciężar krwi, bólu i śmierci... Że ludzkie siły przerasta, że przemaga najtęższą wolę, najśmielsze serce...

Już trzeci dzień tej bitwy. Jedne oddziały idą na linię, drugie tuż koło komendy brygady odpoczywają. Żołnierze idą dwójkami w spiekocie, skwarze, czarni od kurzu i dymu, z oczyma szklącemi bezsennością.

Inni znów, korzystając z chwilowego odpoczynku, obnażeni po pas myją się. Mimo ustawicznego ryku armat część śpi, zmęczona trudem ogromnym.

I nagły podziw brał, że tak straszliwego ognia i takiego deszczu żelaza używać trzeba w walce z tem nikłym drobnem ciałem ludzkim, które oto błyszczy teraz w słońcu pocięte czerwonymi pręgami od noszenia broni.

Tu czekał w rezerwie 5 pułk piechoty, który w tej bitwie tak wielkie poniósł straty.

Nie znać po nich było trudów, znojów,— a tylko żalobę. Jakiś strach, by nie zapytano o kogoś, kto zginął. Rzekłbyś, uczucie nieopowiedzianie szlachetnego wstydu i winy, że żyją, gdy tylu innych...

Wyrwa opowiadał komendantowi przebieg walki, lecz słowa więzły mu w gardle i już w młodych rękach nie składał się giest opisu.

— Trzeba się opanować, Wyrwa! — zgromił komendant, widząc, że najweselszy z oficerów płacze...

Tego samego dnia w nocy z 6-go na 7-go lipca zginął, idąc w szpicy z podpułkownikiem Berbeckim, ugodzony śmiertelnie w głowę.

Nie da się opowiedzieć, ani się da wyrazić, jaką troską, żalem i bólem napełniła ta śmierć II batalion 5 pułku, całą brygadę i wszystkich kolegów broni. Wielka część wojskowego dorobku ginie z nim i wiele tradycyi, wiele męstwa i szczęścia wojennego, — tyle przyjaźni, młodości i siły.

Należy się majorowi Wyrwie, by wrósł wspomnieniem i sławą w te strony, z których pochodzi. Żeby tam wszyscy wiedzieli, kim był, jak walczył i jak zginął. Bo pamięć takich ludzi jest dumą miasta, ozdobą strony urodzenia i stanowi, że wieś czy powiat rośnie w honor krwi, cenę ducha i ważność oblicza.

Należy mu się, by w historii młodzieży polskiej został w pamięci jako wzór pracy i bohaterstwa. Bo Wyrwa nie wahał się na żadnych rozstajach i zadań ociężałe z ręki do ręki nie przekładał. Mając wszystkie stopnie naukowej karyery i drogę dalszą

otwartą, przystał na żołnierza i nigdy służbie swej nie wyrzucił, iż dla niej inne sprawy odłogiem zostawił.

Jest rzeczą głęboko bolesną, że z nocnego boju nie udało się, mimo najstaranniejszych wysiłków i poszukiwań, wynieść ciała Wyrwy.

Nawet żołnierz i nikt już nie może oddać starym, odwiecznym zwyczajem należnych hołdów ciału bohatera. Nikt wiedzieć nie będzie, gdzie leży ten, który tak kochał wojnę i ruch.

Ani teraz, ani po wojnie nie da się zwykłym sposobem utwierdzić pamięci o tym znakomitym żołnierzu. Nie da się nigdy i nigdzie powiedzieć, że tu a tu leży ten proch, który był ongiś smukłą postacią młodzieńca, wesołym światłem niebieskiej źrenicy i mężną ręką tego oficera.

Sława Wyrwy musi być w ciągłym ruchu. Nie oprzeć się jej na kamieniu grobowca, czy kolumnie... Nie spocząć w cieniu drzew płaczących... Nie układać się jej w rytmy obchodów i uroczystości...

Musi się ta sława snuć w wieczornej gadaninie żołnierza, chodzić drogami, po których Wyrwa chodził i wojował, — kwitnąć, gdzie się ongiś trudił, na długiej drodze od Krakowa, aż po te krwawe kresy polskie.

---



## † KAPITAN SŁAW-ZWIERZYŃSKI.

---

Stanisław Zwierzyński urodził się 13-go maja 1892 r. w Brześciu Litewskim. Ukończywszy tam szkołę średnią uczęszczał na politechnikę we Lwowie, pracując równocześnie we lwowskim Związku Strzeleckim. Przeszedł przez wszystkie stopnie, kończąc chlubnie szkołę rekrucką, podoficerską, oficerską niższą i wyższą. Był komendantem plutonu w szkole rekruckiej, instruktorem technicznym w szkole oficerskiej niższej. Porucznikiem mianowany został podczas wojny 9 października 1914 r. w Jakubowicach, kapitanem 1 stycznia 1915 r. w Lipnicy Murowanej. Dowodził kolejno batalionem V i VI-ym, zaś od stycznia 1915 r. aż do 4 go lipca 1916 r., t. j. do dnia śmierci,

I batalionem 5 pułku piechoty Legionów (2 strzelców I brygady).

Brał udział, prócz czasu, w którym się leczył z rany zadanej pod Limanową — we wszystkich walkach I brygady. Jego karta wojskowa zawiera wszystkie nazwy głośne w dziejach brygady, wszystkie te miejscowości, gdzie się łamało nieprzyjaciela lub wstrzymywało napór jego przewagi liczebnej.

Dowodził swoim batalionem w dwudziestu kilku bitwach i wsławił się w nich. Zdobycie Swojkowa, szturm na Włosłów, atak na Kamieniec (pod Konarami), szturm pod Urzędowem (Lubelskie), szturm na majdan Krasinieński, walki nad Stochodem, słynny szturm pod Sławygorozem, szturm pod Kostiuchnowką, gdzie przebijając się z swym batalionem, padł trafiony w serce, — oto kilka tylko największych czynów wojennych kapitana Sława-Zwierzyńskiego.

Ujmując rzecz treściwie, godząc parę słów wspomnienia z faktyczną prawdą tej postaci, należałoby tu przerwać...

Kapitan Sław-Zwierzyński, okryty chwałą

swych czynów, walcząc po bohatersku, padł w boju.

Życia Jego nikt tak streścić nie może, zgonu Jego nic tak ściśle odtworzyć nie zdoła, jak rozkaz dzienny, odczytany przed frontem.

Jest rzeczą zdumiewającą, że właśnie poza wojskowem ujęciem, osoba, dusza młodego kapitana wymyka się z wszelkiego określenia.

Choć się Go znało i żyło z nim, nie wie się nic o tem wszystkim, co stanowi zarys historyczny upodobań, tętno pożądań, tęsknotę i sprawę młodego życia. Tak, jak gdyby to wszystko wyraziło się już w czynie wojennym bez reszty.

Wszystko inne otoczone jest pobłażliwym przemilczeniem.

W potocznem życiu nie było ani śladu, w równoważnej mierze dni Kapitana nie było wyraźnego odbicia tego rozmachu i piorunującej werwy, z jaką walczył.

Lecz z drugiej strony łatwo można było poznać, że to nie rezerwa czy ekonomia środków i zasobów codziennych, zbieranych

skrzętnie, gwoli wydania w trudne święto wojennej potrzeby... Tryb tej postaci sprężystej nie ulegał żadnym zmianom w czasie wielkich zadań, ciężkiej bitwy i surowej odpowiedzialności.

Był w tem jakiś głęboki, chłodny czar... Pozorna szarość owa mieściła w sobie wiele tych najprawdziwszych cnót, jakich potrzeba do stwarzania wielkości i prostoty w działaniu...

Trudno sobie wyobrazić kapitana Sława w gloriach choćby najszczęśliwszego patosu... Trudno Go sobie wyobrazić w rytmie choćby najwznioślejszych pochwał, chociaż to, co sprawiał i działał na wojnie, tak często graniczyło z wzniosłością.

Przemieszkiwała w nim gorzka zagadka pokolenia, które się wyrzec musiało wszelkiego patosu, któremu rzeczywistość nie oszczędziła najgrubszych prawd?

Lecz określenie to niesie w sobie cały szereg ograniczeń, ujarznień, i jest niesłuszne, bo w charakterze kapitana Sława nie było ich.

Rzeczywistość? Lecz przecie to jest wła-

śnie tak dziwne i piękne, że w duszy tego oficera obowiązek najsurowszy utożsamiał się z najgłębszą wolą wolną.

Przebijając się z batalionem, padł w czasie szturmu rażony w serce...

Zaś teraz najsmutniejsza żalu przekora, — rzeczywistości przeczy...

Oto nagle, — szuka się w zapadającym mroku tej twarzy szarej, ściągłej, o ziemistej cerze, bladych, cichych ustach i obojętnem spojrzeniu szarych, zimnych oczu...

Tak chętnie o świcie spotkać by się chciało kapitana Sława, jak idzie lekko wzdłuż okopu...

Tak chętnie pod ciężką, czarną chmurą burzy, w łomocie karabinów i gwałcie armatnich salw, chciałoby się znów zobaczyć tę półdziecinną, półprzejrzałą twarz i jej pobłażliwy, skąpy uśmiech...

Mówię o zmroku, o świcie, w czasie nadciągającej burzy, — bo tacy ludzie są szczęściem i pewnością przełomu, bo się ich nie ima wahanie nowości, zaś w działaniu i w walce są ciosem pewnym i straszliwym.

WIECZYŚŁAW GODYCKI CWIRKO  
Oblassy, p. Kozienice.

## ALEKSANDER SULKIEWICZ.

(1867 — 1916).

---

Życie i trud, praca i zasługa Aleksandra Sulkiwicza, sierżanta 5 pułku piechoty I brygady Legionów polskich, nie dadzą się wyrazić w kilku słowach pośmiertnego wspomnienia. W niezmożonym, nieustannym mozole tego człowieka była nieobliczalna po prostu szczodrość cnoty, z jaką natury tak jak On głębokie i serdeczne, dzielne i prawe oddają się ukochanej idei.

Sulkiwicz pracował dla idei wyzwolenia narodu polskiego i polskiego robotnika bezpodzielnie. Nie rozumiał, jak można dzielić życie na sprawy publiczne i osobiste. Zacność, rzetelność roboty i poświęcenia tego człowieka były tak ogromne, iż nie przesadzę, gdy powiem, że się nie dają wy-

razić słowami. Trzeba wezwać na świadków tego wspaniałego życia wszystkie najzmudniejsze drogi, które odbywał jako założyciel Polskiej Partii Socjalistycznej, przykładny i klasycznej piękności pełen upór, z którym służył jako transportowiec drukarni »Robotnika«, jako ostrożny i ofiarny organizator »granicy« w czasach rewolucyi, jako przewoźnik broni podczas wojny rosyjsko-japońskiej, jako twórca tylu świetnie zorganizowanych ucieczek, tylu śmiałych i tęgich ludzi z więzienia...\*) Wreszcie trzeba by wezwać na świadka tę zbożną, łaskawą, chętną, cierpliwą wierność, z jaką przez lat 26 objeżdżał wszystkie centry organizacyjne robotniczego i niepodległościowego ruchu polskiego, — by nabrać pojęcia o przepięknej energii Aleksandra Sulkiwicza.

Zasługa tego człowieka nie da się zamknąć w treści widomego owocu pracy. Rozpostarta na krosnach tak wielkiego warsztatu, tak wyniośle bezimienna, będzie i musi

---

\*) Sulkiwicz zorganizował ucieczkę Piłsudskiego z więzienia petersburskiego.

długo krążyć w obiegu życia, nim się jej całość zamknie i treść po brzegi wypełni.

Naczelnym tego bojownika ideałem była niepodległość Ojczyzny i znak jej najistotniejszy oraz poręczyciel najodpowiedzialniejszy — żołnierz polski.

Gdy uczyniono na tej drodze pierwszy wielki krok, gdy Piłsudski z kadrowym swym żołnierzem przekroczył granicę — zaczęło się dla Sulikiewicza wielkie szczęście jawnej z nieprzyjacielem walki. Nie dostał się jednak do szeregu, a rozkazem przydzielono go do organizacyi, wspomagającej szeregi walczące inicjatywą polityczną i gospodarczą.

Pracował w komisaryatach: miechowskim, jędrzejowskim, kieleckim i częstochowskim. Ujawniły się tu raz jeszcze wszystkie ciche a znakomite zalety Jego charakteru. Ogromna dbałość o ludzi, wielka sprawiedliwość w szafowaniu wówczas skromnym i ubogim dobytkiem żołnierza... Któż, tak jak On potrafił pilnować magazynów ówczesnej intendentury?! Któż z taką jak On skwapliwością organizował i czuwał nad



warsztatami, które sposobiły zapasy dla żołnierza?! I czy wielu było ludzi, którzyby z taką serdecznie ojcowską cierpliwością tłumaczyli rolę i program polskiej Sprawy, nigdy na własne nie powołując się zasługi?

W tej pracy i jej rozwoju postępował Sulkiwicz jak człowiek niepośledniej miary, który zasobem własnej siły i szlachetności pokrywa i rozgrzesza słabości przeciwników.

Po niebezpiecznej wyprawie przez front rosyjski do Królestwa z misją polityczną (w r. 1915), po krótkim pobycie w polowej intendenturze I brygady, na wielokrotnie powtarzane prośby został wcielony do szeregu.

— Jestem mahometaninem — mówił — pochodzę z bitnego narodu. Sulkiwicz dowodził chorągwią jeszcze pod Wiedniem. — Cóż moi przodkowie powiedzą, gdy stanę przed nimi, a oni zapytają — gdzie służył, jakieś walczył w czasie wielkiej wojny — ja im zaś odpowiem, żem był w prowianturze?!

I mrużąc przezacne czarne oczy pod złotemi okularami — wyciągał ku rozmówcy okrągłą, bronzową twarz...

— Nie mogę! — Polscy mahometanie — ludzie wierni. — Cichy, niejako senny jego głos nabierał rytmu jakichś upartych wspomnień, które wracać i iść muszą wciąż tak stale, jak idzie i wraca dzień pracowity.

— Ojciec walczył, dziad walczył, pradziad walczył — nie mogę!

Nie bacząc więc na wiek, na tuszę, słaby wzrok, nie bacząc na ciężkie obowiązki rodzinne, zaczął przykładowie służbę wojenną potomek dawnych chorążych Iskan-der Dusman Emirza-Bek na Sułach Sulkie-wicz, jako szeregowiec 4 kompanii I batalionu 5 pułku piechoty I brygady Legionów.

Służba to dla człowieka trochę leciwego bardzo ciężka. Nie skarżył się, wytrwał, w żartach tylko czasem na pasie swym żołnierskim pokazując, jak chudnie i na coraz dalsze dziurki pasa dociąga.

Zyskał sobie miłość i szacunek żołnierzy, a w wielkiej i straszliwej bitwie pod Kołodyą świecił im przykładem wytrwałości i męstwa.

Po tej bitwie awansował na sierżanta. Zginął dnia 18 września w południe w czasie wyprawy patroli. Kula przeszła

mu serce w chwili, gdy spieszył z pomocą rannemu koledze.

Ciało Sulkiewicza przeniesiono z okopów do komendy pułku. Potem miało iść dalej zwykłą żołnierską drogą.

Miano je właśnie przewieźć do zakładu sanitarnego. Zajechała fura. Złożono na nią deski na trumnę i zwłoki Sulkiewicza.

Widocznie któryś z żołnierzy dotknął się rany, czy skrwawionej odzieży, bo na deskach pozostał odcisk świeżych, krwawych śladów.

Słońce zalewało małą polanę leśną tuż za pozycjami, od których miał Sulkiewicz na zawsze już odjechać.

Żołnierze rezerwy, odpoczywający opodal na trawie, pozierali ciekawie na wóz, komentując sobie zdarzenie.

— Wiesz, kto zginął?

— Kto?

— Ten, wiesz, sierżant z pułku, ten dziedzic taki.

— Który?

— Ten w okularach, Turek, wiesz, gruby — ten dziedzic.

Skądże się wzięło to słowo w godzinę śmierci Sulkiewicza pośród młodziutkich żołnierzy pobłażliwie patrzących na to krwawe i smutne zarządzenie.

Tak, jakby oni właśnie najrzetelniejszą mówili prawdę i dotykali słowem najgłębszej życia tego legendy! Bo czyż Sulkiewicz w trudzie ofiarnym, w walce nieugiętej i śmierci rycerskiej nie był na wszystkich żywota swego drogach dziedzicem wszystkich cnót polskiej walki i dumy.

Następnego dnia w asyście pułkowników Hallera i Sosnkowskiego, wielu oficerów i żołnierzy odbył się pogrzeb.

Mogiłę sypali koledzy. Pluton, w którym służył, pod komendą komendanta kompanii por. Styka, oddał potrójną salwę honorową. Grudom sypanej ziemi towarzyszył głos komendy — w prawo patrz — i dźwięk pobudki żołnierskiej, brzmiącej silnie pod dalekiem jesiennem niebem Wołynia.

---

## ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ.

---

Wielkie chmury szły po niebie, pogoda była zimna, wiatr dął polami tak, jakby wśród wielu dni lata, tego dnia właśnie drogiej rocznicy, — jesień zstąpiła na ziemię.

Trudno się było zebrać wszystkim w komplecie. Oddziały stały w linii bojowej.

Miejsce na nabożeństwo obrano obok zakładu sanitarnego I brygady przy grupie chałup, stojących samotnie przed wsią P... Tam się ściągały delegacje pułków w szałości dnia, wichrze i żmudzie pogody, powoli przybywające.

Przy obejściu zbudowano połowy ołtarz. Dalej na ściernisku ustawiał się czworobok wojska.

Piechota po bokach, w głębi kawalerya. Bractwo oparte na karabinach, wyszarzałe, zmoczone. Kawalerya w głębi na koniach, wysokim murem.

W grupie oficerów błyszczą paradne mundury konnicy. Srebrne sznury na ramieniu i srebrne wstęgi przez piersi. Widać szarą twarz Beliny i drobną podaną naprzód głowę majora Bukackiego, najstarszego z żyjących oficerów kadrowej kompanii.

Ppor. Jabłoński, por. Głuchowski, ppor. Hanka, uczestnicy patrolu kawaleryjskiego z dnia 2 sierpnia 1914, rozmawiają z artylerzystami.

Ten i ów wdziewa płaszcz, bo deszcz zaczyna padać.

Przyjechał z swą świtą Piłsudski i schronił się do chaty szpitalnej.

Obok za przegrodzeniem przygotowywano się do operacyi ciężko rannego w nocy żołnierza.

Przy płocie, strząsając krople deszczu z papieru, odczytuje sierżant plutonowi sanitaryusza rozkaz, wydany z racyi dwulecia i ustanowionej odznaki.

Stoją na baczność i mrużą oczy w zimnym wietrze.

W sieni chałupy, w której siedzi Piłsudski, nabrało się sporo ludzi. Deszcz pluska o próg, trzepie po żółtym fartuchu medyka. Dwaj ranni żołnierze, wsparci na laskach, wyglądają ku czworobokowi wojska.

— To już całe dwa lata — mówi ktoś w głębi.

Coraz staje na progu żołnierz w pełnym rynsztunku, salutując mokrymi palcami i z chrzęstem rzemieni przepycha się dalej.

To jeden z tych najstarszych, który służy od początku.

Wchodzi do izby. Komendant pół leży na łóżku z rękami zarzuconemi pod głowę, patrzy przed siebie i o czemś myśli...

W kącie izby przy oknie na pudle pisze ppor. Nałęcz-Korzeniowski małe dyplomy do odznaki za »wierną służbę«. Jest błądy i wzruszony, a oczy mu wpadły jeszcze głębiej. Jego zimne ręce nabrały w mroku izby niebieskawych odcieni.

Przyjechał brygadyer Haller ze swymi

oficerami. Utykając trochę, zmierza do izby i uśmiecha się przyjaźnie do tych, którzy go witają. Z ciemnej, oliwkowej twarzy brygadyera patrzą przenikliwie bystre oczy.

Przybyli już pułkownik Roja, podpułkownik Norwid, major Brzoza, major Mężyński i oficerowie ze wszystkich trzech brygad.

Podczas ulewnego deszczu rozpoczęło się nabożeństwo. W środku czworoboku stanęli pułkownicy z Piłsudskim.

Na czele kadrówki major Bukacki. W szeregu między żołnierzami oficerowie, — dawni kadrowcy por. Wieniawa-Długoszowski z swoim sławnym nosem, Słoń-Słoniowski, podporucznik. Człek w człeka, — stara wiara i broń, — sławne czasy, wielkie chody, — dawne dzieje...

Do cichej mszy, którą odprawiał kapelan 7 pp. ksiądz Żyłkiewicz, przygrywała orkiestra.

Deszcz cieniutkimi strugami po trąbach ściekał, wiatr wyrywał muzykantom party-cye z ręki, — czworobok piechoty grążył się w mgle.



Zatarły się linie wyraźne. Widać było tylko dwie szare smugi infanteryi, w głębi ciemną, wyniosłą ścianę konnicy. Przy ołtarzu z gałęzi sosnowych jak blady płomień błyszczał złoty ornat księdza.

Chmury szły po niebie szarym ciągłym pędem, deszcz ciał z ukosa, czworobok grążył się w mgle i zawiei... I nic tak prawdy tych ludzi i rzeczy krwawych nie mogło wyrazić, nic wierniejszej postaci nie mogło dać wielkiej uroczystości... Nic w świecie nie mogło bardziej wypowiedać ducha tej żołnierskiej doli, — jak owa jesień w dzień uroczysty, nagle pod błękitem lata rozbita i na znużone twarze — chłód, — i wiatr w oczy...

Po mszy odbyło się przypięcie odznaki »za wierną służbę« reprezentacyom pułków i zakładów I brygady.

Za wierną służbę... Za gotowość żarliwą, za wszystkie marsze, bitwy, za tyle szturmów, za tę całą nieopisaną, nieprzemierzoną mordęgę wojenną — mały krążek żelazny, wpisany weń krzyż, — na ramionach krzyża inicjały dowódcy i oddziału.

To, co jest w szeregu najdumniejsze, inicjał wodza i wojska, rozkazu i posłuszeństwa, sławy i śmierci...

Komendant przypiął odznakę pierwszemu pułkownikowi Sosnkowskiemu, patrolowi Beliney, kompanii kadrowej.

Salutował jednego po drugim a z oczu starych wiarusów płynęły ciężkie łzy...

Po rozdaniu odznaki wręczył pułkownik Sosnkowski komendantowi od oficerów I brygady pamiątkową szablę.

Oddziały rozpoczęły defiladę.

Pod dźwięki starego marsza, z którym się szło od Krakowa aż po Styr, od Krakowa do Bessarabii, — ruszył pierwszy patrol, kadrówka, kompania honorowa II brygady, — cała piechota... Maszeruje — i wszystkie walki z nią, i wszystka zasługa siwych mundurów... Tyle dumy i trudu, sławy i goryczy — z nią... Na strudzonych twarzach, w brązowym na gwerze kułaku, w szumie starych płaszczy.

Potem przygłopował szwadron kawalerii.

A cały oddział, a pułkownicy przy Piłsudskim stojący, pod pędem ciężkich chmur straconej ongiś ziemi polskiej — jak starej prawdy objawienie jedyne, — na złotem ściernisku, w cierpkim zapachu szumiących olch.

---



# CZEŚĆ II.



## B R A T.

---

Ostatni raz przed wyjazdem widziałem mego brata, gdy miał lat sześć.

Schodziliśmy ze schodów. Ja niosłem kufier, on — mały pakunek podróżny. Chciał wsiąść ze mną do doróżki i odprowadzić mnie na dworzec.

— Nie trafisz z powrotem do domu, Jasiu.

— Ależ trafię, — zaśmiał się przez łzy.

— Lepiej nie próbować, — to daleko.

Dorożkarz układał rzeczy na koźle, padał śnieg, chmury szły po niebie szare i ciężkie.

Jaś nasunął sobie czapkę na czoło, tak, że z pod siwego baranka oczy były jeszcze żywszym blaskiem. Wsadziwszy zmarznięte ręce do kieszeni płaszcza, zapatrzył się i zamyslił...

— Będiesz jechać koleją, zazdroścę ci — rzekł nagle odwracając w bok głowę.

— Już czas, Jasiu...

Podskoczył na stopień i wyciągnął ku mnie ręce. Jego maleńkie plecy zniknęły w moich ramionach i małe chwytkie palce wczepił w kołnierz palta. Ucałowaliśmy się. Ostatni raz owionął mnie przedziwny zapach jego chłopięcej twarzy, niby świeża woń jabłka i poziomki.

Konie ruszyły, Jaś w niebieskim płaszczu patrzył za mną, a z oczu jego pogodnych, jak turkusy, płynęły łzy.

Więc jadę w świat daleki... Co dotychczas było, — zniknie, nowe się rozpoczyna, nieznane... W płóchej serca przekorze nieprzebyta jeszcze droga już się koroną żalów wieńczy, a Jaś przez łzy nowych światów zazdrości...

W dziwnym zbiegu myśli i uczuć pożegnania, tak mi się zdało, jakbym odjeżdżając zostawał tu jednak... Jakbym zostawał o wiele, wiele lat młodszy, w niebieskim futerku, — zaś przecie jadę już...



Czy już zapóźno, czy jeszcze zawczesnie?...

Minęły lata.

Znowu jesteśmy razem. Oparty o fortepian stoi Jaś w ciemnym granatowym mundurze wzorowego internatu.

— Ależ ty wyrosłeś!

— Rosnę ogromnie. Aż mnie kości bołą po nocach.

Jego blade niskie czoło odznacza gęsty młodziutki włos. Widać, jak na skroniach biało-sinych tętnią drobne żyłki, splątane w deltę subtelną, a tak mi skądś znaną i drogą...

Jaś opowiada o życiu w internacie, że do tej knajpy miasteczka, w której dziś jedliśmy obiad, wykrada się na pijatyki.

— Czy rozumiesz to całe urządzenie?

Odpowiadam, że rozumiem i patrzę poza Jasia w szerokie okno na góry. Niby jakiś rytm ogromny i słoneczny wznoszą się i opadają, okryte młodą runią łąk.

— Graj coś jeszcze...

Lekko trącam klawisze, gubię kilka akordów, cień, jak łaskawe tchnienie, chyli

się w dolinach. Chmury z poza szczytów suną ku nam lekkoróżowe, perliste, niby głęboki olbrzymi róg obfitości...

Słysząc świegot ptaków i wesołe okrzyki chłopców grających w piłkę nożną.

Gram pieśń wiosenną.

Tadzio rozchylił blade usta, że widać krajuszek zębów, jak u naszej matki, gdy słuchała muzyki...

Pieśń przepływała swobodnie i lekko, spojrzenie Jasia cięży mi na powiekach, z pod których widzę w politurze instrumentu twarz brata — coraz bardziej zwiewną, coraz dalszą...

Czy też mnie myli pieśń tylekroć słyszana w dzieciństwie?

— Bardzo jesteś podobny do matki, Jasiu...

— A wiesz, że jej zupełnie nie pamiętam!

Przestałem grać. Umilkliśmy.

Mocne skosy cieniów kładły się na dolinach. Wśród dalekich szczytów darła się na świerkach purpura zachodu.

Opadła mnie ta myśl bolesna, że brat

mój urodził się zapóźno... On zaś patrzył na góry i pola, jakby szukając oczyma bezpowrotnie straconego wątku...

Zagrały dzwonki na kurytarzach, trzeba się było rozstać.

Lecz co jest późno, a co wcześniej? Czy dobrze jest po świecie już brodzić, czy jeszcze w mundurku wycierać zimne ściany internatu, — wątek tracić, czy też kiedyś straconego wątku szukać nadaremnie? — — —

A potem przerwały się wszystkie nici, węzły wszelkich czułości pękły.

Całe życie, jak jeden dzień, — dzień — jak chwila... W nieznanym wsiach, na drogach niepojętych... Gdzieś w lesie o zmroku wlokąc konia za sobą, myślałem wśród huku strzałów, wśród wspomnień biegowiska i o bracie.

I znowu drogi, postoje, zabiegi, rozstania przelotne a wieczne... Jakieś wybuchy najtkliwszych obietnic dzieciństwa, w lesie pod bezdenną łaską nocy gwiazdzistej. Po wielu miesiącach krwawej niepamięci — wzruszenie w piachach okopu, że zaraz się ocknę z szalonego snu... Domy, wsie, rzeki,

chałupy, drogi, ścieżki i w gorącym drzeniu pod blask słońca falująca wstęga powietrza...

Nareszcie ów dzień złowrogi i wspaniały w rozwalonej wsi w straszliwym zgiełku wszystkiej broni, — że rozstąp się ziemi!

Na drodze furgony, wozy i jaszczyki w jeden węzeł żelazny splątane, tylko konie się z niego rwą na wsze strony. Niebo łupie się w trzaskach kanonady, chmury ciągną od jednego końca ławą czarną i gęstą.

Kompanie idą naprzód między wzgórze a las, tam, skąd raz po raz wraca reszta ludzka na noszach lepkich od krwi.

O-ho-ho... O-ho-ho... jęczą ranni. Jakiś oficer w rozprutym mundurze z przekrwionym bandażem na ramieniu zapala sobie jedną ręką papierosa. Ktoś siada nad rowem i kładzie głowę na plecaku. Twarze powracających, żółte, szklą się, jak powleczone smalcem. Pot czarne zacieki zostawia na policzkach. Jakiś konny szuka jakiejś komendy i rżnie przez wodę galopem.

Oho-ho... Oho-ho... wozy pełne jęku skręcają w bok.

Zaczyna padać grad, miesza się z trzaskiem karabinów.

— Ja już jadę — mówi mi kolega.

Stoimy na zakręcie drogi, idącej z wąwozu. Patrzymy obaj między wzgórze a las, gdzie ziemia się burzy od strzałów i wiruje ogromny słup pożaru. Ja już jadę, a ty?

— Na łącznika tu jestem. Czekam na trzeci szwadron.

— Ja już jadę...

Popatrzyliśmy na siebie bezmyślnie.

W mroku i w świcie nagłego wiatru stracił się dokładny obraz poruszeń wojskowych i szyk wojennego ordynku. A tylko poprzez grzmoty i strzały słyhać było chrzęst zamierzeń walki. Czuło się raczej, niż widziało, słyszało się raczej sercem, niż uchem, posuwanie się nowej fali ludzi ku linii.

— Niema już szrapneli — wrzasnął ktoś z baterii.

— Granaty!

Zaczęły rwać salwy krótkie, straszliwe. Nareszcie!... Powiedziałem to sobie głośno z głupim śmiechem.

Już niósł się z wąwozu miarowy dźwięk ostróg, niby jakiś od ulewy odmienny i silniejszy wstrząs kropel żelaznych. Idzie trzeci śpieszony szwadron na skrzydło zapełnić lukę...

Tam, gdzie się rwie nasza linia i strzępi, gdzie bronią wejścia salwy naszych granatów, gdzie wyteęza się wszystek ryk bitwy, a życie i śmierć wzbiera wirem przemożnym.

Nareszcie...

W migotaniu błyskawic ujrzałem na dnie wąwozu jak gdyby łuskę gęstą z czworogrannych oczek złożoną. Ulewa prała po denkach kasków, ciężkie buty brnęły w ślizkiem błocie. Twarze żołnierzy to nikły w przerażającym mroku, to się zjawiały w sinym blasku błyskawic, białe i drapieżne...

Zameldowałem się u komendanta szwadronu jako łącznik, mający doprowadzić do pozycji.

Dwójki zawracały na skręcie, a z chrzęstem i mocnem stąpaniem żołnierzy mijał wedle mnie ten z niczem nieporównany głęboki wiew, tok, czy tchnienie, które niosą z sobą zawsze ludzie w bój idący.

Nagle z szeregu wyskoczył żołnierz i chwyciwszy mnie za ręce, krzyknął. —  
— Słuchaj!!

Całą moją istotę rozjaśnił ten krzyk... Objąłem brata, aż mu się kożuch skręcił na grzbiecie. Zatoczyliśmy się z radości i wzięli za ramiona.

— Nie masz pojęcia, jak trudno mi się było do was dostać!

Idzie trzeci szwadron zapełnić lukę, gdzie pęka nasza linia...

Opętał mnie żal, ogromna rozpacz, gniew, bunt, że idzie tam mój brat, który niedawno w niebieskiem paletku na brzeżku chodnika żegnał się ze mną.

— Zawcześnie! Zawcześnie! —

Ja was prowadzę na pozycję.

Zdało mi się w tej chwili, że idę sam, a szwadron, niby szwadron duchów zwiduje mi się tylko w świetle błyskawic i znika w czarnej nocy.

— Daleko jeszcze? — spytał Jaś.

— Już niedaleko.

— To pewno tam? — Wskazał za las,

skąd pożar sypał snopami iskier po rozhu-  
kanym tumultcie nocy.

Komendant szwadronu zameldował się  
na skraju lasu komendantowi odcinka. Sta-  
nęli za grupą drzew.

Ulewa szumiała wśród liści, ciężkie po-  
ciski, niby szalone ptaki, szarpały się wśród  
gałęzi.

Zabłysła elektryczna latarka, obrzucając  
sztywnem światłem kwadrat mapy. Palec  
komendanta posuwał się wolno wśród wy-  
giętych znaków, niby wśród ścięgien i sub-  
telnych nerwów.

Zeszedłem w dół. Jaś czekał, oparty na  
karabinie.

Wszystko, com kiedykolwiek myślał i czuł,  
stało tu z nim zadumane. Wszystko, com  
wiedział i co mnie minęło nieznane, wszystkie  
chwile i puch ich najłżejszy i łom łamiący.

Objęliśmy się nagle. Od brata mego  
wionęło wilgocią, ziemią — i mrozem...

Komenda twardym rygorem sprężyła  
szeregi. Szedłem gdzieindziej w myśl mojej  
służby, a czułem, że tu w szwadronie zo-  
staję — objęty ziemią i burzą...



Minęła noc i dzień. W miejscu między wzgórzem a lasem wrzało wciąż i najkrwawsza rana mieniła się tam w nocy na niebie.

Chwile i godziny, w których wydaje się wszystko do cna, do dna, do końca. Nazwiska padających, straty, mijają, jak szybko wertowane stronicie wielkiego prawa... Nie masz granicy między tym, który jest, a tym, który już padł.

Zluzują nas o drugiej w nocy.

Spać... Stodoła... Lepsza, niż pałac, niż królestwa, słomiany, ciepły raj...

Koniska leżą zgodnie, żują i pachną. Pachną wsią, wakacyami.

Złote łaskawe światło latarki stajennej...

Przez kupę siodeł gramolę się na siano.

Aksamitne nozdrza mojej kobyły grzeją mi czoło. Poznała szelma i rzy przychylnie. Perłowe łaty widać w dziurawem poszyciu stodoły.

Wnet będzie świtać.

Zawrzały z oddali liczne klekoty karabinów maszynowych... Zaczyna się szturm naszych rezerw. Wszystko mi już jedno. Wybuchł pierwszy głuchy strzał armatni.

Zaraz się pobudzą baterye. Tam i sam na sianie śpią żołnierze.

Konie chrupią, oddech ludzi miarowo się kołysze, śmierć klekoce — wszystko mi jedno. Niespodziewanie błogi spoczynek przepaja wszystkie moje członki. Teraz nikt i nic mnie stąd nie ruszy. Popielaty brzask oksyduje rzemienie siodeł. W coraz silniejszym huku strzałów ptaszek się jakiś obudził mały i świergoli.

Ktoś mnie woła...

Wołaj zdrów.

Otwieram oczy, stodoła tonie w opalonym odmieście poranka... Z daleka, z daleka ktoś mnie woła uporczywie — zapewne mi się śni — tylko ptaszek się obudził i świergoli.

Zgrzytnęły drewniane zawiasy. Ktoś mnie woła... Wrota się odemknęły, w miękkich dymach poranka, z dźwiękiem broni, w kaszku sławetnym, staje ułan na progu i woła mnie!

Brat mnie wzywa... Czy przyszedł, czy na wieki odchodzi, brat, — żołnierz — czy rycerski anioł nowego ranka?...

Wszystko znikło.

Słuchaj... Tuż nademną chylił się orzeł kasku, z pod niego oczy patrzyły jasnymi iskrami. Na ziemią zwalanej Jasia twarzy, w otoczy granatowych warg śmiały się błyszczące ostre zęby.

— Byczo było — tylko mi daj pić, byczo... Biliśmy! Konia zdobyłem... Dopiero teraz wracam z pozycyi.

Głaszczę go po głowie, po włosach krótkich, miękkich, jak u kreta, — głaszczę czule, jak kochane, drapieżne stworzenie.

Ukląkł, by się napić z manierki.

Płyn chlupotał w blaszance, ptak sączył w bzach drobnuchne perły swego głosu, armaty grały coraz potężniej.

Gadaliśmy do siebie szeptem nie wiem co, ściskając sobie wzajem ręce, z których kruszyła się glina. Cieszył nas jakiś wielki, radosny śmiech, spływający niespodzianie z oczu strumieniem czułych łez... Znaleźliśmy się nagle tak blisko tu na sianie, niby w niebiesko-szarym wonnym obłoku, wedle którego płynie ku radosnej dla nas wesołości srogi rozgardyasz bitwy, — po niebie świt, po ziemi śmierć, a wiosna rzeką.

Zaś wśród tej burzy, my, z rozchylo-  
nemi wargami, — jak matka, gdy słuchała  
muzyki...

Ach bracie! — Jaś wyciągnął się i legł,  
rękę mi położywszy na piersi.

Spłynęło we mnie wszystko nurtem je-  
dynam. Stracił się gdzieś i znikł czas wszel-  
kich rozgraniczeń. Pamięć w światłach sta-  
nęła niepojętych... Serdeczna beztroska stu-  
liła wszystkie liście w jeden kwiat, żem  
czuł, iż byłem razem, będę razem, czy wio-  
sna płynie rzeką, czy śmierć po niebie tchnie...  
Niepojęta jakowaś wieczna równoczesność  
lekko pognała głębokie zgodne nasze od-  
dechy.

Kołysany ciepłem parskaniem koni, z ręką  
brata na piersiach usnąłem, — niby z mło-  
dym ptakiem na sercu...

---

## SPOTKANIE.

---

Stary Baniecki nie dał pakować, ani nie skryć, ani nawet ruszyć z miejsca...

— Tak, jakem żył i był, tak pójdę z dy-mem... Choćby w jednej koszuli...

— W jednej koszuli pójdiesz? — py-tała z płaczem żona.

— W jednej — odpowiadał, patrząc na nią surowo.

— A w jednej koszuli żyłeś?!

Wtedy przystawał na środku niskiej ja-dalni i milczał. Muchy mu rojem brzęczały dokoła głowy, złoty krąg zegara z kukułką dwoił się w oczach, iskry słońca, płonące na sarnich rogach nad kanapą, zbiegały aż na trawnik, zaś trawnik w zapatrzonych źrenicach przesuwiał się przez ściany jadalni pod obraz z Olszynką. Żona mówiła, że jak

nie ma co odpowiedzieć, to nie milczy — lecz słucha.

— Starą moją krwią słucham!...

Prostował się, siwemi kosmykami czupryny sufitu dotykając. Na czoło występowała mu ciemna żyła i szła przez całą twarz pod okiem, wzdłuż nosa aż ku brodzie.

Że zdawało się, twarz mu napół rozpeka...

Wystrzępiony, jak stary strach na wróble, nieruchomy, siwemi źrenicami patrzył groźnie, grdyka mu więzła w szyi, a czoło zbiegało się w jeden czarny skręt nad oczami.

— Bo wam mówię — kończył, — że to wszystko nie życie jest — a tłuszcz...

I rznął harapem przez cholewę, a pies zrywał się z pod pieca na równe nogi.

Na to nie mogła Baniecka nic odpowiedzieć, tylko żał ją ogarniał niewysłowiony. Żał, w którym tonął każdy drobiazg i cały dom...

— Cały domu! Czemuś nam starym grzybom nie dał, Boże, dożyć reszty dni w tem głuchem próchnie?!

Straszno jej było o to wszystko. Już nie o konie, krowy... Straszno za długi termin codziennych lat, za wszystkie święta powracające a niepowrotne, za wszystką żalność szczęścia — tu złożoną.

I gdzież się skłoni serce, gdy się te graty po świecie rozleczą?...

Tak żyli podczas tygodni walki i bitew w walce z sobą i w nieustannych podstępach. Śledzili się wzajemnie. Co pani Baniecka związała, schowała, zebrała, to stary Baniecki tropił, z wozu ściągał i z powrotem na pokojach układał.

Zaczęło się od rzeczy drogich, od wyprawnego srebra w safianowem puzdrze, od cacek z serwantki, a skończyło na najdroższych! Nawet portretów córki, fotografii w różnych rolach, pozatykanych w japońskie makaty, nie dał wziąć.

— Gdzieżeś ty, dziecko moje — płakała pani Baniecka, gładząc karmazynowy atlas wstąg, z powrotem zawieszonych nad kanapą, — artystko moja kochana?...

Ostatnimi dniami przeszły wozy. Przewaliło się już ze skrzypem i z tętentem

gospodarstwo wojenne. Przesypała się w olbrzymich kolumnach piechota.

Baniecki stał na ganeczku wśród gałązek dzikiego wina i patrzył, jak sypie się to bractwo proste, szerokie, spocone i senne.

Odchodzą. Czuwał pilnie nad tym odpływem. Widział ich we dnie, niby szarą trzodę, sypiącą się wciąż z pod załamu drogi opodal miasteczka. Widział ich wieczorami, rzekłbyś, glinę gęstą, spychaną w dół.

Zaś w nocy przy blasku księżyca przesuwali się tędy w zapachu ziem i wonności drzew, niczem ogromne obce skiby.

Daleko na horyzoncie wieńczył niebo gwiazdziste czerwony pierścień pożarów.

Gdzieś tutaj wśród tej piechoty szedł jego syn...

Na tem zatrzymywała się myśl Banieckiego... Oczy twardo szły po niebie rozkrwawionem, po drodze zdeptanej, po lesie i wśród spłoszonego snu pól.

Spojrzenie — mgieł się czepiało, bez celu, czekając, aż się rozpełzną. Jakaś ma-



chinalna pamięć powtarzała kolej zasiewu pól i lata wzrostu morgów lasu. I nagle przestawał Baniecki rozumieć, po co nocnym stróżom zegary z kontrolą ustanowił, po co kalkuluje łąbin, — owies, — żyto, — dlaczego rośnie las i gałęzie ku niebu wyciąga?...

Cała дума przyszłości kruszyła się na miazgę... Z niewiadomej granicy, z dalekości niedościgłych powracał pusty głos umarłego buntu...

Baniecki nie chciał słuchać tego głosu... Dawne pozory, młodą krwią malowane a beztreściwe...

Gdzieś wśród tej rzeszy, sypiącej się po drodze, miał syna. Ktoby teraz dzieci szukał? Ktoby się teraz pytał? Ktoby teraz o to dbał?...

Żołnierze coraz wpadali na podwórze pić wodę.

Baniecki patrzył obojętnie, jak spocone, czerwone twarze nachylają się nad wiadrem. Jedni tłoczyli się do studni, drudzy leżeli na brukowisku, w cieniu, pod stołką.

Wysoko nad strudzonym rzędem leżących wznosił się szary krzyż wrót.

Utrudzisz ty się, ciało żołnierskie, jak żadne bydlę...

Machał ręką i wzruszał ramionami.

Co parę godzin grupy oficerów pchały się do drzwi na pokoje. Gościł ich spokojnie i cierpliwie, nie mogąc się oprzeć głuchemu uczuciu braterstwa i pogardy...

Te myśli przekreślały mu ład wieczornej modlitwy. Nikt nie utrzyma tej ziemi i nikt się na niej nie ostanie... Ci sami, przed którymi chronił się po lasach w młodości i walczył, jak dziki zwierz...

Potworny żal, że zgnieciona jest siła, która gniotła. I ohydna radość, która jest wyrokiem zawiedzionych usiłowań...

Jeszcze się nie przecknęły lasy w ciemność wrośnięte, ledwie się pierwsze znaki ranka tulać jęły po zbożach...

Baniecki stał na ganeczku bez czapki, w grubej kurcie myśliwskiej i w butach, jakby gotów do drogi.

— I cóż ty robisz stary koźle — spytał nagle w myśli samego siebie.

Patrzę w oczy uciekającym.

Z domu sen go dochodził równy i cichy, młodziutką rosa szeptała dźwięcznie po gon-tach gumien i na rozrzuconej w podwórzu słomie.

Strugi pierwszych jasności legły już na różnobarwnej szachownicy łąków.

Siwą źrenicą zapamiętywał Baniecki ka-żdy liść pokrzywy wedle ganku i najdrob-niejszą grudkę na drodze, — a wraz patrząc na pola dalekie, huczące od wystrzałów, rozpamiętywał te same manewry...

Tylko, że wówczas zima była...

Za miastem wzbił się nagle z parowu ogromny słup niebieskiego dymu i opalo-wym kielichem rozchylił się ku niebu...

Wpatrując się w pożar, nawijał sobie Baniecki machinalnie młode pędy dzikiego wina na palce, a do oczu wraz z światłem poranka cisnęła mu się trucizna daremnych łez...

Z pod lasu, z za cmentarza trzeszczały salwy coraz szybsze i ostrzejsze. Z pół try-skały w górę kupy ziemi.

Śniadanie. — Baniecki stał za stołem,

żona siedziała naprzeciw w białym kaftaniku ze złotemi kłosami haftu na kieszonkach i pod szyją.

Pozierała na męża z dołu do góry, ostrożnie, z serdeczną trwogą i jądła — ach Boże, broń, — jakby nigdy nic... Tylko złote kłosiki drżały pod szyją, to znów spieszonym puszczone oddechem spadały na piersi.

Szyby się trzęsły, ze ścian opadał tynk, a służby nie można się było dowołać, bo wszystko pokryło się w piwnicach.

— Gdzież ty się wybierasz — spytała Baniecka, skręcając frenzel obrusa. — Siadłbyś, zjadłbyś spokojnie...

Czuła na sobie ciężki wzrok męża, czuła, że sama mówi bezmyślnie — i że chyba dziś wszystko się kończy. Nigdy jeszcze nie myślała, że wszystko skończyć się musi...

— Bo przecież widzisz — usta się jej zagięły, a dwie łzy równocześnie spadły na piersi — bo przecież widzisz, że ja sama...

— Widzę!! — Trzasnął drzwiami i wyszedł, pełne mając uszy tego płaczu i la-

mentu... — O nic — mruzczał pod wąsem — o nic, o nic...

Koło południa lunął krótki, ulewny deszcz. Armaty ścichły. Przewaliło drogą w nieładzie kilka szwadronów dragonów. Za nimi chłop od strony miasteczka, oszalały ze strachu, drżący, zdyszany: że będą palić... Że już podpalają!...

— Że co?!? — wrzasnął Baniecki, a ciemna żyła z czoła czarnym piorunem przedarła mu twarz.

Chłop stał we drzwiach w białej, płóciennej sukmanie z brązową ręką do kolan wyciągniętą.

— Podpalają, — zapłakał, dysząc ciężko.

— A ty strachem śmierdzisz, zamiast pilnować — skoczył do niego z pięściami Baniecki.

Po deszczu chmury owisły na niebie, a na ziemi przechyliła się sino-niebieska pomroka skosem oślizgłym.

Zapłonęły dwa domki na krańcach osiedla.

Baniecki z czapką na uchu, z kijem ekonomskim w garści, obszedł zabudowania, potem ogród, aleje, ścieżki. Wstyd mu było,

że to niby żegna się z tem, a przecie — tylko powinność. Bo nie poradzą sobie w miasteczku te zgniłki. Powinność obywatelska, reszta — tłuszczy...

Baniecka wyszła na ganek, z rękami wyciągniętymi.

— Pożegnanie się robi, czy co się wyprawia? — huknął. A w piersi mu alarm bił serdeczny. Chudziutka, w czarnej chustce na głowie, z dawnej wiosny przedzierzgnięta starość kochana...

— Pożegnanie się robi?! Na wojnę idę?...

— Nie pożegnanie, synku, nie...

Zjeżył się, trzasnął palcami i zawrócił.

Droga była pusta. Baniecki szedł w dół ku miasteczku. Układał z pasyą, jak ich weźmie za łeb, garbatego weterynarza, doktora — ja ci pokażę teleskop, myślał o doktorze astronomie. Doktora, weterynarza, aptekarza, żyda z młynu, strażaków pasibrzuchów...

Bolał go ten pożar czerwonym rąbem gryzący krańce miasteczka, aż piekły z tego bólu stare powieki.

— Nie na to cicho siedzim — warczał,

różnąc przez błoto drogi — nie na to siedzim cicho.

Teraz mu skręcić wypadło koło cmentarza. Właśnie mijał narożne topole, gdy z zakrętu wypadło kilku jeźdźców. W rozprysku błota na małych koniach, w czapach ogromnych pędzili strzelając poza siebie. Oficer naskoczył na Banieckiego.

Stanęli naprzeciw siebie oko w oko.

— Precz z drogi — ryknął nagle Baniecki, zęby oficera widząc przed sobą i lampas czerwony na portkach.

— Precz z drogi — w jakimś ukropie piekielnym drżały przed nim te zęby białe, roześmiane na strudze krwi...

Kawalerzyści już znikli, a stary jeszcze syczał i seplenił, jakby mu się liście zwiędłe kruszyły w ustach a nie słowa.

Teraz już prawie biegł ku miastu.

— Bo nie dam zniszczyć! Starą moją krwią słucham... Na posterunku...

Już miał był wejść między pierwsze domki, gdy nagle cisnęło go w tył niewysłowione przerażenie. Wszystka krew zbiegła ku sercu. Ręce zwisły bezradnie wzdłuż

postaci. Z najtajniejszych wątków duszy wynurzać się jęły rozbite człony przestarzalej historii.

Na rynek wjeżdżali stępo kawalerzyści — w kaskach legendy nieśmiertelnej... Postawa czujna, sprężysta. Karabiny na biodrach oparte, orły na czołach.

Od stalowej chmury, niby od złomu olbrzymiego pancerza, blaski szły po nich sine.

Jakaś nieuchwytna pamięć olśniła Banieckiego. Przebiegły przez serce wszystkie krwawe drogi tego kraju... I gniew olbrzymi, niewyczerpany na nieznanym młokosów — za lekkomyślną tę kradzież!!!

Uspokoił się trochę dopiero na mrocznym gazonie przed domem. Wionęło tu z każdego kąta przyzwyczajenie...

Dwie jasne smugi światła okiennych — złote stuły domowego obrządku... Pies... Zaśliniona morda przy kolanie... Tyle na świecie wierności, — co w tym ogonie rozmachanym... Baniecki zatrzymał się przy środkowej gwieździe klombu, obsianej samemi niezapominajkami. Cała rosą pokryta, z drobnuchnych kwiateczków złożona gwiazda



drżała mu u nóg, zachodząc wygasłym fioletem nieba. Małe listki niebieskie krwawiły, niczem paciorki granatu. Głaskał je szum wieczoru, a prześlizgnąwszy miękkim szelestem przez trawnik, kołysał się w sadzie, niecąc długie westchnienia.

Ktoś młotkiem przybija coś na podwórzu.

Baniecki kazał co żywo dawać herbatę. Kiedy usiedli do stołu, powiedział z goryczą: — I żebyś wiedziała, że nic więcej nie potrzeba.

Zegar tykał na ścianie, w sieniach cicho dreptał pies, drzewa lekko szumiały w ogrodzie.

— Powiedz, gdy przyjadą — ciągnął Baniecki, powoli obejmując zimnymi dłońmi gorącą szklanę.

— Gdy kto przyjedzie?

Nie odpowiedział, a żona nie śmiała go pytać drugi raz. Szeroko rozwartemi źrenicami patrzył, jakby przez nią, — przez ściany izby, przez zmrok, — w dal.

Tętent stawał się coraz bliższym, — całkiem blizkim. Jeźdźcy, gadając głośno, wjeżdżali na gazon.

Baniecki, blady jak płótno, purpurowemi uszami słuchał, jak trawnik głucho tętni. Baniecka poczęła co żywo zbierać ze stołu i chować masło, śmietankę, ser.

— Zostaw!

Słuchał. Zgiełk broni. Teraz jadą wedle okien. Po niebiesko-sinych szybach przemięły czarne postacie, dzwoniące stalą. Kamienie trzeszczą, żołnierze klną...

Baniecki ani się ruszył, tylko czerwone, wiotkie powieki drżeć mu jęły na żrenicach, a srebrne brwi, nagle do góry uniesione, twardą klamrą spoczęły na czole.

Pukano już do drzwi. Baniecki się zerwał na równe nogi i otworzył od strony ganku.

Czekali tam w kilku, a tak się tego nie spodziewał w tej pysznej formie i w tym srogim kształcie, że mu się zdało, las chłopa zbrojnego przed nim stoi!

Cofnął się ceremonialnie, oni zaś weszli z najstarszym na czele. Wśród szurgania, dźwięku ostróg z trzaskiem szabli mówili swe nazwiska.

Baniecki poprosił do salonu, gdzie zaraz

porozkładali się, jak u siebie, z wesołemi okrzykami padając na poduszki i puffy.

Zadudniły twarde buty na dywanie, zadrzały szkiełka na chińskich cackach.

Najstarszy, rotmistrz, wyciągał z za pazuchy mapę i wodził po niej paznogciem, pokazując pozycye dwom młodszym oficerom. Wszyscy trzej stali przy świecy obok stolika do papierosów, tak, że Baniecki widział tylko ich bary schylone, niby trzy tęgie skiby, jedna przy drugiej. Kędzierzawy porucznik siadł za stołem z książkami i ustawicznie zaczepiając guziki rękawa o włóczkową serwetę, oglądał malutkie, stare album z historią Napoleona. Mikroskopijne, białe, czerwone i czarne pułki potykały się w pomarańczowych łunach miedziorytu, niby pstrokate żuczki.

Oficer śmiał się do nich, wykrzykując, — a to ci były bitwy, widziałeś taką stypę!

Któryś znów ziewał przy oknie i tarł sobie twarz, mnąc nabrzękle od powietrza i deszczu policzki.

Baniecki zapalał lampy, zbierał ze stołu kalendarze rolnicze i patrzył, jak czerwone

wstęgi wieńców córki, przyczepione do lustra, fruwały w przechodzie oficerów.

Uprzedziwszy żonę co do kolacyi, poszedł za tym wywłoką służącym na podwórze.

Tu kawalerzyści obrządzali konie, drudzy wodę ciągnęli, chlastając pełnem wiadrem po cembrowaniu, inni znów grzebali się w sianie na pięterku stajni.

Pachniało tu koniem i trudem ludzkim.

Żołnierze wołali na się po imieniu, a Baniecki zapomniał nagle, poco tu przyszedł, i słuchał tych imion prostych, — tych samych...

Jak gdyby w mroku tej wiosennej nocy wieczność się jakaś powtarzała uporczywie...

— Widzę, że mamy zaszczyt — zaczął rozmowę któryś z oficerów z wchodzącym do salonu Banieckim, — być w domu ojca sławnej naszej artystki. — Przekładał z ręki do ręki fotografie i pocztówki.

Baniecki nie odpowiedział, zdziwiony tą bezmierną łatwością, z jaką stasowały się podobizny w rękach oficera.

— I dwór taki staropolski.

— Bo się jeszcze nie rozleciał.

Widząc, że się rozmowa nie klei, przestali starego w nią wciągać. Słuchał, jak gadają między sobą, odpowiadał na zapytania o przemarszu nieprzyjaciela, ale nie takiego chciał gadania i co innego leżało mu na sercu.

— A skąd pan wiesz — zapytałby najstarszego, gdy siedli za stół do kolacyi, lecz pytać nie mógł. Nie mógł przecie starych swych rąk położyć na ramionach rotmistrza, wszystką krwią wpatrzeć mu się w oczy i — gadaj staremu, młodziku... Jeszcze nim się zrodziły, już wiedły te pytania — a ilu was jest, a skąd — a skoro...

Czuł przecie stary Baniecki całą obrazę i niemoc tych pytań... Pamiętał jeszcze z młodości...

Pamiętał również później te straszne ciągi i wstyd, który żarli oni sami i pokolenie całe. Któż się odważy, kto śmie?!

Za najstarszym, jak mur, wstali wszyscy naraz od stołu. I znów łąził między nimi w salonie, lustrował mundury, ukradkiem

dotykał broni i patrzył z radością, jak pokój w koszary przemieniają.

Postulali japońskie parawany, pozgarniali na kupę obrazki i fotografie, wnieśli słomę, rozdzielili sprawiedliwie poduszki z kanapy.

Patrząc, jak się układają na spoczynek — w rozchełtanych mundurach, w butach, z bronią pod ręką — nie mógł się dziwacznej opędzić myśli, że to wszystko piękna kolenda...

Że tu posnęły oto młode pastuchy w przedświecie gwiazdy...

Ważyli się w Banieckim te ciężkie myśli, których nie miał powiedzieć komu całe życie. I jakaś łaskawość niewysłowiona a żalonna z powodu, że tyle już razy próżnym był poryw młodości, a kwiat jej płonnym.

Wyszedł, by nie przeszkadzać w wydawaniu dyspozycji. Zatrzymał się w sieni, przeszytej mieczami księżycy. Na podwórzu przy stajniach warty chodziły w cieniu, a od ich stóp biegła ziemia poświata zroszona, jak jedna nieogarnięta fala pereł. W sadzie cień drżał, szmery przeciągały wśród drzew wilgotne.

Baniecki oparł się o okno, czarny za siebie ciskając cień.

Otóż próżnym był poryw młodości a kwiat jej płonym. Przeto doświadczenie. Szukał go w myśli. Czy przyszło, gdy wedle stogów dy-szał latem krzepkiem? Gdy mu czas wąsy si-wizną prószył a wiosna drzewa młodą zie-lenią? Czy gdy w jesieni na przyzbie pot znojny z czoła ocierał?...

Starą swoją krwią słuchał, jak uczuć tłum ożywa i umiera, jak liść w sadzie drży, a broń w obejściu przytomna dźwięczy cicho, niby lodu tajanie...

Doczekał pierwszego brzasku, obudził żonę: — pani Baniecka, dajno żołnierzom jeść, — a gdy się zerwali do drogi, rotmistrza poprosił do siebie.

Skrzypiącemi schodami poszli na górkę.

Baniecki szedł pierwszy, rotmistrz za nim. Tędy chadzał stary Baniecki, przy końcu wakacyi synowi morały prawić i srogie słowa na drogę życia dawać. Tu chował ważne gospodarskie papiery. Tu, na górce, w zimie majstrował koło swych dubeltówek ważył śrut i wykręcał patrony. Tu, oglą-

dając stare myśliwskie buty, stojące przy piecu obok orzechowej kanapy, przypominał legawcowi dawne dobre czasy.

Baniecki stanął przy biurku, gościa poprosił siedzieć.

Rotmistrz z chrzęstem rzemieni usiadł na wgłębionem, jak czółno, karle, szablę sztorcem przy kolanie postawił i pochylając się uprzejmie naprzód, równocześnie baczył na żołnierzy. Wyprowadzali już konie na ścieżki wokół klombu. Chrupot wędzideł mieszał się z klepaniem po zadach, przeciągłem — ty — no, — i miękkim echem ziemi.

— Ja się was nie pytam, bo wiem — zaczął Baniecki. — Też byłem żołnierzem. — Machnął ręką, aż kości trzasły, i głowę schował w ramiona. — Owóż nikt tu nikogo nie błogosławi. Bo czyjeż tu są ręce pewne, że szczęście niosą?

Rozwinął zawiniątko na biurku.

Rotmistrz powstał. Na stole leżał płat amarantowego jedwabiu z białym orłem w pośrodku.

Owóż — ciągnął dalej szeptem Baniecki,



patrząc w las — przechowywałem święcie  
tyle lat — nie obraż się pan, że z przypadku  
korzystam, bo tu się wszystko świętym dzieje  
przypadkiem. — Ręce mu zwisły bezradnie,  
jakby pod nadmiernym ciężarem. — Otóż po-  
kolenie pokoleniu — tę szmatkę krwawą. —  
I to jest naród. — Płachetkę karmazynową.

Rotmistrz zebrał w garść purpurowe  
truchło, że się litery i orzeł w czerwieni  
pogubiły, sztandar niczem skrzep krwawy,  
na piersi schował i rzucił się Banieckiemu  
w objęcia.

---

## R D Z A.

---

Mijali wciąż świat nagi, twardy i straszliwy... Na lasach cisza, śnieg i mróz, na krzakach rdza umarłych liści, na drogach strzępy, strzępy, strzępy...

Dniami, nocami waliło tędy wszelakie żelaziwo, odzież, mienie i jadło... Dniami, nocami maszyny, wozy, ludzie, strzępy i strzępy...

Na lasach cisza i śnieg, kości białe po dołach, czarne gałęzie nad drogą, przy ścieżce krucha rdza, na drodze ciągly marsz, — na świecie śmierć.

A oni wszyscy, a my wszyscy, mundury, — z jednego dywana, z jednego sztofu strzępy wydarte... Wiatr nas żenie temi drogami, polski wicher od gór w dół na niziny popędza...

Właściwie nic nie było słyhać, ani tego wiatru, co pierś sobie rozdyma i na lasach ją szarpie... Ani tej wilgoci roztaraszonej, ani chrobotu kół, ani żelastwa, ani hałasu podkutych nóg, tylko to jedno jedyne: Młoty we skroniach, młoty przed oczyma i czarne skrzydła nad głową... Jedno serce ogromne, poczerniałe w srogim wysiłku...

W srogim wysiłku, od którego łamie się cały świat i tak chrzęści, waży, tak się mocuje i zмага...

Aż nareszcie przyszli pod one bełty hu- czące, jęczące, suche a płynne, znikome a wi- dome, swoje a straszne, — pod samą bitwę..

Bełty ciszą zdradliwe, krzykiem praw- dziwe, zaprawne śmiercią i raną... Przetoc- zone po całej ziemi, wszystkich niebiosach i wszystkich piersiach...

Tak się Sobczykowi wydawało, a nie inaczej. Jakowyś sos czarny, jadowity, jak ze złych grzybów, przelewa się tędy i siędy...

A wraz zapatrywał się w złoty, umarły listek na białej brzoźce i słuchał tego sensu: Nic jeno wieczór przekłuty w dali krótkimi błyskami salw armatnich...

Armatnie ciężkie głosy u spodu, niczem huśtawa straszliwa...

Teraz karabin maszynowy... Szczeka, szczeka równiutko, a Sobczykowi brzózka z przed oczu znika i widzi, — jak przez wodę siwą pies czarny zamasyście płynie, łapami wartko po wodzie bije...

Teraz piechota...

Koło uszu się przędą nici syczące, drzewa krzyknęły: Ach — ach!

Coś się pruje — spruć się nie może, jedne za drugimi łamią się tysiące kosteczek, — a dech z piersi Sobczyka ucieka. Dech jego rozsnuwa się wolno po igliwiu leśnej podściółki, zbratał się z szarym zakrętem mgły, — opada — a w piersi otwierają się piętra ogromne...

Piętra domu, gdzie pracował jako murarz przed wojną, niedokończone, pachnące chłodem i wapnem...

I to, jak biegli po rusztowaniu we czterech, gdy przyszedł telegram od Piłsudskiego...

I to, że szkoda, że tego nikt nie wymawiał, jak biegli w fartuchach po giętkich

deskach, aż chmura się podniosła... A trzeba-  
baby jeszcze domalować Polskę na czele,  
w płaszczu, z gronostajami, z koncerzem  
w ręku...

Gęsta bladeść wieczoru legła nad pa-  
górkami. Batalion ruszył naprzód, na front.  
Szedłem naprzeciw tej kolumny, szukając  
baterii.

Mijaliśmy się wzajem, oni i ja, — mój  
Boże — Któż to opisze!...

Mur takby kroczył, tak stąpa trzoda  
na stronicach Ewangelisty, tak dążą święci  
i śmierć tak podchodzi codzienna, tak kro-  
czy przez polski las powszedni obowiązek  
walki...

Szare, jakby w piaskowcu kute twarze  
mijały jedna za drugą, ciemne płaszcze roz-  
tapiały się we mgle. Wśród szczęku żela-  
stwa, kroku stóp i chrupotania gałęzi sły-  
chać było głęboki oddech ludzi idących.

W oddechu tym zasłuchać i pograżyć  
się można, jak w toni nieskończonej, jak  
w Nieskończoności samej...

Stałem z boku, aby oddział przepu-  
ścić. Spostrzegłem na skraju przedostatniej

czwórki Sobczyka. Szedł z głową naprzód podaną od ciężaru plecaka. Twarz jego ciemniejsza od innych ledwo wydzielala się z mroku. Pod zrośniętymi brwiami palił się blask czarnych oczu. Wąskie, zaciśnięte usta, podobne do fioletowej blizny, rozciągnęły się nagle w dziwnym uśmiechu.

— Napiszcie o mnie jakąś historię, obywatelu, — zawołał, mijając mnie. I wyciągnął rękę wdzięcznym, dziecinnym ruchem, jakby w sklepionej dłoni podawał krzynę wody.

— Ma się rozumieć, — zawołałem spłoszony nagle, — napiszę o was!

Jakiż malunek, jakie pisanie, jaka historia należy się Sobczykowi — myślałem, gdy przemijając zdaje się w dłoni dziecinnie sklepionej podawać drogocenną krzynę bezwiednej sławy swej?...

Walczyliśmy tam pod Łowczówkiem cztery dni i cztery noce. Był to bój tak srogi i okrutny, że zda się zapomniało się cel jego i przyczynę...

Że zapomniało się jego początek i rachubę...

Szedł czas ryczący ogniem, tchnący śmiercią, znaczony stratą najbliższych. W okopach raz wraz rwanych pociskiem, wśród kupy ściętych gałęzi, poharatanych ludzi, złamanego oręża...

W słońcu, jak w złotym nieprzytomnym uśmiechu...

Wśród tajania śniegu na krwawą ściółkę liści, — jak wpośród łez anielskich.

W nocy oszalałej, wśród ciężkich chmur pędzącego ołowiu, w nocy przemienionej na ryk... Na ziemi, z której nagle dusza ucieknie, bo napiera tu, wciska się, wnika ziemia inna, szara...

Gdy trafisz jej grudę, broczy ludzką krwią, ale grudy ciężkimi zlepami się toczą...

Piechota rosyjska jak wysypany grunt — toczy się, sypie na ziemię naszą...

Cofaliśmy się ku drugiej linii obronnej. Z obu stron chałupy po wydmuchach owianych mgłą, jak w widzeniu sennem przebiegali schyleni żołnierze, raz wraz przenikając do roli. Jakby niematerialne istoty, raczej cienie, zjawy, wykwitające z ugoru,

z lasu, wynikłe z krzewów rudych i zwiewnym łańcuchem wplecione w opar i w mgłę...

Wołać głośno nie warto, a trzeba przecie skrzyknąć taki huk.

Na głębokich dnach tego huku pławi się w śmiechu jasnym radość szalona, radość walki...

Wołać głośno nie warto, a trzeba przecie skrzyknąć wszystkich łączników - ordynansów, chata już pusta...

Sztab wychodzi, oficerowie z rewolwerami w rękę. Przetrzęsnałem całą izbę, czy się gdzie nie zawieruszył jakiś meldunek, kartka, papier niepotrzebny. Potem wylałem na strych, czy nie został tam jaki ordynans śpiący w sianie.

Śnieg białą rzęsą wkradał się przez szczelinę w dachu i prószył na zeszywniałe w kącie szmaty krwawe.

Nagle przeciąg wytłukł wszystkie szyby. Z szklannym szlochem runęły na klepisko i od tej chwili w chałupie wszystko poczęło tańczyć i latać.

Przeszukawszy stajnię, skoczyłem jeszcze za węgiel zobaczyć w słomie i ściółce z dę-



bowych liści, ukrytej pod małym daszkiem, czy ktoś nie został.

Na rdzawych liściach, jakby wśród szeroko rozlanej skrzepłej krwi, leżał na wznak nasz strzelec z rękami na piersiach skrzyżowanymi, sztywny i prosty, niczem posąg niebieski na starem złocie jesieni złożony...

— Hej, hej, — skoczyłem ku niemu — wstawajcie obywatelu, cofamy się, wstawajcie!

Porwałem go za rękę, lecz zimne były i kurczowo zaciśnięte na karabinie, który tulił do piersi.

Czy trup?

— Kolego! — wrzeszczałem mu do ucha — wstawajcie! Odmarsz! Idziemy!

Kule szły gęsto po poszyciu dachu, z chałupy niosło się trzaskanie nieprzytomnych wrót i szloch szyb.

Widać święte obrazy ze ścian lecą z tym płaczem.

Ekrazytówki pękały w belkach i na podwórku obejścia.

We mgle, po obu stronach, duchy szare, niebieskie, ostatnie przypadają do ziemi...

— Rozkaz!! — krzyknąłem.

Był to Sobczyk.

Dopiero gdy popatrzył na mnie spostrzegłem, jak martwem jest jego oblicze.

Zaczął bełkotać coś, z widocznym trudem szukając słów...

Nie drgnął, niby na sztandarze spłowiałym na owej rdzy leżący, — tylko oczy otworzył straszliwe, ogromne, puste.

— Wszystko się cofa! Marsz za mną!

Wtedy nagle twarz jego zdrętwiała w surowym ucisku, a oczy zaprzędy się nieskończonem oddaleniem.

— Mam karabin!... Mnie tu Piłsudski postawił na straży!... Ja straż!

— Komedye! Urznięliście się?! — Porwałem go oburącz za kark.

Usiadł.

— No chodźcie Sobczyk — najdzielniejsze wojsko się cofa, gdy musi. Zresztą co ja tu będę z wami, — marsz, — za mną!

Skoczył, uderzywszy się o pułap, runął na liście, znów się podniósł i stanął na baczność przed chałupą.

— Mnie tu Piłsudski na straży postawił, — mam karabin...

— Wszystko już odeszło! Sobczyk musicie mnie słuchać! Jest rozkaz!

Jedną ręką przytulił mocniej do piersi karabin, drugą ku piekielnej zawierusze strzałów podniósł naiwnie sklepioną, jak dzieci, gdy krople deszczu w dłonie łapią...

— Grad pada — zadziwił się bezmier-  
nie... — Grad... Będzie burza...

We mgle zniknęli ostatni żołnierze.

— Marsz! Marsz!!

Sobczyk uniósł karabin do pozycyi.

— Mnie tu Piłsudski postawił. Mam ka-  
rabin, — jam straż!... Mnie tu Piłsudski  
postawił.

— Sobczyk, tyś waryat!!!

Zastanowił się i wyciągnąwszy zma-  
rzną rękę, jakby w muszlę złożoną ku  
okropnej burzy strzałów —: Grad idzie, bę-  
dzie burza...

Na tle wrót, w huku salw i rzucanych  
przeciągiem sprzętów spokojny i kamienny  
z oczyma wlepionemi w mgłę, w siwym  
mundurze, do którego przyklepłe liście dę-

bowe błyszcząły jak krwawe płomienie — wyglądał niczem duch, widmo, potępieniec, — straszny pokutnik plamami rdzy przeżarty.

— Będzie burza... — Jam straż. Zamierzył się bagnetem. Wyrwałem mu z rąk karabin.

Wówczas nagle oczy Sobczyka zgasły, twarz prysła w tysiäcu zmarszczek. — Oddaj mi! Oddaj!!

Rozplakał się nieprzytomnie.

Oglądając się na niego, począłem iść pod górę ku naszemu szeregowi. Sobczyk blady z szalonymi jak pożar oczyma, dążył za mną...

Począłem biedz.

Biegł za mną szybko, ślizgając się w glinie, zaś zwiędłe, dębowe liście padały z munduru jego na ziemię, jak krwawe lzy ogromne, jak rude strzepy rdzy — jak żywe rany...

---

## S A D.

---

Jak Kuba — to Kuba...

Stary przekładał w sobie własne imię, raczej dźwięk jego, słyszany tyle razy, tyle lat... Przy oborze, na łąkach młodego zboża, na hali, na jarmarku, we dworze, u żyda, — lecz nigdy tak... Wychylało się ono z głębin nieznanych dotąd, ze słuchu niesłuchanego, z obrazu niewidzianego, z niedoznaczonych dotąd nigdy doli załomów. Widział je wszędzie, czuł we wszystkim, — dno, samo dno całej rozpaczy...

Rozpacz ta cicha była w Kubie, stanowcza i posłuszna. Miał ją na zawsze pod ręką, jak własną rękę. Czuł ją na sobie, jak własną pierś kosmatą i zimny, głodny brzuch.

To znów mijała się rozpacz owa z jakimś czekaniem cierpliwem, z szeptem si-

nych drżących warg... Z tem, że pod pachami jeszcze ciepło, a śliny w gębie dość, by język kołem nie stanął...

Gdy na to przyszło... Ważył to, znów przekładał — jakże to przyszło?...

Wyroiły się ze wszech stron, chłopów pozabierały, wszędzie broń i broń, — szczęk i trzask... Cały świat się śpieszy i goni, potnieje i marznie... Zajadą tu, zajadą tam... Pytają, polują, tropią, biją...

Wiadomo nie dać swego!... Czyjego?...

Narodu wysypali na góry, w doliny, do lasu, przez pole, — naród w góry wkopali — i trzymaj...

Teraz siedział za piecem, we słomie, w prochu, w szmatach swoich oziębłych i czekał... Wiatr pędził po górach, białą ością szronu przez rozpękliny szybek do wnętrza przenikał i jęczał straszliwie na polach... Że się zdawało, same się one pola zrywają, same z siebie światami we światy gonią. Ziemia w białym dygocie na niebo posięga, a niebo się wśród szczytów leśnych zabłąkało, — uwięzło...

Kuba patrzył w zaspę, coraz przesłania-

jącą okno, ślepiami ją przenikał... Szła na-  
przód mocna, skora... Zaś z nią, zaś w niej,  
trybami wichru porwane, wymiecione spoj-  
rzenie Kuby, — że nie wiadomo wkońcu, —  
oczyrna patrzy, czy dwiema grudkami lodu...

Mrok się sypał przez te porywy śnie-  
żyste, krwawa różga cieniów od ognia drżała  
na klepisku coraz wyraźniej. Wiatr ją pod-  
nosił ku górze, głaskał nią zdradliwie twarze  
świętych, wiszących pod powałą. Trzęsła się  
na oknie, po cienkich dylach przełazu pręgą  
czerwoną — i szukaj dalej, szukaj wiatru  
w polu!...

Jak Kuba, — to Kuba... I rady na to  
nie widział żadnej, bo szło to ku niemu cią-  
giem nieustannym, ukryte a wiadome, sa-  
motne a wszędy rozsiane... Uparte w tym  
suchym prochu mąki, co się małym pod-  
muchem przewija w dzieży z grudą owsia-  
nego ciasta... W tem szyb zgrzytaniu za-  
klęte... Na ławie pustej wedle ścian błysz-  
czące...

Rady na to nie widział żadnej... Tylko  
się w piersi bić!...

Jego niskie poorane czoło bruździło się

wyschłymi załamami, brwi niczem puste, brudne kłosa sterczały niesamowicie. Ciężki, tępy nos, u końca przykurzony kosmaczną, dźwigał się uporczywie z dwóch bocznych, czarnych fałd, które zagarniając końce ust, łączyły się pod brodą w sinem wiązaniu żył. Fioletowe i wydęte, jak strąk bobu, wargi Kuby zmykał i rozwierał szept, podobny do cichego szelestu szczypawicy w drzewie. Szept ów tonął, to znów wyraźniej się dobywał z siwego zarostu, który niczem szary szron zakrywał twarz, odsłaniając wielkie, miękkie uszy. Z wnętrza brązowych małżowin sterczały siwe, twarde włosy.

Kuba nogi zwinął pod siebie, ręce złożył na piersiach i cicho dyszał nędzą swoją, samotnością i niedolą, tak twardo, tak spokojnie, — jakby to jego tchnienie szronem mu owiewało twarz, ciemnym szronem zatkać miało uszy i gwiazdę kosmatego ostu wykwieciło na piersiach...

Ciężko dysząc kołysał w sobie swą nędzę, troskę, zbywał powoli resztek jakichś nadziei, a szukał snu. Pod bruzdą czoła mro-



wiły mu się — nie obrazy, lecz zwidy dawne, były — a przecie terazniejsze...

I to ostatnie i najpierwsze!!

Podniósł się, siadł na przypiecku, dobył fajki z portek, zatknął w zęby i, zapomniawszy zapalić, ciężkie ręce uwiesił na cybuszku. Smarkało w zimnym cybuszku a popiół skrzeczał, — tak się też w piersiach Kuby starych ślimaczyło, zaś popiół w gębie zgrzytał, jak piach w zębach topielca.

Owo najpierwsze i ostatnie przez grudę, zamieć i huk, przez ten dygot i ogień we mgłach krwawiące, — jak babę z córkami wyprawił... Co było oddał, kożuch z siebie zdjął, sam krowę z kołka odwiązywał... Mignęły na śniegu do drogi, zaś na drodze od krzyża fala je pochłonęła ludzi, koni, armat, wozów, krzyków i przekleństw.

Odtąd imię mu się własne słyszało wciąż — a nikt nie wołał. Widać do cna się już zgubił w tym świecie...

Z babami odeszło, co było ostatnie... Po tem pustkowie się rozległo wokół obejścia — ostatnie, szyte gwizdzącym sykiem i śmiercią.

Kuba słuchał dzień i noc, jak kule piorą

w chałupę, trzaskają w belki. Pojadał owsianego placka, z onym kwaśnym chlebem przełykał troskę gorzką, czy ogień mu domostwa nie weźmie...

Bo tam i sam widział wielkie pożary, jak czerwone maki na śniegu, jak krwawe rany na niebie widniejące...

A ja stróżuję — powiadał se ukradkiem w te chwile krwawych zmroków, śmiejąc się do szczapek na kominie... Bo tak mu się wraził w piersi próg chałupiny... Tak mu te ściany w kości wrosły, że każdy dzień, co je całe, nietknięte widział, — odkładał jak pieniądz oszczędzony.

Tak sobie stróżował dni kilka, — rozbactwo się głodne rozzuchwaliło, a człowiek marniał...

Teraz od południa cisza zaległa, — dzień się przechylił, a na świecie nic, tylko pustka i wichura...

Kuba wyszedł z za piecka i podsunął się ku oknu. Śniegi się ułożyły na polach wielką błyszczącą polewą, cały świat stał zatopiony w blasku miesiąca, martwy i blady. Od czarnych lasów biły niebieskie zębate strzępy.

Na niebie ciemnem, gęstem roilo się od gwiazd ogromnych, świeżych, zaś ponad drogą mleczną, z samych skrzeń nieuchwytnych utartą, wisiał księżyc, ostrym sierpem wbity w głęboką noc.

Pośród tej wielkiej, w nieskończoność rozesełanej nocy mrozu i lśnienia patrzył Kuba, co się dzieje na górach. Hen od szczytów i przełęczami ciągnęła długa sieć złotych światełek... Ze środka rozbiegały się na obie strony, — niby oczy złote, błędzące po lasach...

W dole, naprzeciw onego łańcucha świateł kaprawych czerniła się wieś, a za nią rude oparzelisko pożarów.

Plebanię spalili — myślał Kuba, — zaś głębokie echo serca oddawało mu — a ja stróżuję...

Wcisnął się w okno, twarz szarą do szybek przylepił i dygocąc z zimna, trzęsąc się w prośbach serca, tępem, chytrem spojrzeniem tulił się do ogromów mroźnej przestrzeni, — aby mu ojcowiznę ustrzedz dała...

A wtem nasrożył uszy. Z daleka, z góry, przez las coś szło cichcem wielkim. Raz po

raz śnieg się obsuwał, bliżej i jeszcze bliżej... Znaki się w mroźnej ciszy robiły, jakby coś kuło...

Tak słychać konie, gdy się im kopyta śniegiem zasują...

Dźwięk ostry, choć tłumiony, dobywał się ze śniegów i czucie osobliwe... To czucie, które czarami po głowie chodzi i przez plecy się sypie... Czucie jakiejś bliskości ludzi, śpieszących się ukradkiem.

Kuba stał nieporuszony przy oknie, cybuchu nawet z kąta do kąta ust po zębach nie przesunął i już nie sobą dygotał a ła-chmanami, zasłuchany w tę ciszę srebrną, czarną i błękitną.

Drzwi się nagle otwarły, żołnierz stanął na progu. Z piersi jego strzeliła ostra struga światła latarki.

Kuba zdrętwiał... We drzwiach były kozaki, włochate, niczem niedźwiedzie. Śnieg na nich błyszczał, jak pasma białego płomienia. W głębi u przelazu czekały dy-miące, czarne konie i dzidy z końcami błyszczącymi jak święte vota.

Zrozumiał, że mu mówią »stary« i py-

tają, czy kto jest. Rozłożył ręce na znak przeczenia. Weszło ich kilku. Na komin pokazali, żeby palić. Kuba widział przez otwarte drzwi, że na podwórze wprowadzają konie małe i kosmate, jak wilki.

Ucichło w nim wszystko i lęk wszelki znikł, a tylko spokój pozostał ostrożny i uważny, — że każdy ruch trwał jakby godzinę i dokładnie, jak w biały dzień,

Chłodno! Chłodno!

Więc zbójcom owym, rozsiadłym na ławach, palił w piecu, a czując, że o nim mówią i śmieją się, raz wraz odwracał od ognia głowę i potwierdzał. Widziało mu się, że dobrze będzie i przypochlebnie, gdy im przytaknie.

Pytały się zbóje a co, — a jak, — a ilu, — gdzie, — były, nie były?...

Wiedział to co?...

I znów się pytały, butami pod ławą majdając. Jeden podszedł do komina, stanął obok przykucniętego Kuby i krakał długo i klepał go po plecach żartobliwie a boleśnie, — aż dudniło.

Kuba się skrobał, czochrał, kurczył, — wiedział to co?...

Zagotowali wodę, zaparzyli herbatę, kiełbasą zapachniało, mięsem i kaszą.

Kuba szczęki zwarł i patrzył w ogień. Siedział na miejscu, jak przykuty, i słuchał.

Ckliwiło go w uszach od tej pełnej śliny, od obdzierania skóry z kiełbas i mlaskotu.

Pusta, boląca przepaść otworzyła mu się w dołku.

Żarli prędko, syrпали rozgłośnie, a zapach wódki tropem przemożnym ucaił Kubę za grdykę.

Zrozumiał, że go niby to zapraszają, ale nie sporo mu było, chociaż brzuch do pleców przyrastał, a tłuste skóry kiełbas i porzucanych kości leżały tuż, — tylko podnieść.

Ale!...

A on — idi — powiada — idi!...

Rozebrało starego raz, drugi, smak łakomy ściekł do samego wnętrza — nie pójdę.

A on kości cycka, żuchwami chrzęści, — idi stary — powiada — idi!

— Nie pójdę, — myśli Kuba, w ogień

pluje, że nie i nie... Jątrzy go smak, straszny smak go słabi.

Aż we dwóch przyszli, pod pachy wzięli i posadzili między siebie.

Pokazują na migi, kielbasę pod nos podtykają, z herbaty się kurzy, wódka pachnie..

Kuba ręce na stole kładzie i cofa — cienie za nim po ścianach wymachują czarne... Omkno mu, że zasiadł do wieczerzy, — nie wie z kim... Ani ich ta kiedy widział, ani znał, moskał to jest — wiadoma rzecz... Gdzieś tam, kiedyś, coś, niewiadomo co, tylko z niepamiętanych dalekości — jakieś mrozy, dziadowskie stęki, pod murem na odpuście pomsty i przeklinania...

— Strują me, — jak psa...

Wicher się łamał, pod dachem ogień wskrzeszał i nił, blask rudego płomienia naprzemian z nocą tańczył po ścianach. Za oknem bladość księżyca tężyła się śmiertelna, a Kuba siedział tu na ławie między tymi kosmatymi żołnierzami, — jak własny duch...

— Strują me, — przepowiadał sobie — jak psa me strują...

Szukał czegoś w pamięci wśród niepa-  
miętnych dalekości, między dziadowskim  
przeklinaniem z odpustu i z jarmarku, z kar-  
czmy, z lat starych, Bóg wie gdzie prze-  
chodzonych — wiedział to co?...

— Jak psa me strują...

Bokami pracował, dychał ogłędnie, by  
zapachów tego jedzenia nie doznać, — cienie  
po ścianach wydziwiała — jak mary...

Głosy żołdatom zgęstniały, gęby się szklíč  
zaczęły, palce tłuszczem błyszcząć. Pasów  
popuścili, broń z siebie zsunęli.

Sąsiad przerzucił Kubie ramię na plecy —  
i do ucha pyskiem czerwonym gada... Po  
głowie głaszczą, za szyję obejmuje.

Młody był, — spowiadał się o ojcu, —  
ocięć ty moj, — kielbasę Kubie w zęby  
wetknął.

Same się zwarły, same zgryzły!

— Ocięć ty mój — powiada i znów  
kielbasę podtyka, za szyję trzyma, po głó-  
wie gładzi, w oczy patrzy i śmieje się.

Zlitował się Kuba nad sobą, będzie to  
jadł z ręki, jak stary, ślepy dziad? Sam  
nie urądzi?...



A żołdacy ryknęły śmiechem radosnym, aż ostrogi im u butów dźwięczały, że stary je...

Czuł, że ich śmieszy i samemu raźniej było, że taką uciechę z niego mają. W jakiejś myśli odczepnego mizdrzył się do nich, a oni klepali go po łopatkach, widząc jak rozwiera się strąk jego warg i jak zmarszczki uśmiechu przekreślają czarnym ukosem całą twarz.

Niby dla hecy jadł, a pojadał przecie zdrowo. Potem znów przepili. Kuba patrzył z serdeczną ciekawością, ręce na podółku złożywszy i głowę przechyliwszy, niby podczas kazania, — jak ciemna, czarnym włosem porośnięta ręka starszego niesie flachę do ust.

I śmiał się nie na pokaz, a własnym śmiechem, dla siebie, — że mu dobrze... Ciepło się rozchodziło po zmarzniętych członkach.

Jakby go już niepowrotnie najgorsze minęło...

Powoli rozgadał się, choć go nie rozumieli. Kielbasa dobra — ho ho!... — Kiwał

głową i mlaskał... Przytakiwał też ogromnym kawałom czarnego chleba, a o ile miała kolejka wódki iść, składał ręce na podółku i głowę w bok przechylał — jak do kazania.

Sąsiad go za szyję obejmował. Z uścisku czarnego ramienia sterczała głowa starego obojętnie, jak szara zmarszczona mawkówka.

— Ociec ty moj — powiada strzępiaste kozaczysko, — na góry pokazuje, a w oczach łzy mu się kołyszają...

Wkońcu obrzękłą swą rękę na rękę moskala położył — patrzy, co powie...

Żołnierz rękę posłusznie trzyma, słucha, na góry wskazuje, popłakuje.

Szacunek ma dla starości...

Niema co, ludzie są — pomyślał Kuba, wstając od stołu, by drew dołożyć.

Złapały, nie puściły...

— Sidi — powiada — ty stary jesteś... Młody się zerwał, sam pali, a Kuba fajkę tylko nadstawia.

Starszy mu kłak tytoniu wepchał...

Palenie będzie.

Tak, oto, siedzi z fajką w zębach pomiędzy zbrojnymi zbrojami. Jak były w skórę zaszyte, w sukna grube, w czapach baranich, — tak on z gołemi rękami, w szarych portkach łątanych, w koszulinie u szyi patyczkiem przetkniętej...

Tak oto siedząc, niczem ta stonoga słaba, bezbronny i sierota, chwalił sobie w kłębach dymu ten czas, dopust i i to zrządzenie — kozaki też zapatrzyły się w ogień, — odęły... — dobre — mówią — dobre...

Komu to ciepło w zimie złe?

Rozgadały się, od słowa do słowa — żona moja, żona twoja — powiadają — gdzie?...

Żona, dzieci, — sami też mają żony — wiadoma rzecz...

— Żona — powiada Kuba — poszła na dół, do wsi, ze strachu, — bojały się...

Kozaki się śmieją, po brzuchach klepią, — wojna straszno... Komu nie straszno?...

Kuba zaraz uprzejmie potwierdził tem bardziej, tem mocniej, iż czuł, że już najgorsze go minęło...

— A znasz drogę do wsi? — spytał

nagle najstarszy z poza gęstego kłębu dymu, niewidoczny. Tylko mu w oczach coś błysło, jakby w tym gęstym dymie śrucina się za-  
błąkała twarda i ciemna.

Kuba nie odpowiedział. Jakżeby nie znał drogi! W lewo od krzyża, przez pola do Grzesikowej chałupy, krzynkę łąką i będzie prosto na kościół.

Wstali, pasów poczęli dociskać, zbroję rychtować.

Kuba zerwał się podawać młodszemu kielbasę, mięso z miski. Wódkę tylko zabrali, tytoń i resztę zostawili.

— Będiesz miał na potem... — Młodszy kozak chustkę czerwoną z szyi zdjął i Kubie na szyi zawiązał.

— Ciepło tak...

Kuba zaśmiał się w odpowiedzi, wyciągając szyję z mocno zawiązanej chusty. Jeszcze mu młodszy portki wyrzucił ze swej torby.

— Ciepłe — powiada... — Tyś stary...

Tłomaczył mu o tych portkach, długo i rozmaicie... Wyszło z tego, że portki były

po bracie zabitym, — abyś wiedział —  
szczęście przynosi... Tyś stary, biedny...

Kuba stał koło tych nogawic rzuconych  
na ławę. Drygały w blasku ogniska, jak  
bezwładne poharatane nogi. Rękę na nich  
trzymał, głaskał i uśmiechał się nieufny  
trochę, a trochę rozczulony.

— Będziesz miał, — będziesz miał, —  
huczał starszy, zmuszając, by się w toto  
zaraz ubrał.

Gdy się im przebrany z zapiecka uka-  
zał — zanieśli się śmiechem. W szerokich,  
czarnych rajtuzach, w szarej kapocie i czer-  
wonej chuście na szyi, wyglądał jak stra-  
szydło. Głowa mu się chwiała nad czer-  
wienią szmaty, niby na szyi rozkrwawionej  
osadzona... Strzępy kaftana odsłaniały chude,  
kosmate piersi, a sztywne fałdy portek czy-  
niły wrażenie, jakby Kuba nie stał na ziemi,  
lecz wisiał tuż ponad nią.

Starszy dał znak. Zerwali się, jak ich  
było pięciu, po izbie oczyma powiedli, młody  
jeszcze raz kielbasę do mięsa przytulił, chle-  
bem nakrył — będziesz miał — i stłoczyli  
się do wyjścia.

Kuba wyszedł za nimi do przełazu przy chałupie, na pożegnanie.

Tknęło go coś na progu, a gdy stanął przed obejściem na kamieniach, zamarznęty świat mając u stóp, nad głową gwiazdy jak ćwieki, przed sobą światło księżyca, niczem toni przezroczystą rozlane — załął się...

Te obce ludzkie chamrały się z sobą przy koniach i więcej się ich tu znalazło. Małym włochatym konikom wiatr długą sierść pod włos cesał, śniegiem zanosząc. Na dzidach grotki błyszczwały, jak sople lodu.

Koniska gryzły się niespokojnie, a kozaki, niby wielkie krzaki jałowcu, krążyły po śniegu tam i sam.

Drzwi od chałupy stały otwarte. Na progu lśniła podkowa szczęścia, rumieniąc się od łuny z izby. Pasma blasku plotły się między nogami stołu przez próg, po śniegu i lodzie, jakby opływał krwią...

— Wróć to te kozaki kiedy do domu swego — myślało mu się samo — i gdzie się znów człowiek z człowiekiem spotka i w jakiej doli?! — Litował się nad nimi.

Najstarszy tknął go w ramię — o drogę.

— Prosto przecie.

— Daleko?

— Niedaleko. Tu zaraz...

— Gdzie?...

Stali przed nim w kilkunastu, opodal konie, jak wilki. Cofnął się od przełazu ku drzwiom.

Pomąciło mu się wszystko, że to razem siedzieli i jedli po przyjacielsku, po gospodarsku...

— Ano, — zaczął prędko, — od krzyża w lewo, przez pola do Grzesikowej chałupy...

Starszy kiwał głową, że nie rozumie.

Poblądzą, hałasu narobią, pewno znów wrócą, mięso zjedzą...

Do krzyża z nimi przejdzie...

Zsunęli się w dół, minęli kępę świerków, rozprostowanych nad strumykiem. Zeszli w kotlinkę na oślizgłe kamienie, szronem pokryte. Wielki zwał lodu, jak tęgi srebrny pług, wrył się w czarną falę głośniejszej, górskiej wody. Wokół niego, niby złote półksiężycy drżały chyże zręby nurtu. Śnieg skrzypiał pod nogami żołnierzy, obok których Kuba szedł w kierpcach cicho, jak widmo...

— Teraz do krzyża prosto — wskazał im kierunek ręką, rzucając długi cień na kamienie żlebu.

— Nie widno — zauważył najstarszy.

Więc poszedł z nimi do krzyża i kapliczki, z której wyglądał siny święty, strzępami mrozu ukoronowany.

Widok się stąd rozciągał na pola pochyłe i wieś. Tu dopiero spostrzegł Kuba, że łańcuch świateł, podczas wieczoru spłóził się po górach, bo teraz niedaleko od wsi.

Cisza trwała wpośród uśpionego świata. Słysać było każdy krok, każdy dźwięk strzemięcia, każde parsknięcie koni...

Ta cisza srogim gwałtem nappełniła serce Kuby. Odwrócił się bezradnie... Widać stąd było jeszcze na szczycie jego chałupę. Ogień się tam pewno dopalał, bo w okienku czerwień się ukazywała i gasła, niczem powiewanie krwawej chusty.

Od krzyża droga szła przez wyrwę w gruncie, zbiegając się z drugą, do łąk prowadzącą stromo w dół.

Kuba się ociągał. Proszą — idi — stary —



idi... I ruszyli z nim dalej, odpowiedzi nie czekając.

Wszystko przycichło jeszcze więcej. Kozaki szły po szorstkim lodzie drożyny, pięty mocno wpierając w ziemię i chwiejąc się w różne strony. Konie zostawili pod krzyżem. Każdy zbroję przytrzymał, aby nie dźwiękła. Szeptali między sobą.

Szept ten niósł się cicho, jak pacierz.

Kuba prowadził, a za każdym krokiem, każdego krzaka myślą się czepiał, każdej okiści śnieżnej, — że teraz ich puści samych, — droga prosto.

Ale się bał...

Gadać przestały, osowiały, idą, słaniają się... dyszą z gwizdem.

Jeszcze do Grzesikowej chałupy, a tam już będzie dość... Wódka też ze łba wywietrzała...

Oczy przecierał, szmaty na piersiach zgarniał, — gdzie to idzie w tę noc, z tym narodem, — gdzie?...

Zatrzymał się nagle przed skrzyżowaniem dróg, a kozaki za nim i pobok przycupły w jeden mig, jakby się w ziemię zapadły...

Na środeczku drogi stał koń czarny i chrapy wyciągał. Błyszcząca od szronu czarna grzywa wirowała mu nad głową. Po długiej sierści szła fala podmuchu czy deszczu, zaś z nogi przedniej skurczonej spadały na śnieg gęsto ciemne krople.

— Tfu, czort! — syknął najstarszy.

Koń patrzył na nich nieruchomemi oczyma i głowę wyciągał potulnie.

Żal było Kubie zwierzęcia, bo możeby się wyleczyło. Zatrzymał się koło szkapy, znów drogę ręką ukazując.

— Będzie dość. Dalej nie pójde. — Skrobał się w głowę z uśmiechem i w nadziei, że się wykręci, mędrkował przy koniu.

— Idi — najstarszy jadowicie zasyczał mu nad uchem, że się Kuba naprzód potoczył...

Oni za nim...

Strach się w nim rozszamotał głuchy, obraza, niezrozumienie straszliwe huczało w piersiach. Toczył się teraz szybko naprzód, niby szary baran, którego zagarniają dokoła czarne włochate kundle.

Stanęli znów, już niedaleko tej chałupy, dyszący i zasłuchani...

Kuba z bezmiernem zdziwieniem patrzył na swych kompanów. Czoła się im z pod czap zmarszczyły nad same brwi, w oczach świecił bystry, okrutny męt.

Poodał z drogi, ze śniegu wylaniać się jęły inne kozaki.

Teraz dopiero zmiarkował, że leży ich cała kupa pod przełazem, że w szeleście roztaraszonej słomy kręcą się, jak pijawki.

Dygotał na całym ciele, gruby pot perlił mu się na czole. Serce mu waliło młotem i słyszał, jak on huk serca bije mu w uszy, przez całą bladość nocy, przez wszystek gwałt przymusu, głosem ogromnym — Kuba! — Kuba!!

Do Grzesikowej chałupy szli po lodzie na czworakach, a potem przez łąki miał ich wyprowadzić prosto na szosę.

Drapał się pod górę — a baba mu się wciąż błąkała przed oczyma i to, jak krowę z kolka odwiązywał. To znów strach przesłaniał wszystko, czarne wiry juchą gorącą płynęły pod powiekami...

Grzesikowa chałupa puściutka była, jak cmentarz. Splądrowali... — Otwarte drzwi

kolebały się, skrzypiąc przeciągle. Kolebkę pod oknem śniegiem zaniosło.

Obeszły chałupę cicho, a Kuba z nimi, jakby uśnięty z tego przerażenia, cichy, marny i bolący...

Ledwo wyszli na skłon, — błysk czerwony wionął przez śniegi pode wsią i huk...

Upadło wszystko na ziemię.

Huk walił ze wszech stron, krwawe światelka strzelały ze śniegów i z szarych głębin lasu... Straszliwe terkoty jęły warczeć donośnie, a głos leciał, łamał się po górach, ciskał po nizinach większy i większy, jakby całego świata zawalenie.

Kozaki parły naprzód drżące, — a Kuba z nimi, bity pięścią po głowie przez najstarszego. Roilo mu się w głowie od iskier i razów. Wymachiwał rękami i pełen przerażenia hyczał ku szosie.

Biegła od lasu po wieś jak srebrny promień. Gdy tu doszli w dyabelskim ryku strzałów, kule pryskać im jęły pod nogami i z boków.

Ten i ów jęczał już na śniegu, farbę puszczając. Obok Kuby zwałił się młody

kozak, ten sam, co mu chustkę dał i portki. Ręce z jękiem wyciągał, Kuba chciał do niego poskoczyć, ale najstarszy go nie puszczal, waląc wciąż pięściami po głowie...

Soldaty zbijały się w kupę, cofały w rów, grzebały wśród śniegu. Dokoła dygotało wszystko, — jak w pierzu... Strzały szły coraz bliżej, widać już było w krótkim wyblysku cienie przeciwnika i twarze...

Kuba, zwalony pięścią w twarz, padł na ziemię, udając zemdlenie. Kozaki leciały z powrotem, tamci biegli naprzód, — rozumiał, że to swoi.

Zerwał się, obskoczyli go, ktoś chwycił go za kołnierz. Ktoś inny przyskrzypił tak mocno, że Kuba padł na kolana.

Salwy ryczały po górach, cienie żołnierzy mknęły naprzód, ranni kozacy jęczeli na śniegu... Nad Kubą pochyliło się kilka młodych, drapieżnych twarzy. Patrząc na nie z dołu, obie ręce na piersi stulił i śmiał się ogromną radością.

— A moskale — moskale — wykrzykiwał przekornie. A juchy — skrzeczał nie wstając z klęczek. — A — ho — ho, a — ho —

ho, — zawodził trzepiąc poklejonemi od płaczu powiekami.

Przepelniał go szybki nawał tych zdarzeń...

Za młynem, przy wodzie, od dworu paliła się wieś.. Gorącą łuną i kopciem tchnęło aż tu... Jazgot ludzki dolatał przez cały huk strzelaniny... Teraz się Kuba do żony i dzieciek dostanie... Swoi go odbili... Ranny kozak, ten co mu chustkę dał, wił się na śniegu i przeciągał na wieczny sen...

— A juchy — powtarzał Kuba ciesząc się tą falą radości, co mu z piersi belkotem płynęła wezbranym, — a juchy — jak to me urządziły!...

Macał się po pobitej głowie i okrwawionych policzkach, przysiadł na pięty i przypowstawał, zaś twarze ściągłe, drapieżne, różowe, dyszały nad nim bliżej, coraz większem gorącem. Strach w piersi buchał i nikł, jak te snopy płomienia z zapalonej wsi, — to się znów wszystko gubiło w straszliwym łomocie ech.

Nagle płaczem się Kuba zaniósł i runął z klęczek żołnierzom do nóg, szlochając

ciężko z samego wnętrza, ze szpiku kości, duszą całą.

Podnieśli go i z wydziwianiem pod bagnetami odstawili do szosy. Łzami skrapiając ten śnieg, łzami kapiąc po grudzie, szedł ku swojej wsi, — między swoimi — a blady, jak trup, — z sercem strutem...

Ciężko se pozbierał po chatach wsi rozdzonej, po stromych ścianach drewnianej dzwonnicy kościoła, rozpartej i błyszczącej, jak wykrochmalona spodnica... Ciężko se pozbierał po płotach, przełazach, a wszystko to szło do niego nie jak było, — jeno niby przez wodę daleką, przez pogodę zawrotną, — niedościgłe i obce...

Stał tu przy kamieniu, gdzie droga z łąk wpada do szosy. Żołnierze przysiedli obok i zakurzyli papierosy.

Kuba, wpatrując się w swój długi, czarny cień, drżał na całym ciele... Z bliska go dolatywał ruch wsi rozkotłowanej, krzyk ludzi przy pożarze. Strzelanina huczała po górach, jakby się skały kruszyły.

Nagle buchnęła wielkim płomieniem Grzesikowa chałupa. Zadrżały dalekie śniegi, cień

nabrzmał czerwienią, jak krwią. Na świerkach, na szpilkach końce igieł złotem się krasnem obrębiły.

Wracali stamtąd powoli żołnierze przez innych prowadzeni, krwią kapiący.

Kuba stał bez ruchu, zapatrzony w swój cień, strach się w nim palił gorący. Żebry jakieś pełzały ohydne i rosła cisza... Rosła w nim cisza coraz większa, poprzez cały zamęt tej nocy, strasznej na ziemi, wielkiej na niebie...

Począł se przepowiadać na gwałt, jak to było... Jak przyszły, kiełbasy dały... Że baba z dzieckami pewno we dworze... I mrugał obrzękłemi powiekami oszukańczo do samego siebie...

Nagle przykucnął przed żołnierzem, co palił papierosa na kupie kamieni, — dobył fajki, poprosił o ogień i zaczął opowiadać... Odeszło go wszystko złe, jak ręką odjął...

Siedze se, — zaczął rażno, — siedze se, wiatr dmucha... — Rozpowiadał im długo, szeroko, jak siedział, co myślał, jak kule w ściany trzaskać zaczęły...

Żołnierz karabin między nogi zasadził,



ręce za rękawy splótł, splunął przez zęby i westchnął:

— Aleś się z moskalami spiknął!

— Ni — i — ni...

— Będiesz gadał jeszcze?...

— A będę — zaprzeczył Kuba najspokojniej.

— A kto im drogę pokazywał?...

— A kto? — podchwycił Kuba.

— A kto ich aż tu doprowadził?! Z mapy wiedzieli?!?

— Juści z mapy, — przytwierdził przechernie Kuba, niby bardzo rzeczy świadomy...

— No kto?... — pytał żołnierz, kiwając głową.

— Kto? — podchwycił Kuba, jak echo.

— Może ja, cholerrra z takim gadaniem! Co?! — Ja?

— Ja?... — zapytał Kuba.

Tamci we trzech podeszli bliżej, zaciekawieni i obstąpili przykucniętego Kubę.

— Takiegoś piwa nawarzył — rzekł jeden z nich, ogarniając ruchem ręki pola i rannych powracających. — Słyszysz?...

Kuba patrzył w ziemię na buty żołnierskie, a nie chciał patrzeć w stronę bitwy. Ale nie słyszeć nie mógł... Góry drżały od huku, i przekleństwo tak nie godzi z pokolenia w pokolenie, jak ten rozgłos rwał ze szczytu na szczyt... Jakby kto góry na kupę strącał.

— Takiegoś piwa nawarzył stary.

— Kto?...

— Ty!!

Kuba spojrział na nich pod górę i nagle poczuł się, jakby nie między stojącymi żołnierzami przykucnięty czekał, a w studni na dnie...

— Nieprawda, nieprawda, nieprawda, — bił się w piersi — a włosy mu się na głowie zjeżyły.

Siedli przed nim pod rząd na kamieniach, młode toto, zmarznięte, zmordowane, — żal się Boże...

— Tylko teraz ambaras z tobą będzie...

— Że co?... — szepnął Kuba cichutko, łypiąc oczyma na boki...

— Staryś a głupiś — zauważył drugi żołnierz.

— Ale!... Kiedy, — siedze se — zaczął znów opowiadać — patrzę... wiatr dmucha...

Pogwarzyć mu się z nimi chciało, ludzie były rozumiejące, choć młode... — Siedze se — patrze... dajcie ognia... A wy, — z tutejszych stron?...

Nie odpowiedzieli.

A Kubie stanęło wszystko w oczach, chałupa, w której kielbasa została i chleb, czarny koń na skrzyżowaniu dróg, ten dopust cały i zdarzenie...

Wagował, wagował, wagował...

— Biły me!!! — zapłakał nagle gorzko, twarz kryjąc w szmatach...

— Czemuś się dał?! — żołnierze wzruszyli ramionami.

— O — o — o!... płakał stary wciąż, jeno nie mógł łzami zalać tego przekonania, co gryzło go — jak ów pożar krajuszki gałęzi smreków — rąbem palącym, ognistym...

— Czemuś się dał, — nie wstyd ci to?...

Nie było mu wstyd, że się dał, ani żal, że go pobiły, — ale że drogę pokazał, że tą drogą przeszły!... Wiedział to co?...

Ale, że drogę pokazał, że tą drogą przeszły, tego wszystkimi łzami zalać nie mógł.

Burza strzałów ryczała po szczytach, od wsi pożarem świeciło, jak w biały dzień. Młyn się palił... Ludzie czarnym wiankiem ślaniali się wedle niego. Drogą przez łąkę do szosy nieśli żołnierze coraz więcej rannych, niby kupy ciemnej borowiny, a od młyna waliły czarne kłaki aż tu...

Wyłonił się ze śniegów jakiś oddział wracający...

— Wstawaj stary, — zawołał żołnierz, gdy tamci przeszli — idziemy!

Kuba się podniósł, podciągnął portki i poszedł, dziwiący się temu wszystkiemu, z kawałkiem nieba nad sobą między czterema bagnetami, — jak pod baldachimem gwiaździstym...

Im bliżej byli wsi, tem go większy ogarniał lęk i strach... Nie czekał przyjaźnie znajomych sobie chałup, kątów i płotów. Zdało mu się, że idzie, — juści tak... Idzie, a przecie stoi i czeka, by nie szło toto ku niemu — już — tak zaraz...

Pykał z fajki, na nic nie zważał, a cała

wieś przepowiadała mu się w głowie, jak rachunek sumienia... Strach go ogarniał, nie taki jak przed kozakami, ale — że ani patrzeć, ani słuchać, ani dychać, ani się gdzie dzać...

— Za prędko ci? — spytał żołnierz słysząc, że Kuba sapie boleśnie.

— Dobrze, dobre, — odpowiedział serdecznie, bo wszystek lęk go odszedł na to zawołanie.

— Wytchnij se — rzekł żołnierz, — pójdziemy wolniej. — A tu se zapal — masz...

Podał mu w tył papierosa, którego Kuba założył za ucho.

Wchodzili do wsi. Spalenizną niosło, jak z cygańskiego obozu, droga się mieniła tchnieniem ognia, to czerwona, to sina. Wiszące z dachów długie sople lodu błyszcząły rześściej, a po sadach przy chałupach wiatr gwizdał niesamowity.

Kuba patrzył ku niebu na łunę, w której się roztopiły gwiazdy i ciemności nocy.

Co miał po chałupach patrzeć?!! Wiedział przecie, że same w nich żołnierki zostały z dzieckami i dziady. Chłopów przecie

nie było. Nie wiadomo czemu, ale ulgę to przynosiło Kubie.

Tymczasem oddział, zamiast prosto do dworu, wykręcił w lewo wąską drożyną, na młyn.

Zatrzymali się czekając, aż z czwórek dwójkami się tam przecisną.

Znał tu Kuba każdy kamień — a oto nie wiedział, gdzie stoi oparty o przełaz w śniegu po kolana... — dałyby się wyspać i wszystkoby minęło szczęśliwie... droga ciężka, — noc późna, — wieś nie śpi — skaranie boskie!... Wróciłby do swojej chałupy!...

Jutro wróci.

Młyn już dogasał. Kurzyło się ze śpichrzy, dym gryzł w oczy, ludzie stali, kiwając głowami, z rękami na brzuchach splecionymi.

Płomienie grały w swym blasku cały placyk. Między czarnymi stopniami wstrzymanego koła woda spływała roziskrzoną falą. Szum jej mieszał się z trzaskaniem pożaru. Pozostałe reszty budynku obciskała cienka plisa ognia. Nad zwalonym dachem

hasał i kłębił się gęsty czub dymu, z którego nagle buchnęły nowe płomienie.

Twarze ludzi i żołnierzy okryły się miedzianym nalotem. Wśród poryków bydła, dalekich salw, gęstego szumu wody i trzaskania płomieni, słychać było przeciągły płacz młynarza i jego rodziny.

Rozwalone ściany, podarte śmiggi i ścięgni żelazne, dym, jęk i szum — wszystko to dążyć i zbiegać się zdało do stopni młyńskiego koła... Zdało się krwią przez zęby jego przepływać i spadać gdzieś dalej falą czarną w rozległe otchłanie nocy...

Biły me — wymawiał się w duszy Kuba i płacze i łyzy w sobie niecił. Lecz pożar mu łyzy obsuszył! Że tę drogę pokazał, że tą drogą przeszły — tego już łzami zalać nie mógł...

Musieli zaczekać, aż przejdzie drugi oddział. Tumult się tam robił, bo jeńców prowadzili, — wziętych kozaków. Szła ich spora gromada nierównym krokiem, nie jak wojsko — a jak zmęczone chłopcy. Śmieli się, palili papierosy, trącając się w pochodzie wzajemnie.

Byli to ci sami, którzy siedzieli u niego w chałupie... Poznał najstarszego i kilku innych.

Oni zaś, spostrzegłszy Kubę też pod wartą, wymachiwali ku niemu serdecznie i w przechodzie witali.

— Stary! — Stary!

Kuba nie odpowiadał, osunął się sam w sobie, na własnych gnatach zwiśł... Gorące łuny wstydu rozpierały mu piersi... Patrzył na nich pustemi oczyma... Zmarszczył czoło, rzekłbyś, nie może sobie czegoś przypomnieć, mimo trud najwyższy... Zaś w żrenicach jego, szeroko otwartych, jak gdyby poruszać się jęło ogromne młyńskie koło, bijąc czerwony nurt ślizkiemi, czarnemi skrzydłami...

Napełniła go nagle myśl o tym młodym kozaku, co mu chustkę dał i brata portki.

— A tamtego — wrzasnął nagle ku kozakom, pokazując chustkę na szyi — zostawiłyście!!

Wdali się w to żołnierze, odgradzając tłum coraz liczniejszy od wojska.

Zapadło się coś z trzaskiem piekielnym



we młynie, na placu chmura legła ciężka, ruda, iskrami przetkana. W tej chmurze gorącej tłum zgęścił się, sparł koło żołnierzy. Szemrał, radził się, pytał i skubał za płaszcze... Zaś gdy się dym przetaił, gdy nowa światłość wybuchła ze zgliszczy, baby, dzieci, dziady, wszyscy pierścieniem zwartym cisnęli się ku Kubie, wrzeszcząc i wymachując rękami...

— On! On! On!...

Słowa gubiły się w krzyku, twarze nikły w ciżbie, z której jak kamienie sterczały zaciśnięte pięści.

Kuba dreptał w pośród żołnierzy, jak w klatce dziki zwierz, podnosił głowę i opuszczał, zgarniał na sobie łachmany. Usta mu drżały, zamknąć się nie mogąc, a z piersi kwilenie się dobywało podobne do dziecięcego płaczu...

Ludzie ciskały się ku niemu z pięścią, z pazurami, z wyzwiskiem, a on twarz w szmaty krył, uszy rękami zasłaniał i chwiejącą się głową przytakiwał...

Wzięte jeńcy przeszły, potem oni z Kubą do kwatery.

— Powiedzcie, — że — jo... Że jo... —  
prosił się Kuba warty.

— Co ci tak pilno.

— Powiedzcie, że jo, — prosił o posłuchanie...

Siedzieli przy ogniu, drewek dokładając. W garnku nad płomieniami uwieszonym bułkotała warza mięsna.

— Powiedzcie, — że jo... Powiedzcie, że jo... Prosił Kuba stojący opodal w dymie.

Nareszcie pod bagnetami zaprowadzili go do szkoły.

Starszy stał na środku izby i skręcał sobie w palcach papierosa.

— Jo — o... — jęknął Kuba od drzwi przeciągle i ręce po sobie opuścił.

Zwichrzone, wydarte włosy sterczały mu na głowie i karku, jak jeżowi. Całą twarz miał w czarne plamy od pobicia. Za lewem uchem skrwawionem sterczał mu papieros, przekreślający czoło szarą kreską cienia. Rozbita i spuchnięta warga górna wyciągała się skosem ku nosowi, nadając twarzy wyraz pogardliwego uśmiechu. Ze spuchnię-

tych oczu przez czerwone szparki błyszcząco mętne, bezradne spojrzenie.

— Co powiecie — spytał starszy, nie patrząc na Kubę.

Oberwało się w nim, oberwało się w nim raz na zawsze.

To jo... — zachrypiał Kuba.

Potem żołnierz przedłożył swoje jak, co i gdzie...

— Dały mi jeść, — skończył Kuba, — tę szmatkę (wskazał na chustkę), portki, — tytoniu — (wyciągnął fajkę) — i biły me...

— Tyś ich prowadził?

— Jo.

— Drogę pokazywałaś?...

Skinał głową.

— Jeszcze przedtem, — w chałupie cię bili?...

Kuba zaczął...

— Jedlimy w chałupie.

— Po drodze cię biły?

Kuba zawahał się i wpatrzył w oczy starszego. Światło z nich szło pogodnie i cieszę się przedła łaskawa.

Żołnierz przysunął się do Kuby i chrząknął znacząco.

Starszy oczy spuścił i odwróciwszy się ku oknu spytał ciszej:

— W chałupieś-cie jedli po przyjacielsku — potem wyszliście?... Po drodze cię biły?...

— Po drodze — nie biły...

Starszy odwrócił się nagle i wpatrzył w Kubę. Chłop stał naprzeciw z oczyma zatopionemi w szary śnieg za oknem. Twarz jego pół czarna, pół sina, sprężyła się ostremi liniami.

— Więc cóż gadasz?!!

— To jo... Potniał od tej rozmowy i trząśł się... Coś go ciągnęło, ciągnęło...

— Toś ty bił, a nie ciebie — zachnął się starszy z prześmiechem.

Ciągnęło Kubę dziwne nie swoje rozumienie...

— Mięso w chałupie po nich zostało — rzekł nagle. Zwinął chustkę, dobył woreczka z tytoniem i wyciągnął z tem rękę do starszego. — I to mi dały... — skończył.

Starszy wstał ostro, rzucił papierosa na

ziemię... Kubie spojrzenie zgasło i ramię z chustką spadło...

Oficer przepisał karteczkę.

— Odprowadzić!

W sieni spotkali nauczyciela, trochę bab i żołnierzy.

— No co, — no co?... — Szeptali oparci o ściany.

Żołnierz prowadzący przodem machnął ręką.

Kuba szedł za nim, spokojnie patrząc w przerażone oczy ludzi.

— Straszny — jaki pobity, — straszny... szeptano za nim.

Chustkę sobie z powrotem na szyi związał, bo zimno było.

— To on... To on... — huczał tłum gapiów, idący za wartą. Przybyli przed dwór. Blask wielu okien oświecał wozy tu stojące, jeden przy drugim i gromadę koni z łąkiem siodła przez księżyc wysrebrzonym.

— Co jest?? — Straż ich puścić nie chciała do środka. — Gdzie leziesz?

Prowadzący wskazał oczyma na Kubę.

— Ten człowiek... — Resztę szeptem.  
I oddał kartkę.

Czekali pod amfiladą. Cień padał od filarów, czarnemi pręgami wydłużał się przez płot i tonął w pluskach strumienia, płynącego blisko przez mrok nocy.

Woda wiodła w dal swe zimne dźwięki, wiatr z jękiem kładł się na śniegi, a Kuba mamrotał do siebie, głowę z chuściny wyciągając ku niedościgłej wysokości nieba.

Ciepło go owiało w przedpokoju. Tu przecie chadzał do dziedzica po zapłatę. Z kancelaryi ani dychu nie zostało. — Wszędzie śpi wojsko.

Weszli do pokoju jasno oświetlonego. Najstarszy tu panuje.

Chodził se tędy siędy, mrucał, mrucał — nagle stanął.

— Aha! To ten człowiek. — Odwrócił się i spojrzał Kubie w oczy niebieskimi piorunami z pod siwych brwi.

— To jo... — zerwało się Kubie z ust chrypliwie.

— Tyś drogę pokazywał?

Kubie się lekko zrobiło, widział, że się prędko dogada.

— Jo.

— Tyś prowadził?

— Jo... — Potarł się dłońmi po włosach i znów zwisał na sobie, jakby już z siebie odszedł... Oczy jego szare i małe patrzyły w rześisty żyrandol, jak w pustkę.

— Czy wiesz, jaka za to czeka kara? — Najstarszy podszedł bliżej, — tuż, że powiało od niego na Kubę niby władzą i siłą.

— Co masz na swoje usprawiedliwienie?...

Zatchnęło Kubę... Nie rozumiał i rozumiał...

— Jedlimy — zaczął wreszcie — i nie dokończył...

Oczy najstarszego mroczyły się — gasły. Kuba patrzył w okno, słuchał jak woda pluszcze, jak się fala z falą tnie i jak wicher po lesie szumi...

— To jo — wyrzekł nagle głośno, poprawił się na nogach, piersi naprzód wypuczywszy.

Najstarszy patrzył wciąż osowiałym wzro-

kiem, a ciężaru Kubie od tego wzroku przybywało!!

Tak trwali długą chwilę, jeden w mundurze szarym, twardy, jak w kamieniu wykuty, drugi połatany, skurczony, zmięty, niczem ze szmat i śmiecia ukręcony.

Aż obaj pochylili głowy w milczeniu. Najstarszy przepisał...

— Odprowadzić do batalionu!

Przecknęło się coś w żołnierzach dźwiękiem stali i jakby jakiś ciężki sen spadł ze wszystkiego...

Wracali do szkoły — a z tyłu za Kubą szła garstka ciekawych, jak za pojmanym złodziejem.

Kwaterę znaleźli dla starego w szopie, za przegrodą. Ktoś cisnął mu gruby koc. Obok pokotem spali żołnierze.

Szerokie tchnienie snu mieszało się z porywem wiatru, wiatr wiązał się z dalekim dźwiękiem fali strumyka, — a wszystko marzło w prostem, niebieskiem objęciu księżycowych promieni.

Kuba zaszył się w siano, oczy przytulił do szerokiej szpary w ścianie, za duże portki



podciągnął aż po pachy i patrzył na ów świat zamrożony i łzami krwawymi płakał na drzazgi desek.

— Czemu płaczesz, stary — pytał żołnierz z karabinem na ramieniu drepczący przed szopą. Czemu beczysz??

Kuba umilkł.

— Baby ci żal? — gadał żołnierz, łażąc tam i z powrotem, — stary jesteś... Co ci ta z baby?... — Żołnierz stanął, wyprężył się, ręce do księżyca wyciągnął, aż mu w stawach chrupło...

— Dziecek ci żal?... — Dadzą se rady bez starego niedołęgi, — nie bój się...

Kuba nie odpowiadał. Żołnierzowi znudziło się rozprawiać sam na sam z nocą mroźną, kucnął przy szparze:

— Stary śpisz?...

— Nie, — zabeczało z wewnątrz.

— Widzisz! — Żołnierz powstał i znów zaczął chodzić, skrzypiąc butami.

— Chałupy ci żal? — Pewno... Ale czy to chałupy ubędzie przez to, że ty kite odwalisz?...

Żołnierz dreptał po śniegu wyiskrzonym

tam i napowrót, gwarzył se z nocą błękitną, ze wszystkimi sprawami, ze śmiercią Kuby blizką, ze swoją śmiercią czekającą jutro, czy dziś — a Kuba zasypiał powoli w toku tych twardych, szorstkich słów, z oczyma w księżyc wpatrzonemi...

Zbudził się rano, sam, nagle. Słońce grało po śniegach, błyszcząc na szczytach, jak szkło. Czarne lasy stoków górskich świeciły tysiącem iskier, zaś między niebem a ziemią świeżość szła czysta, jak ze źródła.

Kuba wyszedł z szopy, a spostrzegłszy wartę, pozdrowił ją i usiadł na progu, mrużąc oczy.

Zimno było i rzeźwo, białe, maluchne skrzydełka szronu podrywały się ze śniegów.

Siedział tu, cały oddany słońcu, czując jak ciepło dobrotliwe przenika jego znużone członki. Pochłonał go ten ranek rumiany i czysty, rozległy i ogromny. Coraz skrzypiały drzwi którejs chałupy, głosy ludzkie niosły się w ciszy jasne i świeże. Naprzeciw szopy na sąsiednim skłonie czekali ułani

z końmi u kowala. Czarny jak węgiel wychodził z kuźni i rozprawiał z nimi wesoło.

Śmiali się głośno, słońce iskrzyło się im w oczach. Dźwięk młota bił z głębi kuźni donośnie, jak dzwon.

Kuba, zanurzywszy ręce w kudły na piersiach, słuchał pobożnie, jak dźwięczy żelazo. Za każdym uderzeniem zamykał oczy.

Przynieśli mu gorącej kawy. Wypił i zapalił fajkę. Szum wody, przerywany głosem żelaza, wspomagał mętne jego myśli, jak gdyby woda owa płynęła wśród nich coraz bystrzejsza, — jaśniejsza...

— To jo... To jo... — zwierzał się z fajką w zębach wszystkim głosom poranka.

Wzięli go pod bagnetami i prowadzili. Wiedział gdzie idzie... Najprzód pójdą przez wieś, potem za cmentarz...

Tymczasem niebo chmurami się okryło, piękny ranek znikł...

Zaszli do szkoły, radzili ze starszym.

— Ja nie chcę — słyszał Kuba przez okno — krzyczy ten! — Ja nie chcę — powiada ów...

Oparł się na płocie, niemrawe pięście

do skroni przyłożył, patrzył jak cienie chmur płużą po śniegach, a las się mgłą zaciąga. Lenistwo go napadło wielkie, ciężkie — zwisał na sobie bezradnie...

Widać stąd było młyn zniszczony, potargane kąty śpichrza, rozwaloną bramę, złamany mur. Ze stopni koła młyńskiego na stopnie spadała cienka fala, jak pajęczyna — a potem biegła przez śluzę szara i czarna. Dym się nad wodą unosił, popiół ją przesypywał i spalenizna i płynęły te męty, płynęły — — winien. — nie winien — to to...

— Słyszysz me? — pytał w duszy wody onej.

— Słyszysz me? — pytał baby i dzieciek.

— Słyszysz me? — pytał swego dobytku.

Wodzili go tam i z powrotem. Stawał przed kwaterami i czekał. Wchodzili do izby a on siadał, — jakby z dawna przyuczony, — na schodkach. Pręcina, gdzieś urwaną, po śniegu bił leciutko i czekał. Czekał, niby przez sen, skulony w sobie, żeby się raz skończyło...

Co gdzie uszli, to się ciekawi zbiegali z pięściami, z wyzwiskiem, a Kuba cieszył się, że widać baba do miasteczka powędrowała, że jej tu niema i się nie patrzy.

Aż straż się rozeźliła, splunęła i poszła...

Został tylko jeden na koniu.

— Pójdziemy stary — rzekł — nikt cię nie chce.

Kuba zapatrzył się w bok mimo konia i jeźdźca, ponad chałupami, poprzez dworskie topole, w których krakały wrony, — jakby pustemi oczyma czerpał blask marny ze śniegów dalekich i przygasłych...

— To jo... — mrucał Kuba i szedł po żółtej szklącej się drodze.

— Pójdziemy po prośbie, stary...

Tak znów wędrowali od komendy do komendy, a z tyłu młynarzowa leciała i baby za Kubą, zdrajcą.

Nogi się pod nim gięły, jak łożyna. Zmęczony przystawał, czapkę zdejmował i patrzył ku swej chałupie.

Teraz go wzięli do oddziału i w drogę!

Tym samym śladem, łąkami, do zgliszcz Grzesikowego obejścia. Potem do krzyża.

Tu przesmykać się jęli po jednemu, po dwóch. Za wsią toczyły się wciąż echa pojedynczych strzałów.

Doszli szczęśliwie i legli wszyscy w rowie.

— Skończyć jakoś trzeba — mówił starszy drapiąc się w czoło. — Żaden z nich nie chciał i mnie to oddają...

Żołnierze z zakłopotaniem stronili od Kuby, pilnując go...

Głowę między kolana schował i ważył wszystko... Niebo, wodę, góry i ogień... Serce się w nim gięło, pot straszliwy wystąpił na czoło.

Naprzeciw od strony lasu gwizdnęły strzały.

Z piersi Kuby jęk się wydarł ogromny, jak wicher, jak nieskończony szum zimowych chmur... Stary zerwał się, wyskoczył przed okop i jęcząc całą mocą swych starych piersi, wymachiwał rękami, póki nagle nie runął, jak ścięty oset na ziemię...

Z lasu i stąd od przykopu pędziły już naprzeciw świszczące chmury ołowiu...

WIECZYSZAW GODYCKI CWIRKO  
Oblassy, p. Kozienice.

## PANI DOKTOROWA.

---

Tegoby się nikt nie spodziewał... Nikt nie śmiał o tem myśleć, choć wszyscy marzyli, że kiedyś...

Słuchy — były słuchami, oderwane czyny spisku — czynami wyjątkowej śmiałości, lecz...

— Ludzie! Ludzie moi!... — krzyknęła.

Snopy złotych iskier czy radość, uradowanie czy wdzięczność, czy modlitwa?... Ogarnęło panią doktorową jakieś ogromne wyzwolenie z wszystkiego co krępuje, i wraz, — przywiązanie bezgraniczne do ziemi, domów, do nieba i powietrza...

Stała przy oknie, wychodzącem na rynek małego miasteczka, nie mogąc się oderwać stąd...

Oderwać się budzić męża i dzieci! Niech

cała, to jedyne w życiu, jej rodzina — niech wszyscy razem na to patrzą. Jakby to potem miało pokoleniami iść naprzód i w pokolenia wracać...

Lecz nie oderwie jej stąd żadna siła, a tylko w oczach łzami zasnutych ukazuje się ów oddział, niczem chóry rycerskie: Oto stoi na rynku z bronią u nogi, oto siną wstęgą przewija się nad dachami, — utwierdził się wysoko pod niebem skromny i szary w objęciu brylantowych promieni słońca...

Łzy opadły.

Nie jest to sen, ani marzenie...

W kolisku małych, biednych domów, na drobnych jak gomółki kamykach bruku stoi oddział polskiego wojska.

Ubogie ono jest, oberwane, w drelichu, w płócienu, w byle czem... Żadne tabory za nimi nie ciągną, żadne wozy, żadne parki tętniące...

Tylko na czapkach krągłych pobłyskują białe orły w słońcu, jak najlepsze otrzewienie, jak lód, czy wielkie srebrne skry.

Ubogie ono jest to wojsko, zmarznięte po nocy całej.



Ptaki polskie, — ptacy niebiescy.

— Widać, że zerwali się nagle, prawie — jak kto stał, z czem kto miał...

Zmęczeni muszą być!... Posiadali na tornistrach, ten przestępuje z nogi na nogę, tamten wyciągnął się na bruku i spi sło-dziutko, inni gadają i śmieją się wśród promieni słońca, a ono lśni między nimi, jakby to ich śmiech tak się skrzył...

Ogromne, dumne szczęście drży w sercu pani doktorowej...

O blizkiej śmierci żaden z nich nie myśli, choć każdy wie...

— Mili moi... Jedyni wy!...

Pobiegła do sypialni dzieci. Obudziwszy chłopca i dziewczynkę, przyprowadziła do okna, całując w twarz i w rozespiane świeże oczy.

— Czy będziesz to pamiętać Jasiu?... Czy zapamiętasz to Helenko?...

Ogarnęła ich szyje ciepłymi ramionami i wszyscy troje wychylili się z okna.

Dzieci w niebieskich narzutkach i matka w pąsowym kaftanie, — dwie niezapominajki i róża...

— Widzisz — przyszli do nas. Widzisz — teraz będą jedli... Ciepłą herbatę im wynoszą... Mają chleb, — widzisz? A tamci śpią, bo są zmęczeni... Patrz, jak ten biegnie prędko! To oficer. A ten na koniu, — widzisz — jaki zwinny? Czy będziesz to pamiętać Jasiu?...

Usłyszała za sobą ciche kroki męża. Jedną ręką przytrzymując dzieci, drugą objęła go w pól.

Nagle, sposobem niepojętym ułożyło się właśnie teraz wszystko w jedną harmonię... Teraz dopiero zrozumiała pani doktorowa, dlaczego mieszkali w tym głuchym kącie tyle lat, dlaczego tak pokochała swego męża, dlaczego ma tych dwoje dzieci, — nawet i to, — dlaczego słońce wschodzi nad ziemią.

Ostra komenda sprężyła szeregi pierwsze. Surowy rozkaz szedł w głąb rynku, stawiając na nogi tych, którzy leżeli.

— Czy będziesz to pamiętać Jasiu?

— Patrz na nich wszystkich.

Szła wzrokiem wzdłuż szeregu, starając się przeniknąć każdą z tych twarzy mło-

dych i poważnych. Starając się na wierne wieki wieczne zapamiętać tę chwilę.

— Czy dobrze ich widzisz Jasiu, wyruszają do bitwy!

Nadjechał komendant, przemówił parę słów. Buchnęło z szeregów śpiewem ogromnym jak chmura, jak burza...

Ludzie na chodnikach cofnęli się przerażeni jawnością tego śpiewu.

Doktorowa schyliła twarz między główki dzieci i tuląc swe usta do lekkich włosów Helenki patrzyła jak oddział wyrusza na przód.

— To gdzie oni idą mamusiu?

— Idą się bić z Moskalami, idą się bić!...

Na bruku dudnił miarowy krok marszu, szli czwórkami pochyleni wprzód. Z gromady domostw wyłonili się na wstędze gościńca pełznącego wśród pól zielonych.

Aż znikli w ametystowym drzeniu horyzontu.

Pozostała w mieście część oddziału weszła w boczną uliczkę.

Tłum gawiedzi powstał jeszcze trochę, ludzie powzdychali, pogadali i rozeszli się.

Nie zdało się pani doktorowej rzeczą godziwą, a już tem mniej wystarczającą, przyjmowanie po domach poszczególnych żołnierzy. Uważała, że całe miasto winno ich przyjąć. Że powinno wszystkiego dostarczyć, we wszystko zaopatrzyć. Że całe miasto jak w wielkie święto...

Na progu zatrzymał ją mąż.

— Gdzie idziesz?

— Do miasta ma się rozumieć...

— To się przecież na nic nie zda.

— Dlaczego?

— Cóż my wszyscy tu możemy...

— Ależ... — Uśmiechnęła się prawie że pobłażliwie.

Patrzył jak biegnie ze schodów i słuchał jej kroków w sieni domu...

Cień żalu i smutku ogarnął doktora... Urodził się tu, tu się wychował. Tu umarli jego rodzice. I tak, jak ten swój dom znał miasteczko oraz wszystkich jego mieszkańców.

Aż przypomniał sobie, że stoi na progu swego cichego domu i czeka, kiedy wróci

żona rozczarowana, zniechęcona... Bliższa mu w smutku niż w aureolach tej radości.

Wstydząc się tych myśli zamknął drzwi.

Doktorowa wróciła do domu o zmroku, nie śmiąc zwierzyć się mężowi z tego, co ją spotkało na mieście...

Spotkał ją strach, nieufność, powszędy pełnzące plotki o całym ruchu, brak zaufania, jakaś algebra, kalkulacya nadziei politycznych, z których wynikało, że wszystko to, co hańbi inne narody, stanowić będzie o polskiego narodu dojrzałości...

I najgorszy ze wszystkiego śmiech...

— Jednak — bo nie mogła się ostatecznie nie poskarżyć — śmieją się z nich... Że tego nie mają, owego, że są źle umundurowani, niejednolicie uzbrojeni... Przecież to własne swoje wojsko! Przecież to tak, jakby się matka śmiała, że jej własne dziecko gołe na mrozie marznie...

Nie wiedziała już, jak inaczej to wypowiedzieć.

— Trzeba zaczekać — rzekł doktor. — Nie dziw się, w mieście pełno szpiegów... Ludzie się boją...

Dziwnie ją drażnił słodkawy zapach karbolu, który przenikał wszystko w tym pokoju ordynacyjnym. Zdało się pani doktorowej, że nie tylko ludzie, że rzeczy boją się tu własnego cienia, a dusze własnej odwagi, a domy własnych kształtów, a każdy ogień własnego żaru. Wszystko tli tylko, nędznie pełga, lichy zamiera...

Jakby ją tu osaczyły meble i przyrządy lekarskie, — bez wyjścia...

Opuściła ręce.

— Mogą wrócić — mówił powoli doktor obracając w rękę małego sfinksa z biurka — po cóż narażać się dla jednego uniesienia?...

— Mój Boże...

— Ja się bynajmniej niczemu nie przeciwstawiam, — dodał jeszcze.

— Tu się nikt nikomu nie przeciwstawia... Mój kochany...

— Ależ rzeczywiście.

— Połóżże mój kochany tego sfinksa.

Doktor uważnie popatrzył na żonę.

Mrok zapadał, jakby niższym czyniąc sufit pokoju.

Daleko na polu wielka cisza krwawiła w blaskach zachodu.

Doktorowa zdjęła palto i poszła do dzieci.

Podczas kolacyi wprowadzono szturmem na podwórze konie jakieś.

— Nasza konnica — krzyknęła pani doktorowa.

Doktór podszedł do okna. Usłyszał po chwili, jak żona odkłada książeczkę z domowymi rachunkami, które sprawdzała co wieczór. Wiedział już, że postanowiła działać na własną rękę.

— Tyle to znaczy — dodał nagle — co te iskry z pod kopyt końskich... wobec ogromu tej ciemności...

Doktorowa powstała...

— A zresztą choćby tylko tyle... Zawsze lepiej, niż nic...

Wyszła.

Spostrzegł ją na rynku oświeconym przez blask księżyca, zatrzymującą się koło jeźdźca.

Kłaniał jej się z konia i coś tłumaczył.

Doktór nie chciał pomyśleć, że oto obcy jeździec odbiera mu żonę. Był to nonsens...

A kto tu jest teraz właściwie obcy, a kto swój?

Echem wróciło: Tyle — ile te iskry, wobec ogromu ciemności. I — lepiej to, niż nic...

Twarz żony w otoczy dokoła głowy plecionych warkoczów, twarz, którą kochał jak własną duszę — była teraz biała, niemal przeźroczysta...

Widział, jak usta jej mówią, a oczy śmieją się wielkimi iskrami.

Tak było od dawna przecież w Legendzie Narodu — koń, niewiasta, blask księżycy — w legendzie, na obrazie, w tem wszystkim, co jest strzępem osłody.

Jeździec podziękował doktorowej i zawrócił.

Została sama na środku rynku... Kawalerzyści pocwałowali boczną ulicą. Zrobiło się pusto.

Z pod muru wyszedł strażak w błyszczącym hełmie i szeleszcząc jak karaluch, przemaszerował na ukos, z ogromnym cieniem u boku.

Doktór wyszedł po żonę. W milczeniu



wrócili do domu, nie życząc sobie jak zwykle dobrej nocy.

Już na drugi dzień rano udało się pani doktorowej zgromadzić trzy panie około swej idei, nauczycielkę, żonę weterynarza i żonę adwokata.

Właśnie radziły w saloniku pod sztywnym liściem sztucznej palmy.

Przerwał im naradę tumult jakiś na rynku...

Panie skoczyły do okna. Poszczególne patrole wyruszały już z rynku w ulice.

Zaczęto gwałtownie zamykać sklepy. Ludność szarpała się nerwowo u bram, skacząc przez parkany. Głuchy trzask zamykanych gwałtownie okien, drzwi i okienic sprawiał wrażenie, jakby niewidzialny a możny przeciąg pędził po mieście i huczał rozgłośnie.

W kilka minut później miasteczko opustoszało zupełnie i głucha cisza zaległa plac prażony silnem słońcem.

Jak gdyby prężyć się i sztywnieć zaczynało wszystko w tym blasku...

Pani doktorowa stała przy oknie (gdzież

się podziały tamte panie?...) kładąc sobie ręce na wzburzoną pierś. Serce jej biło tak głośno, że chyba słychać je, — bijące we wszystkich sprzętach w całym domu, w całym mieście, — w ziemi...

Lada moment miała zakwitnąć ta sprawa dawna, nadzwyczajna...

Znów wpadło do miasta kilku jeźdźców. Okryci byli pyłem, widać znużeni bezmier- nie, — po twarzach ich spływał pot, kre- śląc szare zacieki od skroni aż po szyję.

Zatrzymali się w cieniu przed domem doktorowej, nie zsiadając z koni.

— Pewno, żeby można!... Ale wszystko tu pozamykane, — doszedł głos żołnierza z dołu.

— Cholery, boją się nas, jak kozaków...

Przez rynek przebiegło kilkunastu pie- churów.

Gdzieś daleko z pól gruchnął pierwszy strzał.

Pani doktorowa przeszła do jadalni. — Tu czekał na nią mąż, stojący bez powodu przy kredensie z granatowym bratkiem w ręku.

— Gdzie idziesz? Gdzie idziesz?!

— Kluczy szukam. Tak mój kochany, kluczy od piwnicy.

— Leżą tu... — Zawahał się chwilę...

— Więc widzisz...

Wyszła wzięwszy je i już nie oglądając się na męża.

Za miastem huczały pojedyncze strzały coraz gęściej.

Doktór słuchał wśród nich grobowej ciszy swego domu. Zbiegł na dół, do sieni.

— Nie wyjdiesz... Tego nie zrobisz — zawołał do żony.

W jednym ręku niosła kubki blaszane, kosz z chlebem, w drugim duży dzban pełen mleka.

Spierając się postępowali ku drzwiom, aż stanęli u bramy.

Objęła męża za szyję.

— Uważaj na dzieci — rzekła — całując go w usta.

I wyszła... Radość, dusza domu, szczęście życia...

Otoczyli ją konni.

— Może się panowie napijecie... Taki skwar. I chleb mam!

— Jest i chleb? Rany Boskie — dawajcież obywatelko...

Jeden po drugim brał od niej kubek i pił. Rozpierali się na koniach i dysząc radośnie, gryźli chleb.

Porwała ich stąd szybko komenda. Zmieniano posterunek przy wylotach ulic. Powracający żołnierze przychodzili pod dom, przed którym stała. Tu raczyli się mlekiem i chlebem, wywracając do góry oczy nad metalowym półkřęgiem kubka. Ten i ów piechur ocierał przybielone młode wąsy, rękę opierał na biodrze i sapał.

— Pijcie więcej — prosiła — zaraz przyniosę więcej.

Szła między nimi, śmiejąc się na widok odchylanych podejrzliwie okienic, szczęśliwa jak nigdy dotąd w życiu z tym dzbanem pełnym mleka, rzekłbyś pełnym opali płynnych, — rzekłbyś pełnym spokoju i najczystszeo macierzyństwa...

## PRZYGODA.

---

W gruncie rzeczy niesłychanie szczęśliwe wydarzenie!

I znów jechali długo powolnym, rozsądnym kłusem, przez szeroką ścianę lasu. Świtało. Dziwnie głośno roznosił się w ciszy poranka ruch oddziału, rozbity na tysiące małych odgłosów i wraz zrośnięty w jedną spoistą całość. Tętent koni, dźwięk wstrząsanego żelaza, wytrawny chrzęst suchej skóry rynsztunków, miarowa praca ciała żołnierskiego, zgrzyt wdeptywanych w drogę liści, jasny trzask suchego próchna pod kopytami składał się w jeden silny giest, — przerywany od czasu do czasu deszczem niskich gałęzi sosen. Na kaski i karki oddziału sypała się z nich zimna, błyszcząca rosa.

Przeszli w stępo.

Rozległo się klepanie koni, ustał gęsty chrobot trzęsionych w kłusie mieszkwów, powiało miłym ciepłem zahartowanych zwierząt i ludzi.

Konie parślały przez oszronione nozdrza, ludzie soplwali flegmę nocną, ciągnąc głośno ochrypłymi gardzielami.

Rotmistrz Średniawski obrócił się w tył na siodle, by rzucić okiem na oddział. Znał wybornie każdą twarz, każdego konia. Sunęła za nim ta żywa huczna ściana już tyle czasu! Miał wrażenie, że sam osobiście tkwi, jest, przebywa w każdym żołnierzu, koniu, kożuchu, trenzli, rzemieniu...

Szczęki mu się zwarły od tej radości. Przykrył ją krótkim, ostrym wejrzeniem po szeregach, po wyrzucanych kopytach, łbach końskich, — po opiętych piersiach żołnierzy i kochanych, srogich mordach, chwiejących się miarowo w stępie aż w głąb zamkniętej oparem drogi.

Las szybko wyrastał z mgły. Otworzyły się po obu stronach drogi słodkie przeloty zieleni. Drżał coraz głośniejszy szelest zmarzniętych liści i suchy szum sosen.

U stóp wielkich pni rozpływać poczęły widocznie opalowa piana pleśni a krwawa śniedź starych mchów kurzyła białym pyłem na mięciutkie łono wzgórza otoczonego bronzem grzybowej otoki.

Z coraz żywszym głosem poranka, szedł coraz bujniejszy pęd świeżości. Wszystko już prószyno srebrnym pyłem ulotnym i leśne podściele, rozlane jak toń głęboka i pnie i błyszczące na nich okiście żywicy i oschła łaska starych sosen i mięsiste zgiby koron dębowych i droga nawiałem zgniłych liści, jak krwią przetkana i konie i ludzie...

Zdało się nagle rotmistrzowi Średniawskiemu, że taksamo w prochach jakichś niebieskich, białych, iskrzących paruje z niego i wyzwala się jego dusza, wszelka myśl i całe serce... Że niewstrzymane, wolno, lekko krąży powszedy przez świt, słońce i rosę.

To wszystko, co spotkał dawno i to wszystko co go teraz spotyka... Jak jechał stąd i tędy, malutki na kolanach matki, która pachniała wrzosem... Jak dręczył się w nużących prawidłach szkoły... Potem w wojsku... Jak nigdy nie pamiętał że leży tu ta

ziemia swoja i obca... Że biegnie wciąż ta droga, którą jechał na matczynych kolanach z zagryzioną w ustach gumką od kapelusza... A potem życie, — wielki zachód, — z którego za całe wspomnienie został mu zapach benzyny samochodu i naga, obca dziewczyna, płacząca w poduszkach studenckiego pokoju... Jak spotkał wreszcie tego człowieka, który żył, jedyny i ogromny — prawdą narodu...

Zaczęło się straszliwe wiosłowanie przeciw burzy...

Jak wszyscy żołnierze złożyli swe serca w rękę tego człowieka i żyli bujnym szczęściem wojny, w granicy skorych ran i śmierci...

Rzeczywiście, niesłychanie szczęśliwe wydarzenie!

Ale jakie rotmistrzu? — spytał jadący obok oficer.

— Cała ta wojna, — mówił Średniawski, wymijając koniem długie ramiona pni rozrośniętych na drodze. — Cała ta wojna! Jeśli tu mam zmartwienie — to mam po prostu wszy. Jeśli mi się udaje — to po prostu zabijam. Jeśli mi się nie udaje — to



poprostu ginę... Jak długo jestem, tak długo niema dla mnie dość ciężkiej walki. Tak przystoi walczącemu człowiekowi. Że zginę to dla innych tyle — co usta rękawem otrzeć. I tyle samo dla mnie, gdy inni giną. Jestem sam... A to w czasach normalnych ustępstwo na korzyść małego cudzego »żyćka«...

Zdawało mu się, że niejako teraz najlepiej się wita z temi stronami, tak dawno niewidzianymi.

Las się kończył. Z pomiędzy drzew świeżały dalekie złote pola, drogi szarym, oksydowanym szlakiem wśród nich biegnące, jakieś wzgórza faliste, rozlewne i znów czarne kryzy lasów.

Na całym tym ogromnym obszarze, jak gdyby nie znać było wojny, ani tego, że niedaleko stąd toczy się zażarta bitwa. Pod czystym stropem nieboskłonu w olbrzymim ciągu wszystkich tchnień dnia panowała cisza, rzekłbyś zupełnie nie dotknięta miarowym hukiem armat.

Ruch oddziałów, ciągnących drogami milczącym się zdał i bezszelestnym. Widać

było, jak suną w rozzłoconej mgle długie, żelazne korowody bateryi, jak daleko pod lasem pobłyskuje piechota i wsiąka weń. którądyś w tył wlecze się nieskończony łańcuch ciężkich, pękatych wozów, wyglądających stąd niby wędrówka białych, obrzękłych stonogów.

Po krótkim odpoczynku i zorientowaniu się na mapie, ruszyli dalej, biorąc się w bok, na wielką drogę, słonioną wysokim rzędem topoli.

Rozwalony gościniec, któremu wypadło ledz na wojennych szlakach... Wyrwy, doły, szarpanina, zniszczenie, strata i przerwa! Po dołach pełnych rozartej na proch ziemi można poznać, że tędy szły ciężkie parki artyleryjskie. Kora drzew nisko na poziomie orczyków zdarta, a pnie poranione do żywego...

W rowach łachy żołnierskie, porwane tornistry, pogięte orły wielu cesarstw i armii... Tam i sam chałupa obgryziona z jakimś butem, leżącym na progu.

Na polach, rzekłbyś łany rosnącej śmierci — czarne fale niezebranych zbóż, zaś na

przejazdach i ścieżkach zielony, chorowity kłos, pogubionego w ucieczce ziarna...

Daleko na wzgórzu połamane śmigły wiatraków, kręcące się krzyżem oszalałym... Blisko w obejściu domostw przeciąg żalony i między krwawymi szynelami, dziecinne zapaski na śmietniku.

Znów wieś i cmentarz gromadą starych, pancernych sosen niby skrzydło czarne nad białą wydumą zawisły i pochylone krzyże co zda się błędzą w długich wędrówkach po pagórku — i wianuszki z uwiedłych gałązek, niby aureole ze skrzepłej krwi...

Znów wieś i staw w którym się nagle zwiduje oczom niebo zapomniane. A w niebie tem odbity cały oddział z fali zielonej, niebieskiej wyłoniony, jak jedzie w błysku oręza, cóż z tego, że z rozkazem, lecz skąd, dokąd — i kiedyż?...

Szczyty tego anachronizmu, który się ongiś ludnością zwał, przytulone w chałupach... Baby w białych sukmanach, w chustach niby dawne matrony w kamiennej przyrodziewie nagrobków, chłopcy silne a po-

korne w nędznej glori i słowiańskiego kłopotu...

Jakże już słodko nęciło Średniawskiego, że dzieckiem był w tych stronach! Że tu przebywali z nim kiedyś jego najbliżsi, z których śladu na ziemi nie zostało, a słuchu tyle, ile w jego własnym sercu.

Gdzież się podział ów czas i gdzież spływały wszystkie przynęty chwil ubiegłych?! A przecie tak samo czernił się las, lśniła woda i szumiał wiatr w gałęziach tych topoli, gdy była tu wśród nich jego matka... Czy wiedziało jej serce, jej giest, uśmiech i ruch, — czy wiedział ojciec, dziad — ktokolwiek?... Że przecież czas odchodzi, życie idzie, jedno się z drugim mija... Droga zostaje ta sama i rozchylone pole i zawsze mylny ślad, zawsze blisko koniec, zawsze daleko początek...

Musieli objechać cały labirynt trenów i jeszcze jakąś piechotę, klnącą wściekle na kurz, który niecą, nim przybliżyli się do dworu.

Z pomiędzy rudej gęstwy liści widniał szary gont dachu, łamanego przez pól i roz-

piętego wyniośle. Na białych ścianach poprzez listwy obtłuczonej sztukatury przeświecały zielone rzędy okien parteru i pierwszego piętra. Przelewał się w nich blask słońca, zieleni i rdzy, — światło chłodu, ranka i mgły.

W pośrodku frontonu wysterczał na białych doryckich ustawiony słupach pompacyjny balkon. Między filarami chybotął szary cień, przzerwany wąską smugą słońca. Zbite, twarde mchy, biegnące wśród kamieni przedsionka błyszcząły w tej smudze jasności, jak żyły szmaragdu.

Wjehawszy ze swymi szwadronami na podwórzec, nie meldował się rotmistrz we dworze, który widocznie był niezamieszkanym, a obok, w nowoczesnym pałacyku gdzie, poznał po warcie, że jest kwatera komendy.

Robota tu szła przytłumiona lecz gorączkowa. W przedpokoju pod starymi zbrojami i jakimś starożytnym szczerbcem piszczały telefony. Telefoniści kipieli nad szarymi arkuszami fonogramów, a młody oficer kuł słuchawką w kant stołu, nie mogąc dowołać się jakiegoś pułku.

W jadalni wywróconej do góry nogami

spало kilku ludzi na kanapie i na podłodze w zabłoconych butach. Na stole leżały czapki, rewolwery i torby. Przy oknie jakiś artylerzysta już gotowy do drogi pakował do kieszeni ogromną, złożoną w kilkanaścioro mapę, zaś w drugim ręku trzymał garnuszek z dymiącą kawą.

Rotmistrz kazał się zameldować. Przyjął go w salonie wśród mahoniowych Ludwiczków ogromnie wysoki oficer sztabowy, zielony z bezsenności, z oczyma czerwonymi jak królik.

— Dać na razie zupełny odpoczynek ludziom i koniom... Czekać dalszych rozkazów... Naturalnie łącznika na kwaterę... Sytuacja?... Więc — po nocnym kontrataku nieprzyjaciel cofnął się — ostrzeliwuje zdaje się teraz punkty — — — porównali na mapach.

Załatwiwszy służbowe sprawy wyszedł rotmistrz z pałacyku i ruszył ku staremu dworcowi. Jeszcze piękniejszym zdał mu się teraz z siną śniedzią na gęstym, jak kolczuga, goncie, z linią dachu podpasaną i wielmożną, z — rzekłbyś — załzawionym

zezem okien i staropolską chorobą ścian, co łuszczą się, kruszą i bielidło sypią na murawę.

Poodał na trawnikach przeprowadzali żołnierze konie już odpoprężone ze łbami ku murawie podanymi i głośno żujące wędzidła.

— Że też to nie jest rodzicielski dom! — pomyślał, wchodząc na stare wydeptane schody podjazdu.

Między białymi filarami, w szarym mroku cieni, stał wytworny jegomość i przypatrywał się uważnie żołnierzom. Ubrany był w granatowy veston, zaprasowany i elegancki. Lekki wiatr okręcał fałdy spodni, opinając je na nogach chudych jak piszczele. Ponad wydatnym tułowiem, przez zapadnięte piersi sączył się złoty łańcuszek. Głowa pozostająca w słońcu mieniła się jaskrawo.

Siwe, w rozdział zaklepane włosy odstające od czaszki, sprawiały wrażenie dwóch doczepionych do niej, zwichniętych, zielonawych skrzydełek. Niebieskie, przekrwione źrenice, patrzące mętną iskrą, poruszały się szybko, wstrząsając miękkimi jak śluz biał-

kami. Oczy te przenosiły się z przedmiotu na przedmiot nagłym zwrotem pod cieniutką powieką w oprawie bez rzęs i bez brwi, jakby umieszczone w zbutwiałych od wilgoci pomarszczonych liściach bronzowych.

Stromy i równy spad skroni przechodził na kości policzkowej w mięsiste różowe bułeczki, pocięte wypryskiem czerwonych żyłeczek i spadające czarną nitką wiotkich rictusów aż na brodę. Z obrębu tych dwóch linii wysterczał wspaniały orli nos, podbity ładnym wąsem siwym, poniżej którego świeciła się okrągła golona broda.

Usłyszawszy na schodach głośnie kroki rotmistrza jegomość odwrócił się. Zwiędłe liście oprawy oczu ściągnęły mu się w twarde, jakby pomarszczone pestki, z których wytrysnął przenikliwy blask. Rozszerzone i na odkrytych szczękach w uśmiechu zwisłe wargi rzuciły zielony cień na rząd równiutkich zębów.

— Jestem — zaczął wysokim tenorem — właścicielem tego majątku. Nazywam się Waligórski. — Tu wyciągnął sine ręce, powleczone piegami i jakąś złotą spierzchlizną.



— Ależ tak, wiem o tem — śmiał się głośno rotmistrz, a śmiech jego huczał donośnie pod gankiem. — Jesteśmy krewni i to bardzo blizcy. Pan jest mężem rodzonej siostry mojej matki. W stronach tych... — Mówił dalej wezbrany głosem, krótko i zwięźle, o pierwszych wspomnieniach dzieciństwa, które tu spędził, o przypadku wojny, który mu pozwolił nareszcie... O żonie pana, a mojej ciotce, która podobno umysłowo chora...

Pan Waligórski cofnął się w cień i oswo-bodził promień słońca, który godził teraz z ponad dachu sąsiednich zabudowań, przez podsienie, prosto na murawę. Słuchał pilnie, uśmiechał się, dzwonił złotymi spinkami mankietów, patrzył jak liście wirują w nagłym zakręcie powiewu, to znów niespokojnie pozierał przez szklane drzwi w głąb pałacu.

Nic jednak nie mógł dojrzeć, bo w szybach, objętych żelazną ozdobą bogatego ramowania, niby zczerniały rycerz witrażu, odbijał się rotmistrz, wysoki, suchy, z rę-

kawicami u pasa, z głową sklepioną mocno, niby szyszak.

Spadające liście przebiegały nad nim wolno w mętnej odbiciu, jak złote gwiazdy.

Tymczasem oficerowie uporali się z rozmieszczeniem ludzi i koni. Średniawski poznał ich z panem domu. Wywiązała się nieskładna rozmowa, w której jedna strona napomykała ciągle o zapasach, jakie posiada, lecz również o braku samowaru, druga starała się tego nie rozumieć, skarżąc się, że wszystko zniszczone, zrujnowane... Że właściwie i jedynie mają coś jeszcze chłopci, a raczej, że chłopci mają wszystko. Że lepiej jest dziś zatrzymać się w pierwszej lepszej chałupie, niż w najwystawniejszym dworze.

Zaczęła się opowieść, którą żołnierze umieli już od dawna na pamięć — o fortepianie wyrzuconym, o zbrojach pamiątkowych, o starej kolekcji monet, o bibliotece starej, o białych krukach... O zbożu, o wiadrach stuletniej starki i nalewkach...

Już nie mówiąc o tem, że kazano nam mieszkać w tym starym pałacu, w którym nic niema.

— Taki piękny dwór, — zauważył któryś z oficerów.

— Tak piękny. — Z daleka dobiegły silniejsze echa armatnich strzałów.

Pan Waligórski wyciągnął szyję. — Nie damy się, co?...

Umilkli. Słysząc było wyraźnie dalekie salwy armatnie, turkot kół na wiejskiej drodze i szorstkie włóczenie się liści na kamieniach podsieni.

— Bardzo piękny dwór. Magnacka rezydencya, stawiana za czasów Władysława IV. Z zewnątrz trzyma się to jeszcze — ale wewnątrz pustka kompletna. Ach panowie! — Twarz Waligórskiego osunęła się nagle, ze zmarszczków wypłynęły na wierzch niebieskie okrągłe źrenice —: Kiedyż się to wszystko skończy?! Już ani siana, ani bydła! Co z nami zrobią?! My nawet gazet nie mamy. Panowie chyba musicie coś wiedzieć — bądź co bądź bliżej wielkiego ołtarza.

Jego twarz patetyczna a zarazem bułczkowata odęła się niezaradną troską, siwe skrzydełka rozdziału uniosły się nad miękką grą tłustych fałdów czoła.

— No tak, no tak, bardzo to wszystko jest smutne! — zniecierpliwiał się rotmistrz. — Damy kuzynowi gazet — aleśmy nic nie jedli od świtu i pan da nam teraz herbaty.

— Ależ naturalnie.

— Proszę kolegów — zaśmiał się Średniawski, biorąc pod rękę pana domu i kierując się z nim ku szklanym drzwiom.

Wtem z wnętrza budynku podniósł się krzyk kobiecy, trzaskanie drzwiami, szarpalina i straszliwe ochryple urągania.

Oficerowie przystanęli zdumieni. Rotmistrz podstąpił bliżej.

— Nie zwracajcie panowie uwagi — prosił Waligórski — ja panom to wyjaśnię.

Tymczasem w głębi chrymnęły jakieś belki. W kurzu, pyle wiórów, trzasek, jakiegoś pierza, śmiecia i prochu zbiegać jęła maleńka postać wielkimi schodami z piaskiem i zgrzytem.

Wówczas dopiero ocenić można było, jak pustem i zetlałym jest wewnątrz całego gmachu. Wszystkie szyby poczęły drżeć, ze ścian zsypywać się jęła stara oschłość

i miał, a echo huczało rozgłośnie pod łamanym stropem.

W trzęsących się szybach zdążył Średniawski zobaczyć szarą drobną postać kobiecą. Lecz nie widział wyraźnie, bo zjawiała zlewała się w odbiciu szkła z jego własną postacią. Tak, jak gdyby tam w głębi pałacu stał również a z jego pogiętej piersi wyrывała się ta figurka szara i drżąca — niby ogromna ćma...

— *Eh bien cher cousin* — nizał prędziutko słowo za słowem Waligórski — chodźmy prędzej — 20 lat już się to wytrzymuje. Całe szczęście, że jest bezdzietna. *Elle est gravement malade* — zwrócił się Waligórski do oficerów — *ma femme*.

Przeszli szeroką aleją, wśród rozkosznego parku, który teraz w świeżej godzinie przedpołudnia zdał się namiętnie oddychać całą wonią i krasą jesieni. Olbrzymie zalewy czerstwych dębów jak kwitnące blaskiem chmury stały nad trawnikami. W głębi klombów na omszałych, przezacnych mdrzewiach, ścieliła się srebrną nicią pajęczyna. Gdzieś dalej nieskończona topiel ol-

szyny wędła potoczyście w cudnych, gorzkich zapachach.

A z całej tej rozbuchanej mocy pni, rozrostu gałęzi, szumu liści, w całym zamysle krętych czupryn owocowego sadu i sennych dalekościach powietrza tyle było czaru, tyle utajonego śpiewu — że młodemu rotmistrzowi wróciły na myśl blahe i tkliwe żale gorzkie... Litość nad skrawem tej ziemi, żal z utraty i przekorne szczęście z każdego liścia źdźbła i trawy.

— Więc ciotka moja oszalała, czy co? — spytał prawie, że ubawiony. — Ciotka Natalia. W rodzinie matki, o ile wiem, nie było tych wypadków. Dlaczegożby więc?

— Miała bardzo ciężkie życie — westchnął szczerze Waligórski, — zresztą ciężko nam tu wszystkim.

Weszli do izby.

Była to stara oficyna. Mury grube, okna głęboko wmurowane. Na tęgich komodach ozdobne prace włóczkowe, łóżka z piramidą opiętych białuśkich poduszek, na ścianie zegar, oleodruki i rogi, zapach mąki, osypki,

ziarna, myszy i jabłek, suszonych owoców i chleba — jak w oficynie.

Oficerowie, jeden za drugim, zwalali z siebie broń i rzemienie na łóżko i obsiadali stół.

Weszła klucznica z wędzoną wędliną na półmisku. Za nią wnieśli samowar dwaj tędy chłopcy w szarych świtkach.

Waligórski celebrując uroczyście zaczął opowiadać rotmistrzowi w wielkiej konfidencyi całą tę historię: Po dwóch czy trzech latach, kiedy pański wuj a jej brat ciężko zachorował, pierwszy raz zasłała na umyśle.

— Po co opowiadać? — wtrąciła się gospodyni.

Rotmistrz przyglądał się jej uważnie. Twarz biała i tłusta, jakby składana z grubych płatów oddzielających się wzajem cieniutką rysą rzadkich różowych linii, miała w sobie groźną prostotę i niewzruszoną świeżość. Była to twarz, mimo śladów wieku, nieomal dziewczęca. Maleńkie oczy, malutki prosty nos, nadmiernie drobne usta, maleńkie uszy sprawiały wrażenie dziwnego

odosobnienia wśród dużych, białych, jakby w alabastrze polerowanych policzków.

Głowa ta spoczywała na potężnym korpusie, a czarny kaftan podkreślał tylko spolistą linię ramion oraz kształt piersi, sklepionych i wystawnych, jak dzbanki.

Pan Waligórski nie dawał za wygraną i dalej tłumaczył krewniakowi swą sytuację rodzinną, co było bardzo krępujące dla tego ostatniego ze względu na kolegów...

— Chciałem dawno sprzedać ten nasz Moreń, przenieść się stąd wraz z całym domem, ale jest to własność żony i nigdy nie mogłem...

— Jaki tu dom — przerwała znów gospodyni — gdy pani waryatka! — Co o tem gadać?...

Dwaj synowie, siedzący pod ścianą na ławie, zaśmiali się.

Już się objedli, już mieli byli wstawać i iść gdzieś przeciągnąć się na trawie, gdy cień przeleciał koło okna.

— Wyrwała się! — krzyknął Waligórski z przerażeniem.



Lekko pchnięte drzwi odsunęły się i na progu stanęła malutka, siwa dama.

Rotmistrz zerwał się na równe nogi. To była siostra jego matki.

Wiatr lekko rozgarniał siwe, fryzowane włosy Natalii, odsłaniając różową skórę małej czaszki. Na skroniach wiązały się sine guzy żył. W zielonych głębokich oczach stała nieruchoma iskra blasku. Popielate uniesione wysoko brwi drżały ustawicznie. Szerokie, przywiedle nozdrza równego greckiego nosa rozchylone były ustawicznie. Przedziwny ruch ust niepokoił i mylił. Zwierala je bowiem w siną, sztywną bliznę, to znów powoli rozchylały się jej wargi, drżąc na białych zębach, jak wargi małych dzieci.

— Uniżona służba panów! — dygnęła głęboko, zbierając fałdy szarej alpagowej sukni końcami palców. — Uniżona służba panów oficerów!!

Wszyscy poderwali się z miejsc.

Przyjęła to uśmiechem i dumnym wyrzuceniem głowy, tak, że z koronkowego kołnierza wysunęła się jej szyja nadmiernie wątła i chrupka.

Rotmistrz wyszedł z za stołu na środek pokoju.

— Natalie, Nathalie — westchnął Waligórski.

Jej brwi spadły tuż nad oczy, nos ściągnął się, twarz przybrała obronny wyraz zagrożonej ofiary. Potem uśmiech trudny, wielki, arcypanński uśmiech, którym odsuwa się splot jakiejś nędzy, by dalej spełniać powinności honoru i obowiązku.

— Jestem z domu hrabianka...

Rotmistrz przedstawił się, recytując dobitnie nazwisko, imię, szarżę i przypominając blizkie pokrewieństwo.

— A ci panowie — spytała mrużąc oczy. — Wszak są w moim domu. Tu nie należy do pana Waligórskiego. Ten dom jest mój!! — Głos jej nabrał dźwięku i wraz pękł podarty skrzeczącą chrypką. — A ci panowie?!!

— Ależ nie róbcie panowie tego głupstwa! — jęknął Waligórski.

Oficerowie zaczęli się przedstawiać, poważnie, z emfatycznym dźwiękiem ostróg.

W drzwiach uzbierał się tłum ciekawej służby.

Pani Natalia podawała dostojnie rękę w starej męskiej rękawiczce, ślicznie przegiętą w ramieniu.

Poprosiwszy wszystkich do stołu sama usiadła również, czyniąc honory pani domu.

Zapadło głębokie milczenie.

Słyszać było z daleka potężny huk dział, tętent ciężkich wozów czy armat na pobliskich drogach, gwar żołnierzy w podwórzu i szum drzew.

Przez próg ścieżyną, między szpalerami, pędziły wciąż uwiędłe liście.

Pani Natalia podsuwała półmiski. Nikt nie mógł jeść.

— Bierzcie panowie — proszę — tylko pani tego domu zmuszona jest jeść krupy i chleb razowy. Ale mamy wszystkiego podostatkiem. — *Oui mon cousin!* — Brat mojej siostry??...

Nagle cała jej twarz jakby bezmiernej doznała ulgi. Czoło się rozchmurzyło, oczy zgasły. Po rozchylonych wargach przewinął się drobny, rzewny ruch.

*Pauvre Clairette!*... — Wielkie palce starych rękawic męskich zagięły się na splecionych palcach. Poplamiony motyl żabotu począł drżeć. Sztywność postaci zelżała i siwa głowa w dziecinnem zamyśleniu pochyliła się na piersi.

— Czemu się ci ludzie z sieni nie wynoszą — huknął Średniawski.

Krasny tłum bab, tupiąc bosemi nogami, począł uciekać.

Natalia powstała gwałtownie. — Panie rotmistrzu!! Idę przed strony walczące, jak przed trybunał! Tu mam skargę sprawiedliwych ludzi... — Wyrwała z za stanika duży, złożony jak podanie arkusz papieru. — Wręczam go wam, panowie oficerowie, wierząc w wasz honor. Proszę, czytaj rotmistrzu!

To mówiąc dygnęła głęboko. Ręce zwisły wzdłuż postaci ciężkie i godne. Oczy szeroko rozwarte nieruchomą iskrą światła patrzyły przed się. Wokoło ust drżał gniew, nozdrza pracowały szybko, jakby cała jej twarz wycholona była przeciw ogromnej wichurze...

Rotmistrz z ukłonem przyjął papier zapisany w rozmaitych kierunkach, na krzyż, na ukos i na wywrót, wszystkimi barwami ołówków, w pstrą kratę. Rozgiąwszy, przelatywał oczyma tekst skryptu, ciągle zaczynany i nieskończony: — Ja Natalia stoję przed trybunałem skrzywdzona i proszę wszystkimi językami Europy.

To samo po francusku, rosyjsku, niemiecku.

— Czytaj rotmistrzu, czytaj! Pani domu — pytała retorycznie, — której zabrano klucze?! Która nie rządzi? Nie ma pieniędzy?! Którą chcą wyzuć ze wszystkiego?? Której chłop w świtce podaje jedzenie przez kratę?

— Ależ to jest jedno wielkie nieporozumienie — ubolewał Waligórski — jedno wielkie nieporozumienie! — Na policzki wystąpiły mu ogromne białe pasy.

— Mnie wyzuć z majątku?? Pan rotmistrz widzi tu podpisy jenerałów. Tę prośbę trzeba dalej podać...

Wskazała ręką w stronę, z której dochodził huk armat. I zostawiwszy ramię

wyciągnięte w powietrzu opuściła nagle głowę na piersi: — *Pauvre Clairette...* — Pan rotmistrz widzi podpisy generalów...

Więc rozłożył pstry arkusz. Istotnie na dole widać było szereg podpisów, różną kreślonych ręką, niemieckich, węgierskich, rosyjskich.

— Wszyscy panowie, którzy przechodzili tędy, ze wszystkich stron świata, przyznali mi krzywdę! — Schowała głowę w ramionach — jak sowa. — Pani, której zabrano klucze?? Kańczugiem mnie bił w kwiatowym pokoju. *Voila mon idylle.* — *Mais oui.* A teraz chcą mnie sprzedać??... Staję przed trybunałem walczących...

Rotmistrz podał jej ramię i nic nie mówiąc wyprowadził z izby.

Szli wolno ogromną szumiącą aleją. — *Mais oui — voila mon idylle* — powtarzała raz po raz.

Z bezmiernym politowaniem nachylił się ku niej, bo chciała coś mówić szeptem.

Nie zrozumiał. Cichutkie słowa pryskały ledwie dosłyszalnie, jak tajanie śniegu.

Usiedli na ławce, nad brzegiem wyschnię-

tego przekopu, którym teraz miast wody zsypywały się całe nurty zwiedłych liści.

Widok się stąd rozciągał daleki i słodki na rzędy rozgorzałych w purpurze drzew i na łąkę zieloną.

Rotmistrz trzymał Natalię za rękę, nie pozwalał mówić i tłumaczył jeszcze raz, że jest synem Clairette.

— *De ta soeur Clairette, chère tante.* Czy rozumiesz?

Zdjęła stare rękawiczki i wążką ręką strzepnęła suknię: — Aż powiedziałam — dość już... Już nie bij... — Te pierścionki są po bracie. — — *Comme des anges...*

Znów musiał nachylić głowę, bo miała mu zwierzyć ogromne sekrety.

Patrzył z niewysłowionym smutkiem, jak toczy się fala złotego liścia, jak przekrwiona lekka zieleń tych stron kołysze się i chwieje.

Natalia zwierzała mu do ucha rzeczy straszne, obrzydliwe, szybko i cicho, jakby mu ktoś nad uchem miał szorstki papier.

I słuchał i patrzył i rozważał, że w tych stronach pierwszego dzieciństwa znów oto

jest, że mu spływa w duszę ten męt okropny, cierpka gorycz przekwitu i pusty wdzięk przywiązania.

— *Tes pauvres petites mains*, — powtórzał, kładąc je sobie na rękawice.

— *C'est tout ce qui me reste*, — śmiała się oparta na jego ramieniu.

Zdawać mu się jeło, że te drzewa czerwone, niebieski firmament i siwiejąca trawa, że to wszystko na wieki wykute jest w kamieniu...

— Tu nas zobaczą?...

Bojąc się drażnić ją, podniósł się również. Zaczekała, aż ujmie szablę, wlokącą się na długich rapciach i zaokrągli ramię, by ją wziąć pod rękę.

Wówczas dopiero poszli dalej.

— Pani, która nie ma kluczy? — Zdawała się zwracać z tem pytaniem do krzaków, które mijali. — Pani, która nie rządzi?

Za wsią, nad cmentarzem pękło parę szrapneli. Białe dymki długo trzymały się w powietrzu, nim je wiatr zniósł.

— *Est-ce vrai que je été stérile?* — spytała niespodzianie, mrużąc szybko powieki. —



Ma z nią dwóch synów. A ten chłop, który mnie pilnuje, to jej mąż.

Dochodzili już do dworu.

Na środku rozkopanego klombu, wśród astrów i suchych łodyg rezedy, stał na kamiennym cokole zegar słoneczny.

Zatrzymała tu rotmistrza — *Tu vois?* Głos jej zabrzmiał lekko i dźwięcznie jak piszczałeczka.

Patrzył z nią razem na błyszczące od słońca koło i wielkie czarne cyfry rzymskie.

Od zegara prowadziła szeroka ścieżka ku schodom, których strzegły dwa lwy kamienne. Leżał na nich niebieski cień od białych ścian domostwa.

Pochylili się oboje nad kamiennym kręgiem, na którym płoszyły się wciąż drobniuchne iskry lśnienia słonecznych.

— Czy widzisz czas? — *Cheri?*

Coraz większa cisza przejmowała rotmistrza i coraz większa zaduma.

Czyż więc tutaj wszystkie drogi miały się być zejść i tutaj wszystek rozmach życia miał się zatrzymać, milczący, przed tym biedactwem w szarych alpagach, z malutką

głową, na której wiatr rozgarniał siwe włosy, różową chłodząc skórę z próżnych upałów?...

Rozwinęła swą skargę różnojęzyczną w różnokolorową kratkę i rozprostowała na kamiennem kole zegara.

— *Dis moi ton nom* — spytała cichym głosem. — *C'est ici mon tombeau...*

Powiedział je głośno, wyraźnie i sam je tutaj usłyszał z wielkiem zdumieniem.

Zaś ona trzymając papier u góry rozplaszczoną lewą ręką, — prawą bez słówka zaczęła jak gdyby pisać to imię na papierze.

Będiesz i ty w skardze sprawiedliwych — na zawsze...

Stali długo w milczeniu z tym papierem na czarnych godzinach rozłożonym, czekający i zasluchani.

— Czy nie słyszysz? — spytała wkońcu. Wyprostował się i podał jej ramię.

— Nie, jeszcze nie... — Słyszę tu moją historię... Oczy zakryła powiekami, z których poczęły na gładki krąg zegara padać łzy...

Rotmistrz patrzył spokojnie, jak spadają

między żglące się iskierki blasku i jak bezpowrotnie nikną.

Natalia oparłszy czoło na rękę przechylona w pozie swej jakby zwichnięta i złamana, spytała znów: — Czy nic nie słyszysz panie rotmistrzu? — *Pauvre Clairette...* Huk dział płynął potężnym rozgłosem. Daleko za wsią kruszyły się jakieś grupki piechoty. Żołnierze szli po dwóch, po trzech, pewno ranni.

Rotmistrz wiedział, że już będą tak iść aż do wieczora...

Podeszła ku domowi i usiadła na lwie kamiennym.

Średniawski stał naprzeciw, patrzył łagodnie na jej małą twarz i krawaszem zrzucił z szerokich stopni żółte liście kasztanu. Teraz dopiero zauważył, że Natalia ma na nogach stare, popękane lakiery męskie. Widać było z poza uchylonego obrębu sukni przetarte do cna na kostce gumki i czarną, jedwabną pończochę, zacerowaną niebieską włóczką.

Długo nie mówili nic do siebie.

Skladała starannie swą pstrokatą skargę,

z takim zajęciem i skupieniem, z jakim małe dziewczynki pracują nad robótkami.

Wielki sentyment, jak głęboka muzyka nagle ogarnął rotmistrza. Spokojne pobłażanie tym miejscom, ścieżkom, trawnikom w słońcu wirującym. Jak gdyby z chwili tej smutnej i blahej oczy jego piły wszystek dobry, ślepy blask, a usta wszystek mocny, cierpki sok zmienności losów...

Czarna zmarszczka przecięła czoło Natalii. Zielone oczy zdawały się nie widzieć siostrzeńca. Pyszna łuna przemknęła po policzkach.

Z małą, jak szpon suchą rączką, opartą na kamiennych kudłach lwiej grzywy w aureoli siwych włosów, w szarej alpadze, lekko naprzód podana, sprawiała wrażenie mizernego ptaka z ciemnicy wyniesionego na słońce.

— Tylko raz w życiu — rzekła nagle — niskim, pieszczotliwym głosem...

Rotmistrz zbliżył się i pytająco przechylił głowę.

Tylko raz w życiu... Musnęła go zimnymi palcami od skroni w dół aż do koł-

nierza munduru. — Tylko raz w życiu pocałował mnie... W usta... Mój brat... — *Comme des anges...*

Zerwała się, strącając z grzbietu lwa proch uwiędłych nasion. Skoczyła do drzwi i rozpierając oba ich skrzydła wpadła do dworu.

Skoczył za nią.

Zrazu nie mógł się w mrokach rozejrzeć. Światło wciskało się tu przez dziury i szpary pozamykanych okiennic, zielone i chybotliwe.

Czuł, że stąpa po rumowisku, że przeważone krokiem jego deski podważają inne. Że łamie coś i gniecie pod stopami. Zapach zbutwiałego ziela mieszał się z zimnym wyziewem kamieni. Olbrzymie siecie pajęczyn zasnuwały kąty, gzymsy i herby wiotką, niedbałą żalobą...

Nie mógł dojrzeć gdzie jest Natalia, ani też mógł jej kroki usłyszeć. Czarne, zetlałe wnętrze dworu huczało głucho od wystrzałów, zaś roztrzęsione ściany zdawały się chrapliwie rzeźzić. Sypał się z nich wciąż

piach tynk i miał, zduszonym, potwornym pacierzem.

Po chwili przywykł do zmroku. Z przed-sionka biegły pokoje na prawo i lewo wysoką amfiladą. Naprzeciw głównego wejścia wznosiły się wspaniałe schody o szerokiej, haftowanej rzeźbą poręczy, która ginęła wysoko w ciemności.

U stóp tych schodów czekała Natalia. Poszli razem.

Dlaczego? Gdzie? Po co?

Zgryźliwa śmieszność mąciła Średniawskiemu myśli. Szedł, twardo dzwoniąc ostrogami, wlokąc szablę po rozwalonych pendimentach i tłumaczył sobie zuchwałą ironią myśli, że tak musi wyglądać jego bajka... Jego królewna...

Czepiały się tego wszystkiego jakieś wciąż kwitnące porywy dawnych wspomnień... Kogoś tu niby szukał, że lada moment wyjdzie naprzeciw z drzwi zdobnych ułamanym herbem... Że się ktoś zaraz odnajdzie zadumany przy kominie... Wpatrzony w czarną, rozwartą czeluść, nad którą biegną białe liście marmurowego akantu, hen, aż

pod strop, a która ongiś sercem była płoną-  
jącem, — była ogniskiem...

— *Comme des anges... Comme des anges...* —  
Powtarzała cicho Natalia, przystając to tu, to  
tam.

Brnęli teraz w gęstym strumieniu ru-  
pieci, poprzez mnóstwo starych pism, ro-  
czników, kalendarzy, książek, zeszytów, sta-  
rych sieci i węd, szpargałów, pokruszonych  
fornerów, grubych tomów, — rzekłbyś w za-  
stałej fali kultury jakiejś dorywczej i nieprzy-  
tomnej...

W bladych mrokach światła i zielonego  
oślizgu widział rotmistrz pod stopami swo-  
jemi oberwane strzepy sztychów z senato-  
rami, koronacją, rozstrzelaniem, kawały po-  
dartego »Wędrowca«, dramatyczną Elstere,  
mody, złotą twarz Goethego na okładce,  
herbarze, grzebienie, szmatki...

Natalia prowadziła go z izby do izby,  
z sali do sali, nasłuchując uważnie. Aż znów  
wrócili do przedsionka. Zaczęła wstępować  
na schody. Szedł za nią ostrożnie, bo łatwo  
tu było poślizgnąć się. Rozsypane na sto-  
pniach jabłka, tak przegniłe, że aż czarne,

obwiedzione siwem futerkiem pleśni tulwały się tam i z powrotem.

— Cicho — szepnęła mu do ucha. Tu jest mój stróż... *Le vrai mari de cette...* Pani, która niema kluczy?!! — krzyknęła na całe gardło.

Jeszcze nie skończyły dygotać echa tego zawołania — gdy znów: — Pani, która nie rządzi?!! Którą chcą sprzedać?!! — Słuchała odpowiedzi... Skłócony rezonans ciskał się wśród strzępów, śmieci i pustki coraz słabiej:..

— Tu jest mój stróż, pejzan w świtce, wiesz?...

Zaczęła się podkradać występując obiema stopami na każdy stopień... Już otwierała się przed nimi szeroka przestrzeń olbrzymiej sali pierwszego piętra. Naprzeciw schodów, w głębi ukazywał się potężny zrąb błyszczących organowych dud... Jak śmiech stalowy...

Schyliwszy się nagle podniosła Natalia zgniłe czarne jabłko i na płaskiej dłoni ze smutnym uśmiechem podała je rotmistrzowi.

— Czy chcesz *Cheri*?...



— Waryatka!! — wrzasnął z całej mocy i pędem zawrócił po schodach, niecąc tumult, chmury kurzu, pyłu, zgryzu i łomot ścian jakby nie tynk z nich padał i piach a wieki się całe waliły.

Szarpnął się o zardzewiałe drzwi i znów stanął na wewnętrznej terasie dworu. Roztaczał się stąd widok na cały park, na kłębek piaszczystych, żółtych dróg i dalsze ćmienie rozfalowanej oddali, zamkniętej czarną listwą lasu.

W złotym kurzu pędziła obok cmentarza gromada jeźdźców.

Dwa lwy leżą jak dawniej na przyzbie, sprószone zwiewną igraszką nasienia jesieni. Cokół słonecznego zegara rzuca fioletowy cień na suche rojowisko uwiędłych łądyg rezedy.

Nic się nie stało...

Tylko nad cmentarzem tną się w czystym błękiecie złote pazury szrapnelów.

Rotmistrz dostrzegł wyraźnie sączące się wśród pól, jak gdyby szare gąsieniczki — drobne oddziały piechoty. Na głównej drodze kilkanaście wozów nadmiernie ciężkich.

Mozolili się nad nimi ludzie, wymachując ramionami. Nogi końskie pod łukiem wygiętych straszliwie pleców dreptały pośpiesznie i napróżno.

I park nie był już pusty. Po gazonach wlekli się piechurzy, wymięszeni pół na pół z ziemią, z pąsowymi rumieńcami na twarzach, z karabinem, wiszącym przez szyję, jak jarzmo. Drobne gromadki odpoczywały w cieniu dębów. Byli tam ranni w ręce, wystawiający dumnie świeże białe temblaki.

Piach alei zgrzytał i skwierczał pod kurtymi butami, z podwórza wjazdowego donosił się zgiełk jakichś rozkazów.

Rotmistrz chłonał nozdrzami, wężchem po prostu coraz większą pracę bitwy. Mrużył z rozkoszą oczy na widok siły ognia zcentralizowanej za cmentarzem.

Nagle grupa żołnierzy idących ku dworowi rozstała się i wyrwał się z niej jakiś kształt miękkiej, nieskładnej, komicznej.

Przeklęty cywil — wrzasnął w ślad za nim któryś żołnierz.

Pan Waligórski biegł ścieżką między czarnymi różgami uschniętych pożeczek.

Jego cieniutkie nogi podwijały się zabawnie pod brzuch a złoty łańcuszek na piersi błyskał w podskokach. W żółtych półbucikach, granatowym stroju, jakiejś kapelusinie tyrolskiej z szarą kitką, z pledem szkockim na rękę, jakby się urwał z sezonowego ogłoszenia plaży czy kurortu.

Względy rycerskie kazały mu zmniejszyć krok. Rozkładając już tylko żałośnie ręce podstąpił bliżej: — Takeśmy się spokojnie niedawno posilali, panie rotmistrzu, czyżby rzeczywiście?

— Co?

Waligórski wskazał wstydliwie ręką na zmordowanych żołnierzy. — Czyżby rzeczywiście trzeba było... Parę godzin temu pili panowie u mnie herbatę, — mój Boże!...

— To, że zjadłem dobre śniadanie — odpowiedział Średniawski, wciąż patrząc w stronę cmentarza — nie może, rozumie pan chyba, wpłynąć na przebieg boju.

— Więc odstępujecie panowie?

Rotmistrz wzruszył ramionami.

— I co będzie?! — Waligórski dreptał dokoła, obchodził, stawał, trzepiąc trzy po

trzy... Że przecież tyle tygodni stało tu wszystko... Czyżby nowe poruszenia! Właściwie jakie?!

Zamykał i otwierał swą złotą papierośnicę, głądził coś o przepustkach.

Rotmistrz zszedł w dół, udzielił informacyi pytającym się żołnierzom i skierował się w stronę swych koni wciąż z tą zmorą nad uchem tłustą i drżącą.

Pan rozumie, żyło się tu, tu się było, każdy ką, kamień, każdy ktoś! Więc? Czy mamy się pakować? Ale gdzie, dokąd?! Tu chłopi mnie wydadzą! Gdzieby panowie radzili?...

Na podwórku i drodze wjazdowej ruch wzmagał się z każdą chwilą. Widać było przez otwartą bramę masę pochylonej w marszu, cofającej się piechoty.

Kurz się nad nimi uwijał.

Jakieś ogromne wozy wyjechały na klomby. Sierżanci z wybałuszonymi oczyma wrzeszczeli ochryple. Na przełaj do parku zajechała bateria połówek. Oficerowie zgrzani, z czarnymi od kurzu twarzami, naglili do pośpiechu obsługę...

W kwaterze sztabu ściągano już telefony.

— *Der kleine Bobi ist tod*, — rzekł jakiś oficer przy telefonie, kiwając głową ze słuchawką przy uchu.

Nikt mu nie odpowiedział.

General stał tyłem oparty o fortepian. — Więc, proszę panów, — sytuacja... Nieprzyjaciel obsadził już las... Na północ od wsi X. w tej chwili mniej więcej trzy bataliony nasze, — ach czegoż chce ten człowiek!

Wszyscy oficerowie spojrzeli za jenerałem w okno. Ponad parapetem chwiała się czerwono zielona twarz Waligórskiego, jak kosmata, błyszcząca bulwa.

— To tutejszy właściciel — objaśnił któryś z oficerów.

Jenerał mówił dalej, nie zwracając już uwagi na ten incydent.

Waligórski pozostał przy oknach pałacyku. Dreptał pod drzwiami, pytał się sierżantów, to znów chciał im wtykać jakieś łapówki, wyciągane raz po raz z kieszonki od kamizelki.

Słońce już zachodziło. Olbrzymi cień

dworu leżał na podwórzu, — czarnym, prostokątnym wiekiem. Nad obtłuczonymi dzbanami szczytowych ozdób, widnymi tak dokładnie wśród rozplomienionego nieba, przelatowały złote centusie brzoźowych liści.

Waligórski patrzył, jak lecą, jak pełgają po ścianach, niczem płomyki.

Patrzył, jak wielkie wozy ruszają w drogę, jak ktoś wyrywa koły z płotu, jak wszystko się śpieszy, trzeszczy, łamie... Ważył w sobie tysiąc postanowień i z cichą rozkoszą zwlekał decyzję.

Zaczęto wynosić ze sztabu upakowane mapy i podręczny dobytek wojenny.

— Nie chcą obronić, nie chcą obronić — myślał nieomal z płaczem. — A przecież chłopci wydadzą...

Nie wiedział, co wydadzą i co zawinił, ale czuł, że nie może z nimi pozostać sam na sam, za nic na świecie!...

Pobiegł do oficyn. Żołnierze tu siedzieli na proggu spoceni, czarni od kurzu i potu. Przez porozpinane bluzy widać im było rozchełtane koszule i dyszące, włochate piersi... Jedli kawałami ser i grube trzony kielbas.

Wyminąwszy ich z obrzydzeniem dostał się do izby.

Wszystko tu już było spakowane i wyniesione. W powysuwanych szufladach komody i szaf leżało już tylko nieużyteczne rupiecie...

Paraszka stała przy oknie, pakując pośpiesznie za piersi jakieś zwitki gęste i grube.

— Dobrze schowaj... Dobrze schowaj!

Gałęzie zakrywały okno, lecz widać było, jak żołnierze idą chodnikiem.

— Dobrze schowaj Paraszka — szeptał wtykając jej swe szorstkie złotawe ręce za stanik, pod dużą białą pierś...

Wybiegli do ogrodu, gdzie już czekały ukryte w olszynie dwa pojazdy.

Synowie Paraszki ładowali śpiesznie pod słomę wory krup, mąki, półcie słoniny, sery i chleby. Paraszka poprawiała wędzidel. Siwe końskie łby wyrywały się niecierpliwie z jej czarnych ramion.

— Stój, — stój, — wołała na nie z cicha niskim, dźwięcznym głosem.

Waligórski wzdrygał się od ciągłych wystrzałów baterii i patrzył, przestępując

z nogi na nogę, na synów, którzy pracowali pośpiesznie z jakimś nagłym, skrytobójczym pośpiechem.

— Teraz... Teraz... — Skoczyli na pierwsze siedzenie, matka usiadła na tylnem.

Waligórski rozglądał się niespokojnie na wszystkie strony. Od wsi z za cmentarza niesło już łuną i pogorzeliiskiem. Czarny wiew kłaków i kopci mieszał się z gorzkim zapachem uwiedłych liści... Cały park dygotał w ciężkiem tchnieniu, które raz po raz głuszyły przeraźliwe rozpryski salw piechoty.

Już konie miały ruszyć.

Waligórski wtulił nagle twarz w podołek Paraszki i zakrywwszy sobie głowę jej dłońmi chłonał rozpaczliwie jej zapach, ciepło, kształt. Wcisnął głowę w fałdy grubej sukni, jakby się w nich zagrzebać chciał.

— No panie, — no panie — powtarzała raz po raz — odpychając z kolan jego wstrząsaną płaczem głowę.

Podawała mu już z wozu jego grube angielskie palto.

Jechali — naprzód ona wozem z synami,



z tyłu na wolancie Waligórski, boczną drogą przez podwórze.

Dwór mienił się ostatnimi blaskami zachodu. Doryckie słupy podjazdu rzucały przed się czarny cień. Pod gankiem leżało kilku rannych. Pałacyk sztabu był już pusty. Na drugiej stronie pod stajniami stali w głębokich szeregach ułani. Konie ich dreptały na miejscu niespokojnie.

Chrymnęły szklane drzwi starego dworu. Wypadł z nich rosły chłop w szarej świtce i skoczył na siedzenie, obok Paraszki.

— Gawryło! Gawryło, — zawrócimy po ciebie — krzyczał Waligórski — pilnuj pani!

Tymczasem wolant zatrzymali sanitaryusze pod rannych.

Paraszka nie oglądając się zacięła konie.

Waligórski wyciągał ręce, krzyczał, klął.

Wóz wtoczył się w bramę i spłynął razem z galopującymi trenami w rudy mrok.

Waligórski poskoczył ku bramie, to znów zawrócił pod balkon, chcąc przekonać sanitaryuszy.

Odepchnęli go.

Zaczął się kręcić dokoła klombu, wymachując pledem i kapeluszem. Nareszcie stanął na progu pałacyku, w którym niedawno mieścił się sztab...

Gorący przeciąg powiewał firankami, przenosząc ich złociste płaty poza okna.

Pociski waliły już w park. Słysząc było ciężki ich lot, wybuch straszliwy i opadanie słupów ziemi na dachy i gałęzie.

Nagle potworna detonacya rozległa się tuż i w całym dworze ze wszystkich okien wypadły szyby.

Jak szloch...

Dwór oślepl.

Waligórski z postawionym wysoko kołnierzem, czając się wśród krzaków, przekradał się ku bramie.

Zgorączkowane grupy żołnierzy raz po raz przesuwały się przez podwórze. Gadali głośno, nerwowo, gulgocząc po drodze wodę z brzęczących manierek.

Rotmistrz Średniawski zaczynał osłaniać aryergardę.

W jasnym blasku trafionej granatem oficyny rozsyłał stopniowo plutony. Przez czer-

woną kurzawę zakręcali koło bramy, pędząc kłusem naprzód.

Smugi dymu pelzły nad parkiem i wielkimi zwojami przez granatowe niebo. W pustych oknach dworu wirował złoty deszcz iskier i czarny śnieg spalenizny. Miękkie, różowe jak dziaśła ściany wielkich komnat słaśniały się w łunach pożogi.

Średniawski stał na środku podwórza owiany sznurami iskier zuchwale szczęśliwy. Wiedział, że tam przed nim wyciąga się linia jego jeźdźców, że jego mocne plutony zamykają drogi przed nieprzyjacielem. Zaraz stanie tam ze swoimi i w płonącej ciszy czekać będzie tego obcego ruchu, — ruchu wroga — od którego okrągłej żrenice w ciemności...

Właśnie wydawał ostatnie rozkazy, gdy wśród filarów ukazała się Natalia.

Chuda, szara, z rozwichrzonymi włosami mijiała pod amfiladą jak szary, błyszczący strzęp, który tu uwiązał i kręci się bez wyjścia.

Średniawski poskoczył ku niej.

— Pani bez kluczy? Która nie rządzi?... —

Wszak jesteś pan oficerem?!! Człowiekiem honoru — prawda?

— Wychodź stąd, wychodź — krzyczał, ciągnąc ją brutalnie za ręce.

— Nie! Nigdy! Staję przed trybunałem sprawiedliwych! Tu mam wszystkie podpisy.

Ciągnął ją za ręce. Słupy spadającej ziemi tętniły po dachach. W huk i świstie szrapneli słychać było, jak we dworze załamują się z trzaskiem piętra i pękają zbudowane ściany.

— *Me battre?!!* — spytała nagle, prawie wleczona po ziemi.

Puścił ją.

Zmordowane reszty piechoty parły naprzelaj przez podwórze.

Gdy zawracał plutonem ku bramie, widział jak Natalia, wymachując swą pstrokatą skargą pcha się między piechurów.

— Przed trybunałem walczących!! — krzyczała, łapiąc ich za broń — *Lisez ma plainte!!* Mnie sprzedać?!!

Zepchnęli ją z drogi.

Podniosła się i poprawiwszy odzież ruszyła przez puste podwórze. Po trawnikach

i kamieniach przedsionka pędziły krwawe iskry. Szum drzew mieszał się z trzaskaniem pobliskiego pożaru.

W wielkiej sieni dworzyszczą pozostały tylko schody. Na rzeźbionej poręczy błyszcząły teraz liście wzoru, jak różowe noże...

W piekielnym huku i łomocie przeszła Natalia na drugą stronę.

Drzwi dygotały w przeciagu.

Zstąpiwszy na terasę, stanęła, jak gdyby przed własnym cieniem, który czarną smugą łamał się po schodach.

W parku huczało, niby w olbrzymiej harfie płonącej, długie warkocze brzoź złotymi rzutami wyrywały się z ciemności. Dokoła jeziora ognistego w jaki się przemieniła oficyna przez cienkie, czarne szkielety olszyny i bzu hulał wir piachu.

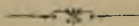
Zaś dalej tężył się niezbadany, strzałami przeszyty mrok.

Natalia minęła oba lwy. Pod bokami ich nizały się czerwone różańce iskier.

Zszedłszy na klomb podeszła do słonecznego zegara. Z sinego cyferblatu, pomię-

dzy równymi odstępami czarnych godzin spadały sypkie strzępy spalenizny.

Rozprostowała swą skargę na kole kamiennem i oparłszy pierś o cokół zegara zaczęła pisać w głębokim namyśle, — jak wtedy imię rotmistrza zebranymi w garsteczkę palcami — bez pióra...



**MIECZYSZAW GODYCKI CWIRKO**  
Oblassy, p. Kozienice.



## SPIS RZECZY.

---

### CZĘŚĆ I.

Str.

Godzina . . . . .	3
Defilada . . . . .	6
Pierwsza rocznica . . . . .	12
Przywitanie miasta . . . . .	18
Rocznica Czwartaków . . . . .	21
Nasi ułani . . . . .	29
Wielkanoc w polu . . . . .	36
Bitwa pod Kołodziejami . . . . .	43
Oficerska tyraliera . . . . .	82
Major Wyrwa . . . . .	91
Kapitan Sław . . . . .	103
Aleksander Sulkiwicz . . . . .	108
Za wierną służbę . . . . .	115

### CZĘŚĆ II:

Brat . . . . .	125
Spotkanie . . . . .	130
Rdza . . . . .	160
Sąd . . . . .	171
Pani doktorowa . . . . .	221
Przygoda . . . . .	235

---

INSTYTUT  
BADAN LITERACKICH PAN

Biblioteka  
<http://rcin.org.pl>

Tel. 20-53-53, 26-52-31 w. 42










100

100

100

A109



The image shows the front cover of an antique book. The cover is decorated with a complex marbled paper pattern in shades of dark blue, black, and cream. The pattern consists of intricate, swirling, and wavy lines that create a sense of movement and depth. In the upper right corner, there is a circular white label with a thin red border. The label contains the text 'F' on the top line and '96' on the bottom line, both in a black serif font. The book's spine is visible on the right edge, showing a dark, possibly leather or cloth, binding.

F  
96